


2



Digitized by the Internet Archive  
in 2025







BARCIKOWSCY.



M. ZMOGAS.

# BARCIKOWSCY.

POWIEŚĆ.

KRAKÓW.

1908.

Printed in Poland



Głód, powietrze, ogień, woda  
I wszelaka zła przygoda  
Będzie temu, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.  
A gdy umrze, garści ziemi,  
Gdzieby spoczął kośmi swemi,  
Nie dostanie, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.  
Marnie zginie, wiatr rozmiecie  
Prochy jego po wszem świecie:  
Marnie zginie, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą!  
*R. Barwiński.*

# I.

W najstarszych dokumentach powiatu zapisani byli Barcikowscy — Sabin Barcikowski z Gródka — dobrze znane i zacne nazwisko.

Byli inni Barcikowscy z Dyszni—ale tamci pozostali w szarym tłumie, gdy ci z Gródka wyrosli na karmazynów i nie przyznawali tamtych za krewnych nawet.

Owi Gródecy z dawien dawna Gródek zbudowali — małą forteczkę w widłach rzecznych—z szarego polnego kamienia i dębu czarnego—razy kilka spał się tutaj wróg—i cofnął, dużo ludu i czasu natraciwszy w trzęsawiskach—



za co królowie obdarowali Barcikowskich starostwem, a panowie szlachta urzędem.

Posłowali Barcikowscy na sejmy, służyli w chorągwiach, stawiali do pospolitego ruszenia, warcholili, najeżdżali sąsiadów, stawiali klasztory, ginęli w bitwach z wrogiem, w bijatykach swawolnych, w celi klasztornej — znał ród wszystkie grzechy, znał cnoty i bohaterstwa i bezpamiętne poświęcenia.

Z biegiem czasu rozwieliżnili się i szeroko rozsiedli w widłach owych rzeczek — kędy ich gniazdo było, ów Gródek.

Siły żywotne mieli potężne. Młódź ich miała bary olbrzymów, a fantazyę szaleńców kobiety wielką moc i charakter.

Kto Barcikowską brał, ten w dom wprowadzał niewiastę stateczną, mądrą i surową. Kto swą dziewczkę w ich dom oddawał, ten jej nie poznawał po roku, taką ten ród miał tradycyę, a obyczaj, a spójność.

Zbogacili się też okrutnie. W rodzie ich chłopcy się wiedli — piękne chłopcy — dziewcząt mało, i te często do klasztoru zbiegały. Więc wiana rzadko dawali, a brali.

I młódź ta ich, której świat bywał za ciasny, a szaleństwo potrzebą bytu, gdy dojrzewała i żonę wzięwszy, osiadała w gnieździe — stawała się cichą, poważną, surową — jak owe niewiasty, ich matki.

Mawiano, że Barcikowscy słuchają tylko jednego trybunału: swych matek i żon, że szanują tylko jedną władzę — białogłowy.

Tak ten ród przetrwał w powiecie i w Gródku Jagiellonów, Wazów — wszystkie elekcyje, wszystkie wewnętrzne burze — rósł, rozkorzeniał się — dochodził niekiedy kilku konarów, nad są-

siednie rody się szczycił. Aż za Sasów począł marnieć, jakby swe żywotne soki wyczerpał.

Jeden po drugim obumierały odrośle i konary. Za Poniatowskiego jeden pień tylko został w Gródku, skupił przy sobie całą fortunę, obarczoną mnóstwem procesów.

Procesy pożerały fundusz—pożerały ją i inne obowiązki. Parę folwarków i jedno życie kosztował Bar—parę folwarków legiony—sepe ty ze złotem poszły w trzydziestym roku.

I ludzi poczęło braknąć Barcikowskim.

Rzadko który dwóch chłopców uchował, rzadko który nie podzielił się z synami z krajem, nie stracił, zaledwie do lat męskich uchowawszy.

I tak zeszło, że z owej możnej familii po trzydziestym roku została w Gródku jedna niewiasta z wyrostkiem—a z dóbr ino to, co najmniej było warte: grzązkie, czarne lasy, wody i wydmuchy piaszczyste.

Jeszcze fortuna była zasobna, choć niepokazna, jeszcze zapas był stary i magnackie ostatki i dzielna dłoń była, co je trzymała. Pani Anna Barcikowska w lat dwadzieścia wdziwała czepiec wdowi, dom zamknęła, zasklepiła się w pracy i samotności.

Bałwochwalczo kochała jedynaka, strzegła go tylko przed światem i przed marzeniami, nie dawała odstąpić sobie i ziemi i by od szarów uchronić, ożeniła go wcześniej, chcąc silniej jeszcze do domu i gniazda przykuć.

Synowę sama wybrała. Była to dziewczyna młoda, zhodowana i wzrosła w tym zapadłym kącie, najmłodsza z rodziny niebogatych sąsiadów. Podobała się Sewerynowi Barcikow-

skiemu, bo była piękna, a matka mu obiecała po ślubie oddać zarząd majątku.

I dlatego panna Basia weszła do domu Barcikowskich, oddała im siebie, swą młodość i siły, i swe wiano maluczkie.

Pan Seweryn rychło nacieszył się żoną. Małżeństwo dało mu władzę i swobodę—zaczął żyć dopiero — gospodarzyć, handlować końmi, a przedewszystkiem polować.

Dwie kobiety w starym dworze żyły samotne, przywarły do siebie i po paru latach Basia była jakby drugą panią Anną — trochę młodszą, ale równie surową, cichą i milczącą. I dwór stary był ponury—wśród starego ogrodu, niski, ciemny, jedną stroną patrzył na rzekę oczeretem pokrytą, drugą stroną na oplecione dzikim chmielem ruiny pamiętnego grodziska.

Sąsiedztwa nie było, a najbliższe miasteczko leżało o mil kilkanaście, więc obca twarz i nowina była rzeczą nadzwyczaj rzadką. Dwie kobiety żyły tak—cały wiek.

Pani Barbara, gdy wchodziła raz pierwszy w sień ciemną, wzdrygnęła się przerażona, potem przywykła. Przywykła do nieobecności męża, do surowości świekry, do smutnego życia.

Przywykła, że co roku dawała życie drobnie wątłej, która zamierała bardzo rychło, nie nie dawszy matce, oprócz bólu i łez.

Są przywyknienia, co starczą za największe bohaterstwo!

Pani Anna cierpiała okropnie nad stratą wnuków. Czwooro już odeszło—ledwie po parę dni przebywszy na jej rękach — gdy znowu po kilku latach — zakwiliło maleństwo w starym, ponurym dworze.

Tym razem chłopak się udał. Zdrów był, silny, krzykliwy. Rychło stał się bóstwem babki, szczęściem matki, słońcem całego domu. Sprawiono świetne chrzciny i pani Anna dała wnukowi imię ojca swego, który padł pod Moskwą — Wacław.

Minęło lat kilka. Dwoje dzieci przybyło, syn, drugi Filip i córka Jadwiga, ale tej już ojciec nie zobaczył.

Na parę miesięcy przed jej urodzeniem, zmarł pan Seweryn Barcikowski nagle, w kilka dni—na zapalenie płuc—po polowaniu na dziki.

Matkę uczynił dożywotnią właścicielką fortuny, pod jej opiekę oddał żonę i dzieci. Pani Anna miała w owe czasy lat pięćdziesiąt kilka, siły wielkie, włos ledwie szronem przyprószony, zdrowie żelazne. Ból zniosła w milczeniu i zaraz po pogrzebie syna; w silne, wprawne ręce wzięła zarząd domu, interesów i majątku.

Powstanie 1863 roku zastało tedy znowu w Gródku dwie kobiety i troje dzieci. Nie było syna na daninę krajowi—dawano tylko pieniądze. Płaciła pani Anna Rządowi Narodowemu—płaciła rosyjanom. Gródek zniósł w jednym roku cztery kontrybucye, a zniesienie nagle pańszczyzny zadało cios okropny.

Już i zapasy się skończyły — zaczęło się ciężkie, mozolne życie z kapitału. Prędko osiadała głowa pani Anny, zmarszczki poryły przed czasem twarz pani Barbary.

Świekra siwiała nad rachunkami, ona nad dziećmi.

Wacław miał dziesięć lat. Chłopaka hojnie obdarzyła natura. Piękny był, nad wiek rozwinięty, wesół i dobry. Więc matka widzia-

ła w nim bogaty materyał i drżała, aby się nie spaczył, nie zmarnował.

Filip siedmioletni — był brzydki, krępy, niepojętny i uparty. Ledwie umiał pacierz, a nie znał i znać nie chciał alfabetu. Nie znosił też wiele rzeczy — posłuszeństwa, porządku, stałego zajęcia w domu, nadzoru, nawet obuwia i kapełusza.

Zawsze obdarty, okaleczony, dziki, spędzał czas w chmielu, łożu, na drzewach — w towarzystwie dworskich i wioskowych rówieśników.

Więc matka płakała nad nim, widząc, że w najlepszym razie może zostać jarmarcznym szalawilą.

Trzyletnia Jadwisia była typową, miniaturową Barcikowską z rodowej tradycji.

Dziecko małomówne, poważne, dzikie.

Obchodziła się nawet bez niańki. Miała lalkę i cichutko się bawiła, siedząc na ziemi u kolan babki lub matki. Gdy ją Filip ciągał za włosy, szczypał, lub w podobny sposób okazywał swą wyższość, chroniła się pod opiekę Wacława, który imponował bratu siłą pięści i z całą powagą traktował rolę głowy rodziny.

I nad Jadwigą płakała matka, bo była brzydką, a z Gródka trudno już było zebrać posag dla córki.

Pani Anna, wśród swych kłopotów rozlicznych, nie zapomniała też o wnukach. Przedewszystkiem obchodził ją Wacław. Był i pozostał ulubieńcem i nadzieją. Widziała z dumą jego urodę i zdolności, roiła mu świetną karierę.

Filipa nie cierpiała, nie pozwalała o nim wspominać przy sobie, biła go codziennie. Jadwisią nie zaprzętała sobie głowy, żywiąc dla



kobiet wielkie lekceważenie, nie rachując ich do domu—jako fant, który pierwszej czy później oddać trzeba z dodatkiem pieniędzy.

Pani Anna wiedziała zaś dobrze z ciężkiego doświadczenia, jak ciężko zbiera się pieniądze z szarej, poleskiej roli.

W owych tedy czasach miał Wacław guwenera, a w długie, jesienne wieczory kobiety radziły, jak go mają pokierować. Rady jednak zwykle kończyły się jednym:

— Jeszcze czas!—mawiała matka, wzdychając na myśl rozstania.

— Straszno oddać w świat, za oczy!—szepotała babka—świat teraz coraz inny, cudzy, wraży. Szkoła cudza, urząd cudzy, mój Boże! Dziecko polskie dać w naukę do tych szkół! Straszne, straszne!

I nie decydowały się na nic.

Aż los przyszedł do Wacława.

Gródek rzadko miewał gości. Powstanie wymiotło na kraj ziemi większą część sąsiadów domowych. Z tymi, co zajęli ich domy i ziemię, nie było stosunków—rodzina rozpełzła się z czasem—przytem ludzie zgnębieni i pracowici nie radzi się bawią i odwiedzają.

Więc do osobliwości się liczyło, gdy razu pewnego pod czarny dwór zajechała bryczka pocztowa, a na niej podróżny w czapce urzędowej.

Gość długo czekał na domowych.

Urzędników przyjmowała pani Anna, więc zanim ją zwerbowano z folwarku, nikt do gościa w nienawistnym mundurze nie wychodził.

Zabawiał się tedy sam oglądaniem obrazów po ścianach. Były to stare sztychy i portrety. Sztychy przedstawiały Kościuszkę, Na-

poleona, Neya, Mickiewicza, księcia Józefa, hasła i typy ofiar ciężkich, krwawych a niewdzięcznych.

Żeby tych obrazów nie było na ścianach, reszta sprzętów i przedmiotów domowych nie byłaby tak uboga, zdarta, łatana, nie pokazywałaby tak dosadnie zawiedzionych nadziei i ciężkiej wypłaty za efemeryczną świetność.

Meble stały sztywno przy ścianach, zegar z kurantem na komodzie, naprzeciw szpinet odwieczny—na stole przed kanapą, pokrytym wytartą makatą, porcelanowe figurki i stare książki, w oknach wazonki z kwiatami, na kominie dwa piękne świeczniki brązowe a pośrodku popiersie Lelewela.

Gość wyjrzał przez okno na stary ogród. Lipy stuletnie ocieniały dom, zakrywały widok.

Powrócił tedy do stołu przed kanapą i otworzył jedną z książek: były to „Śpiewy historyczne.”

Po twarzy obcego przemknął uśmiech, jakim się wita dawno niewidzianego przyjaciela dzieciństwa. Usiadł, i począł czytać.

Ale w tej chwili rozległy się kroki w dalszych pokojach, szept, szelest kluczków, otwieranie i zamykanie sprzętów i drzwi się otworzyły.

Weszła pani Anna, z twarzą zimną i urzędową, przygotowana na najgorsze, jak zwykle, gdy czynownik przyjeżdżał. Będą „bumagi,” „sprawki,” „prikazy.” Zapewne nowe ciężary, podatki lub sądowe przykrości.

Przed miesiącem kazała cichaczem odnowić krzyż przydrożny — zapewne o to będzie sprawa i sąd. Tak była tego pewna, że nawet

miała w kieszeni pięć rubli łapówki dla urzędnika.

Ale urzędnik był nieznany, i na jej widok podszedł z uśmiechem i wyciągniętą dłonią.

— Ciocia mnie nie poznaje.

— Nie—(w mundurze nie miała krewnych). Potrząsnęła głową.—Co to? Szpieg chyba!

— A jaż Adam łowicz.

— Adaś!—zawołała, jeszcze nieufna.—Przecie Adaś w Petersburgu służy—co? Pułkownik pono? I to ty masz być? Jakże twoja matka?

— Już od trzech lat w ziemi.

— Nie może być! W moim była wieku.

— Ale ciocia na jej córkę wygląda. Zgasła jak świeczka na zapalenie płuc. U nas klimat okropny.—Trzeba życie przeżyć, żeby przywyknąć.

— A Julek, twój brat?

— Razem żyjemy! On dobre ma miejsce, dochodne—inspektora w wojennej artyleryjskiej szkole. W tym roku dostał Włodzimierza pierwszej klasy. Ten pójdzie wysoko. Dobre ma plecy.

— A jakże? Żonaci jesteście?

— Julek zapewne tem skończy. Dobra partya, jej ojciec generał.

— Rosyanin. — Pani Anna tylko tyle rzekła, ale gość się zająknął.

— Nie, kozak!—rzekł i wnet dodał: — Ja zapewne zostanę kawalerem. Nie mam powołania do małżeństwa.

— I Julka powinieneś ustrzedz! — odparła surowo.

— Naturalnie, ja mu perswaduję. Panna przecie więcej ma mocy nademnie.

Rozśmiał się i mówił dalej:

— Otóż najniespodziewaniej dano mi komenderówkę w te strony—śledztwo — za grubo się *przekradli*, doszło aż do ministerstwa.

— A ty gdzie służysz—w policji?

— Ciociu, litości! Proszę spojrzeć na mój mundur i nie hańbić go. Jestem inżynierem „putiejcem”.

— Daruj, nie chciałam ci ubliżyć, ale ja się na mundurach nie znam, inżynierów nie widuję. No, to dobrze, żeś krewnych przypomniał, bardzom ci rada — i ucałowała go w głowę.

Potem podeszła do drzwi, i zawołała:

— Basiu, możesz wyjść. To swój, Adaś Iłowicz. Trzeba go nakarmić i ugościć.

Synowa była młodszą edycją świekry. Tak samo ciemno ubrana, poważna, — pomimo młodych lat już smutna i milcząca. — Zapoznała ich pani Anna.

— To syn Walerki Tuhanowskiej — mojej ciotecznej siostry — wyszła zamaż aż w Witebskie — opowiadałam ci — a ona — wdowa po Sewerynie. Nie znałaś go — urodziliście się w jednym roku — i niema go!

Tu spokojny głos pani Anny zadrżał i zadrżały usta.

— Zostało troje sierot — i nas dwie — wdowy! Żałobny dom, nie wesoło ci będzie.

— Ciociu, ja nie szukam wesołości. Bardzom rad rodzinę poznać i może usłużyć. A dzieciaki już spore, chłopcy?

— Dwóch i dziewczyna! — szepnęła pani Barbara. — Najstarszy już się uczy trochę. Barczo zdolny!

— Lubię dzieci, szczególnie dziewczynki. Takie małe kobietki, to ogromnie zabawne.

Pani Anna wyszła, by się zająć posiłkiem gości. Synowa rzekła:

— Nasza mała nie zabawna. Mało mówi i nigdy się nie śmieje. Będzie mniszka chyba z niej.

Łowicz się roześmiał.

— I ciotka i pani są też bardzo poważne!

— Mało widując ludzi, odwyka się od rozmowy, a żyjąc samotnie i daleko od świata, mało się ma tematu do gawędy. Milczenie staje się drugą naturą.

— Nie mają panie sąsiedztwa.

— Swoich nie. Majątki wokoło po powstaniu pokonfiskowano, należą teraz do rosyjan i żydzi je dzierżawią.

— Przejeżdżałem przez ładny dwór, tu — o wiorst dziesięć.

— To folwark dóbr Potockich. Tam mieszką rzadca, imiennik nasz nawet, Barcikowski, ale nie krewny. Bywa tu czasem, w interesie, my nie bywamy u niego.

— Więc panie tak zupełnie same, zawsze!

— Zawsze! — odparła spokojnie. — Panu się to zdaje okropne; w rzeczywistości, gdy się nawyknę, nie czuję się braku ludzi. Jest dużo zajęcia, dzieci, gospodarstwo, w zimowe wieczory szycie i czytanie. Dni, lata, płyną niepostrzeżenie.

— Ha, zapewne! Ostatecznie wszyscy dojdziemy do tego samego końca. Więc tu, już prawie niema polaków?

— A są, bo płacimy zawsze kontrybucyę za powstanie, a ma być zniesiona w powiatach, gdzie dwie trzecie ziemi przejdzie w rosyjskie ręce. Parafia nasza liczy pięć tysięcy wiernych.



— A parafia daleko?

— W miasteczku, skąd pan jedzie.

— O siedmdziesiąt wiorst. I bliżej niema kościoła?

— Były jeszcze trzy. Z tych najbliższy w przeszłym roku zamknięto z rozkazu rządu, bo miał wieże wyższe, niż cerkiew. Podaliśmy prośbę, żeby pozwolono zbić wieże, ale odmówiono. Podobno mają mury sprzedać na cegłę. Dużo trumien jest w podziemiach, może pozwolą je przenieść na cmentarz, nie wiem! Drugi kościół drewniany groził upadkiem, od dziesięciu lat proszono o pozwolenie restauracyi, napróżno. A czas, a klimat, co rok gorzej niszczył. Nareszcie zjechała komisya i zdecydowała, że restaurować już nie można, a że grozi życiu parafian, więc go zamknąć kazano. I zamknięto!

— To niepodobne do wiary! — zawołał łowicz.

— Jeśli pan zechce u nas zabawić, pokażemy panu oba, niedaleko są. Trzeci trochę dalej, o mil dwie, ale ten, choć otwarty, nikt się w nim nie modli.

— Dlaczego?

— Bo przed dziesięciu laty, zmuszono w nim proboszcza, żeby dodatkowe modlitwy odmawiał po rosyjsku. Ksiądz potem rewokował i zesłano go na Sybir, ale odtąd wymagają od jego następcy, by to samo czynił. Więc albo lata całe niema proboszcza, albo, gdy trafią na człowieka małej wiary, który się zgodzi, odprawia nabożeństwo w pustej nawie. Bywa na niem policyant — i nikt więcej.

— Zaczynam wierzyć w opowiadania kolegi Piotrowskiego, który nam kiedyś podobne rzeczy prawił, a myśmy go nazwali szowinistą i deklamatorem.

— Nikt nie wymyślił nad to, co oni wymyślili!—rzekła ponuro pani Barbara.

— To są warunki okropne i o ile się zdaje nieodwołalne. Biada zwyciężonym! Co prawda, samiśmy temu winni.

Rozłożył ręce ze współczuciem obojętnem, obowiązkiem. Był to ruch i ton człowieka, który z faktem się pogodził, zbył zasady niewygodne, jak papiery, które spadły, kupił inne, i dla ludzi, którzy tamte zatrzymali i zbankrutowali, ma litość napół z pogardą.

Pani Barbara milczała, patrząc w ziemię.

— Stało się! — rzekł Iłowicz z westchnieniem.—Przegraliśmy partycję, przepadł kraj i byt niezależny. Trzeba sobie utorować nowe drogi, zdobyć nowy byt, poświęcić nowe hasło i sztandar. Dostyc biadania na zgliszczach w ślimaczem zaskorupieniu.

— A gdzież ten byt i droga?—ozwała się pani Barbara. — Przecie nam wszystkie drogi zamknięto, byt odebrano. Nie wolno być urzędnikiem w żadnym wydziale, nie wolno niczem się zajmować, nie działać.

— Tylko tu, w tym kraju. Całe imperyum zresztą stoi dla nas otworem. Owszem nawet, bardzo chętnie nas tam widzą, mnóstwo porobiło karyery, mają świetne posady i urzędy. Tam nasz byt i droga, tam nas poważają i liczą się z nami, kiedy tu pozostających mają w pogardzie i lekceważeniu. Bo i co ci tu wskó-

rają uporem i bezsilnym buntem! Przeciw takiej potędze, co to znaczy. To śmieszne!

Pani Anna stanęła w progu jadalni i słuchała.

— Wiesz ty co, Adasiu — ozwała się, gdy skończył. — Żebyśmy tak bezsilni byli, nie zużywaliby oni na nas tylu sił, nie byłoby wyjątkowych praw i gwałtów i nie trwalibyśmy dotychczas. Masz słuszość, tam byt i karyera, ale tu fundament. Żeby za ten byt nic im nie zaprzedać, byłoby dobrze; lecz straszno, bardzo straszno, żeby to, co się zatraci, nie było droższe nad tysiące, i chwałę, i ordery.

— Ciocia myśli o zatraceniu narodowości?

— Nie. Sumienia! Widzę ja urzędników, słyszę o eks-urzędnikach jako o nowych tutejszych obywatelach. Nikt nie spełnia obowiązku i za to pobiera pieniądze. I takie społeczeństwo ma nam dać byt — jakież to byt! To rozkład i truczizna!

— Ależ, ciociu, któż może za wzór narodu brać tutejszych urzędników, szumowiny i śmiecie!

— Przepraszam ciebie! Ich tu przysyłają na apostołów i kierowników. To są „patryoci!” Ich jest tysiące, może dziesiątki tysięcy. Szumowiny inne rządy usuwają od obcowania ze zdrowymi.

— To prawda, że com widział tu urzędników, to nie ciekawe figury. No, ale to naturalne, że na eksport idą zawsze żywioły niesforne, awanturnicze, a tu pokus im nie brak. Społeczeństwo jest zdrowe i potężne.

— Więc jeżeli urzędnicy są z szumowin, z czegoż pochodzą ci, co tu nabywają majątki?

— To są aferzyści, złakomieni na łatwy zarobek. Kupują za bezcen, i rzucają, wyeksplloatowawszy.

— Ależ ta ziemia jest częścią tej potężnej imperyi, a oni z niej czynią pustynię. Sprzedają w pień lasy, wbrew prawu, oddają w dzierżawę żydom, wbrew prawu. Więc ci ludzie także nie spełniają obowiązków. Któż tedy z nich służy idei? Kto utrzyma naszych, tam idących, w poszanowaniu zasad i sumienia i czego się od nich nauczymy tam.

— Polaków zasad nie trzeba uczyć!—rzekł z godnością i dumą Iłowicz.

— Ale oni je tam zatracić mogą, skażeni złym przykładem.

— A tu zmarnieją w bezczynności i nędzy! Wierzę, że bez idei żyć nie można, ale i bez chleba nie sposób. Co czynić zatem?

— Tak! Co czynić?—powtórzyła zamyślona pani Barbara.

Rozmowę przerwało wejście chłopaka najstarszego. Było to dziecko bardzo ładne, o myślących ciemnych oczach, smukłe, zgrabne; szedł do ogrodu na rekreacyę i na widok obcego chciał się cofnąć.

— Chodź tu, Waciu, przywitaj wujaszka!—zawołała nań babka.

Podszedł bliżej i uklonił się, zarumieniony aż po oczy. Iłowicz wziął go za ramiona, do siebie przyciągnął i pocałował.

Więc ty jesteś najstarszym z rodzeństwa. Cóż, uczysz się już? Do gimnazyum się przygotowujesz?

— Uczę się, ale do gimnazyum nie pójdę!—odparł chłopak z przekonaniem.

— Dlaczego?

— Bo to drogo kosztuje!

Matka się zarumieniła, zawstydzona ubóstwem, ale pani Anna potwierdziła spokojnie:

— Prawdę mówi. Ciężko nam jest i kuszo! Wychowanie szkolne będzie kosztowało tysiące. Siedm lat gimnazjum, cztery lub pięć uniwersytetu—a potem co? Zdobędzie chłopak dyplom, a zarazem wyrok wygnania z kraju. A przez te lata gdzie on będzie, pod jakim wpływem, w jakim towarzystwie.

— Niech mi go panie dadzą do Petersburga. Umieszczę go bezpłatnie i dopilnuję sumiennie!—zawołał Iłowicz.

Chłopak spojrzał nań zdumiony, wystraszony, potem na babkę i matkę.

Pani Anna ruszyła ramionami.

— Takiś sam raptus, jak twoja nieboszczka matka. Jej dobre serce nigdy nie rozważało, ani rachowało. Chodź jeść tymczasem.

— Ależ ja mówię z rozwagą — opierał się Iłowicz, gdy zasiedli w jadalni.—Zresztą to mi żadnego kosztu ani kłopotu nie przyczyni. Mam znajomych we wszystkich zakładach. Mogę go nawet ulokować u „Prawowiedów”.

— Co to takiego?—spytała pani Barbara.

— To najwyższa szkoła jurystów. Internat, prowadzony wzorowo, nauki najpoważniejsze i kto stamtąd wychodzi, ma zapewnioną posadę rządową w sądownictwie. Kto się tam dostanie, ten wielki los wygrał. Ba, ba, jeśli chłopak zdolny, to wysoko pójść może! Sędzia śledczy, prokurator, prezes sądu. Śmietanka urzędnicza! Karyera!

Kobiety milczały. Po chwili odezwała się pani Barbara:

— Chłopak bardzo zdolny. Egzaminował



go niedawno pan Jazwiński, nasz sąsiad, który właśnie uniwersytet skończył i mówił, że mógłby do drugiej klasy wstąpić.

— Szkoda, by się zmarnował!

— Co to? Zmarnował!—wtrąciła pani Anna.—Jak będzie uczciwym człowiekiem, to nie zmarnowany. Ja się o młodszego boję, by ten wstydu nie zrobił.

— Pewnie urwis!—uśmiechnął się Iłowicz, Babka machnęła tylko ręką, matka westchnęła.

— Niechże mi go ciocia pokaże!

— Nie ciekawy! Tenby potrzebował ojcowskiej ręki i różgi. Ten się zmarnuje, bo my mu rady nie damy. Nieszczęście!

Wacio stał u okna, zamyślony, wyglądając na podwórze, ciekawy rozmowy starszych. Zwróciła się do niego.

— Nie wiesz, gdzie Filip? Był na lekcyi?

— Był, ale go pan Tedwin zamknął do lamusa, żeby się lekcyi nauczył.

— Poproś pana Tedwina, żeby go tu przysłał.

— Kiedy go już w lamusie nie ma. Okno wybił i uciekł.

— Oto masz!—rzekła pani Anna.

— Ileż mu lat? — śmiał się Iłowicz.

— Dziesiąty zaczął.

Zawołała starego lokaja.

— Piotrze, zawołajcie - no Filipa. Pewnie jest na rzece.

Stary coś zamruczał i poszedł, wcale się nie kwapiąc. Wiedział dobrze, że zadanie było nad jego wiek i siły.

— Ja go przyprowadzę!—rzekła pani Barbara.

Gdy wyszła, pani Anna westchnęła.

— Za wiele spadło na moje barki. Po śmierci Seweryna zostały długi i zobowiązania, jakby życie na nowo rozpoczynać! A tu strach w oczy mi zagląda, że śmierć ubiegnie, zanim wypełnię obowiązki. Mam już sześćdziesiąt lat, a małe dzieci trzeba wychować. Basia nie podoła bezemnie.

— Ciociu, szczerze proszę, dajcie mi tego chłopaka. Nie ożenię się, będę miał dla kogo żyć i zbierać. Doprawdy, zajmę się nim, jak własnem dzieckiem.

— Lękam się!—szepnęła staruszka, trzęsąc głową.

— Zobaczysz go ciocia co roku na wakacye. Przecież naszych w Petersburgu kształci się tysiące, szkoły najlepsze.

— Ech, gdziebym ta śmiała ciebie wyzy-skiwać—rzekła, widocznie zachwiana w swem oporze.

— No, no, pogadamy jeszcze o tem! Ja tu, jeśli ciocia pozwoli, parę dni zabawię, a że w miasteczku będę musiał dłużej posiedzieć, jeszcze razy kilka o gościnność poproszę. Ciocia pomyśli, rozważy i może się zgodzimy.

— Tak, tak, nic nie nagli. Jedź i wypocznij. Pewnieś upałem zmęczony, każę ci pokój przygotować. U mnie w domu, jak syn się uważaj.

I na tem się skończył pierwszy szturm o dziecko.

Iłowicz posilił się, a że istotnie srodze był zmęczony drogą na pocztowej bryczce, chętnie się zgodził na kilka godzin snu.

Dano mu pokój ustronny, chłodny, przyćmiony i po chwili dom cały zapadł w ci-szę — letniego południa. Pani Anna poszła na

łaki, do kosarzy; pani Barbara po bezowocnem szukaniu Filipa, zajęła się nabiałem w piwnicy, pan Tedwin, guwerner, który też w gospodarstwie pomagał, ruszył do spichlerza, a Wacio z siostrzyczką poszli do ogrodu, bawić się.

Jadwinie polecano zwykle chłopcu i on swą rolę spełniał sumiennie. Brał ją za rękę i prowadził w kąt ogrodu, gdzie mieli sobie oddany kawałek ziemi, który im wolno było samodzielnie uprawiać. Kawałek ten podzielili na dwie części, nie mogąc się z Filipem pogodzić. On w swej części chciał mieć puszcę, a w niej fortecę. Znosił tedy cegły i kamienie, włóczył gałęzie i deski—kopał rowy, urządzał fantastyczne mieszkania na drzewach lub w ziemi. Uprawy nie chciał, nie nie sadił, ani siał. Oni na swej części mieli grzedy i altany, darniowe ławki i gracowane ścieżki, a w starej budzie—opuszczonej lodowni — chowali króliki.

I tego dnia, jak zwykle, zebrali przedewszystkiem liści warzywa dla swego inwentarza i poszli do budy. Króliki zbiegły się na wołanie i brały karm z ręki Jadwini. Wicio tymczasem dobywał narzędzia: gracę i grabie.

W tem, w puszczy Filipa, rozległo się gwizdanie—het, gdzieś na drzewie.

— Filip, mama woła! — rzekł brat.

Wśród gałęzi widać było fantastyczną budowlę kijów, łoży i desek. Z przedziwnym sprytem dziki chłopak to sobie urządził i był tam istotnie niedostępny, dla babki, matki, starego Piotra i pana Tedwina. Że zaś podobnych kryjówek i gniazd miał mnóstwo w ogrodzie, nie można go było wytropić.

Słyszał wołanie brata, ale dalej gwizdał.

— Filip, idź do mamy, gość przyjechał, wujaszek z Petersburga, chce ciebie widzieć.

Zamiast odpowiedzi, z góry padł kamień i strącił mu kapelusz. Wacio się zaperzył.

— Jak śmiesz mnie bić?

— Precz, ty gramatyko! Mam łuk i procę, bądź rad, że ciebie nie zaczepiam!—odparł zuchwały głos z drzewa.

— Waciu, daj mu pokój!—szepnęła Jadwisia.—Wczoraj mnie straszył, że nasze króliki wypuści do ogrodu i z łuku postrzela. On to robi, jak się rozgniewa.

— Niechby spróbował. Ale on odważny na gębę tylko.

— Ja! — oburzył się Filip, ukazując się z pośród liści.

— Ty! — potwierdził śmiało starszy.

Gałęzie zachygotały. Jak kot przesunął się po nich na dół i stanął przed nimi chłopak barczysty a chudy, jak bywają chłopskie wyrostki, o twarzy zuchwałej, nieładnej, spalonej słońcem i wichrem. Czarne włosy jeżyły mu się na głowie, odzież była podarta, ręce pokaleczone, nogi bose.

Miał w ręku łuk, bardzo dowcipnie zrobiony, o cięciwie z włosienia a za pasem procę skórzaną i pałkę okrutną, jak buławę.

— No, czem się ty będziesz bronił!—zawołał — kładąc strzałę na cięciwie.

— Ot czem! — odparł Wacio i zanim się tamten opamiętał, chwycił go za ramiona, łuk z rąk wytrącił i poczęł się szamotać.

— Jadwisiu, pomóż! — wołali, to jeden, to drugi.

Jadwisia radaby usłuchała Wacia, ale gdy tylko się zbliżała, Filip ryczał: Króliki! i cofała

się, wylękała. A oni się tarzali po ziemi, śnać sił równych nie mogąc zwyciężyć.

Bitwy takie trafiały się codziennie, ale Wacio czuł, że brat coraz silniejszy. I nie dziw. On je toczył z musu, tamten za sport i honor sobie miał, i ćwiczył się z wiejskimi kolegami w każdej wolnej chwili.

— Puść! — zawołał jeden.

— Nie duś! — zajęczał drugi.

Obadwaj tracili siły. Wacio chciał honor zachować.

— Puszczę, gdy przysięgniesz na pokój!

— Ale nie ci nie dam!

— Byleś nas w spokoju zostawił.

-- Byleś mnie nie śmiał tchórzem nazywać.

— No, puść!

Chwilę sapiąc, siedzieli na ziemi naprzeciw siebie. Nie mieli już żadnego gniewu, ani myśli zdrady.

— No, pomożesz nam gracować! — rzekł Wacio.

— Jeśli mi pomożecie wykopać jaskinię!

— Masz tyle dołów, po co ci jeszcze jaskinie! — protestował Wacio, który wołał czytać głośno z Jadwinia.

— Po co? Bo trudno ją zrobić! — odparł Filip — a w razie wojny, najlepsza to forteca. No, dajcie gracę, a mała bierz grabie.

Wziął się zajądło do roboty, udając dorosłego chłopca, spluwając w ręce, ocierając rękawem pot z czoła i gwiżdżąc. Wkrótce wyprzedził ich daleko, skończył robotę i na gracy wsparły, począł im urągać.

— Panyecz, panienka! — drwił po rusku—

panowały zdużajut, a roby ty, Pyłyp!—i zaklął grubo.

— Fe, Filip! Żeby to babunia posłyszała!— odparł Wacio, zasapany.

— Toby dała w skórę, jeślibym się dał złapać! — odparł tamten lekceważąco. — No, chodźmy do jaskini! Mała nieś rydel!

Kapelusz zsunął z czoła i poszedł naprzód.

Poprowadził ich przez chmiele i chwasty, na piaszczysty wzgórek, gdzie zakopywano kartofle. W jednym z tych dołów rył już oddawna w głąb i wygrzebał sporą jamę. Piasek się ciągle osuwał i psuł w jedną chwilę tygodniową robotę. Z cierpliwością niepojętą, przy jego niepokojnej naturze, chłopak rozpoczynał pracę na nowo.

I teraz kopaniem sam się zajął. Jadwinia zbierała piasek do koszyka. Wacio go z dołu wynosił. Pracowali tak więcej godziny, mało co mówiąc, zziajani, gdy w tem Filip zaklął, piasek się znowu osypał, napełnił jamę. Jadwinia, która się przejęła zadaniem, była bliska płaczu, Wacio koszyk cisnął.

— Nic z tego nie będzie — zdecydował.— Chodźmy ztąd!

— Jakto, nie będzie!— oburzył się Filip.— Ja sobie poprzysiągłem, że zrobię—i zrobię! Ma mnie głupi piasek zwojować, a nie doczekanie!

— To sobie sam rób, ja nie głupi! Chodź Jadwiniu!—rzekł Wacio.

— Idźcie, idźcie, próżniaki! Idźcie panować i bawić się. Ja i bez was się obejde i będę miał jaskinię!

I napowrót rozpoczął niewdzięczne zadanie.

Długo się męczył sam, gdy w tem z góry dobiegł go nieśmiały głosik Jadwini:



— Filip, może ci pomódz!

— A gdzieżeś podziała panicza?

— Przyszedł do naszego ogródka ten wujaszek, co to przyjechał, powiedział Waciowi, że go ze sobą zbierze, kazał pokazać kajeta i książki, poszli do domu, a ja tu! Dlaczego ten wujaszek ma Wacia zabrać?

— A no, pewnie do szkoły. On się tu na nic nie zdał, niech jedzie!

— A jak on pojedzie z wujaszkiem, to jakże będzie z ogródkiem. Może on i króliki z sobą zabierze?

— Głupiaś. I króliki i ogródek ja obejmuję pod moją władzę. A ty będziesz musiała mnie słuchać.

Była to dla Jadwini tak straszna ostateczność, że usiadła w piasku i poczęła płakać. Filip wyrzwał z dołu.

— A co? Boisz się mnie, ty mała. To dobrze!

Jadwinia szlochała coraz bardziej.

— Czego ryczysz? Przecie ciebie nie biję. Jak mnie będziesz słuchać i przysięgniesz mi wierność, będę dobrym wodzem!

To wcale nie uspokoiło dziecka. Zanosila się łkaniem. Szczęściem opodał za płotem, ścieżka szła od piwnicy i wracała nią pani Barbara. Dzieci jej nie widziały, aż stanęła nad samym dołem.

— Co ty tu robisz, Filipie?—spytała swym łagodnym, cichym głosem.

Chłopak obejrzał się przerażony i pierwszy ruch był—do ucieczki. Myślał, że to babka.

Ale przed matką nie uciekał nigdy. Pozostał tedy i odparł spokojnie:

— Jaskinię sobie kopię!

Pani Barbara przytuliła do siebie Jadwinę, ocierając jej łzy i całując w głowę. Dziecko przytuliło się do niej, objęło rękami. Nie pytała, czego płacze, ale pocieszała, dziecko się nie skarżyło, ale przestało łkać. Usiadła z niem na ziemi, na skłonie dołu i spytała dalej Filipa.

— A pocóż ci jaskinia?

— Żeby mieszkać!

— W piasku nic nie zbudujesz, chyba dasz podpory w tym twoim korytarzu.

— Jakto?

— Ano, po bokach utwierdź kołki i na nich pólóż deskę, wtedy ci się piasek nie osypie.

— To prawda!—rzekł uradowany.— A kto mamę nauczył?

— Czytałam to w książce, gdzie opisują przygody jednego rozbitka na bezludnej wyspie.

— I on sobie jaskinię zrobił?

— Zrobił sobie mieszkanie i sprzęty i broń i odzież.

— Tak,—sam??!!

— Sam, i bez żadnych narzędzi, bo z okrętu rozbitego uratował tylko życie.

— A jakże on to zrobił?

— Żebyś chciał posłuchać, tobym ci to przeczytała.

— Kiedy?

— Ano, wieczorem, albo rano! Ale ciebie nigdy w domu nie ma, i gdy cię wołam — uciekasz.

— Nieprawda! Umyślnie od mamy nigdy nie uciekam, ale nie mam czasu siedzieć w domu, a jak wpadnę w ręce pana Tedwina, albo

babuni, to już cało nie wyjdę. A już mam swoje gospodarstwo i robotę.

Uśmiechnęła się nieznacznie pani Barbara.

— Pokaż że mi swoje gospodarstwo? — rzekła poważnie.

Chłopcu pochlebiło to zajęcie. Wygramolił się z dołu.

— A co mama chce pierwszej zobaczyć, moje domy, czy moje dobytki? — spytał.

— Domy! — odparła.

Poprowadził ją tedy w najgorsze gąszcze i chmiele, ścieżkami, które sam wydeptał i pokazał fantastyczne budowle. Musiała podziwiać pracowitość i spryt, z jakim je klecił samoistnie, swemi małemi siłami, z desek, gałęzi i liści. W jednym, wydłubanem w spróchniałej olbrzymiej topoli, miał swe skarby i dostatki. Posłanie z mchu, narzędzia, wycyganione u dworskiego cieśli i kowala, zapasy żywności, to jest różne warzywa i owoce i broń. Pokazał jej wszystko — dumny — a ona pomyślała, że był w nim materyał, ruda, którą, jeśli kto przetopić i odkuć potrafi, użyteczną się stanie. Byle go okiełzać było można.

Dotychczas wszelkie próby kultury okazały się płonne. Teraz próbowała jeszcze innego sposobu.

— Bardzoś to dobrze urządził! — rzekła, kładąc mu ręce na ramiona i całując w czoło. — Żebyś mnie kochał, tobyś już w niejednem pomódz mógł.

— Jak mama mnie będzie potrzebować, to pomogę! — odparł z przekonaniem. — Postawię jeszcze jeden dom, tak wielki, żeby i mama się zmieściła. A może mama chce ryby? — dodał uprzejmie.

— I owszem! Gdzież twoja ryba?

— Zobaczę, czy się co wzięło.

— Gdzie? Zastawiasz więcierze?

— Oho, chłopcy zastawiają, ja wytrząsam.

Oni później odemnie wstają.

— Ależ to kradzież, Filipie.

— Nieprawda! Babunia gniewała się na Sawę strażnika, że pozwala chłopom u nas kosze zastawiać. Sawa pozwala, bo mu za to dają wódkę, ale ryba nasza — ja zabieram.

— I cóż z nią robisz?

— Nic, do wody wrzucam. Czasem komu dam.

— Komuż?

— Bazyłowej! — odparł niechętnie.

Bazyłowa była to stara niańka, emerytka, która jedna w całym dworze lubiła urwisa.

Pani Barbara zrozumiała nagle, że ta stara chłopka potrafiła lepiej od niej oswoić dzikie dziecko.

— A czemużeś mnie nigdy nie dał?

— Czy ja wiem, co w domu robić? — mruknął. — Tam wszyscy na mnie krzyczą, a pan Tedwin linie mi na łapach onegdaj połamał.

— Bo trzeba się uczyć, dziecko. Widzisz, Wacio się uczy, za to go ten wujaszek chce z sobą zabrać do szkół, gdzie jest mnóstwo kolegów.

— Niechby mnie spróbował stąd zabrać. Za nic bym nie poszedł! — oburzył się Filip. — Ja się nie chcę uczyć, ja chcę pracować!

— Nauka jest najlepszą pracą.

— Nieprawda — pan Tedwin mówił, że trzeba się uczyć, żeby mózdz panować i nic nie robić. Wacio to lubi, ja nie chcę.

— A czemuże ty chciałbyś być?

— Ja będę wielkim siłaczem i takim chyt-  
rym, że mnie nikt nie okpi!

— Okpi cię biedaku każdy, kto czytać  
i pisać będzie umiał. A ja myślałam co innego  
o tobie.

— Co mama myślała?

— Myślałam, że gdy Wacio do szkół pójdzie, ty Jadwinią się zaopiekujesz, mnie pomożesz, a jak wyrośniesz, babunię wyręczysz, będziesz gospodarzem, naszą pomocą i podporą!

Chłopak się zamyślił i milczał.

— A ty Jadwinię krzywdzisz, do łez doprowadzasz. To nieszlachetnie, boś silniejszy a ona malutka.

— Ja jej nie krzywdziłem, ona beczy, sama nie wie, po co. Ja jej nic złego nie zrobiłem. Co mi za sława z taką figą wojować.

— Wojować godzi się z silniejszym, a ze słabszym to wstyd.

— Jabym i mamie pomógł, ale proszę mi konia dać! — zawołał nagle.

— Konia, a to po co?

— Bo będę miał swoje gospodarstwo i mamine. Trzeba mi koniecznie konia.

— Żeby cię zrzucił i pokaleczył.

— O jej! Małom się ja na chłopskich na-  
jeździł i jeszcze mnie żaden nie zrzucił. Na łące  
złapię i jadę. O jej!

— Konia ci darować nie mogę, bo nie mam,  
ale mogę ci dać to kasztanowate źrebię od o-  
grodowej klaczy, jeśli mi za nie odsłużyysz i bę-  
dziesz posłuszny.

— Oho, mama zechce, żebym siedział  
w szkole nad książką. Tego ja nie mogę obie-  
cać, bo nie wytrzymam. Nie cierpię pana Te-  
dwina, bo on podły.

— Dlaczego podły? Fe, Filip!

— A podły, bo on silniejszy, a ja słabszy i on mnie bije. Mama sama mówiła, że to wstyd!

— To co innego, on cię karze i ma prawo, bo jest władzą twoją, której nie słuchasz.

— Et, co on za władza!—pogardliwie rzekł chłopak.

— Więc, kiedy on ci wstrętny, ja ciebie uczyć będę. Dwie godziny na dzień, a poza tem będę się tobą wyręczać, będziesz mnie pomagał i będziesz się Jadwiną opiekował. Za to daruję ci żrębię.

— Całkiem mama daruje?

— Całkiem, jeśli ty mi dotrzymasz zobowiązania.

— Pomyśle! — odparł chłopak z całą powagą.

Ucieszyło to panią Barbarę, że lekko-myślnie się nie zgodził. Śnać chciał wypełnić sumiennie.

— No, a teraz powiedz mi, gdzie są twoje buty i nowy spencerek. Trzeba się ubrać przyzwoicie, bo gościa mamy, który się o ciebie pytał.

— Buty są u Bazyłowej, a spencerek, to się podarł wczoraj,

— Ależ, dziecko, ledwieś go dostał. Ty wcale mnie nie kochasz, że tak niszczysz i nie dbasz o ubranie.

— Co ja zrobię, że się podarł? Ja o drugie nie proszę. Mama mi sprawia takie niemo-cne, że byle na jedno drzewo się wdrapać, to już się podrze. Bazyłowa obiecała zaszyć, jedna tylko dziura na plecach, zaczępiłem się o gałąź



i zaraz się przedarło, żeby nie koszula mocna, tobym spadł.

— Ach, Filip, jakże ty się wujowi pokażesz?

— Niech się mama nie martwi. Zjem kolację u Bazyłowej, co mi za ciekawość — wuj!...

— Ależ musisz przyjść, dziecko. Co sobie wuj pomyśli?

— A zkadże on o mnie wie? Pewnie pan Tedwin mnie ogadał przed nim!

— Et, bredzisz. Chodźże ze mną. Dam ci niedzielny garnitur, przynies buty!

Chłopak się kopnął do oficyn, ale za pierwszym klombem zmienił kierunek i popędził w ogród.

Tam nad rzeką, na łączce pasła się klacz, obsługująca ogród i dwór.

Chłopak, opodał jej, w trawie usiadł i począł żrebie oglądać pożądliwym wzrokiem.

Może je posiąść, ale jakim kosztem? Ciężką walkę toczył z sobą, jednak pokusa była za ponętna. Zerwał się, żrebie złapał za szyję, pocałował w chrapy — i poleciał do Bazyłowej po buty.

Przy kolacyi Iłowicz poznał tedy całą gromadkę w komplecie, ale uważał tylko na Wacia: Stanowczo z lekko rzuconej propozycji, doszedł do prawdziwej chęci zabrania ze sobą ładnego, inteligentnego dziecka. Bawiła go myśl, że sobie wychowa chłopaka, że będzie miał zajęcie i rozrywkę, a znajomych zaintryguje — tym nabytkiem.

Na tamtych dwoje ledwie spojrział.

Pani Anna opowiadała mu swe gospodar-

skie kłopoty, a był to temat dla niego bardzo ciekawy i nieznany.

— Tak, dziko u nas, o kulturze ani słychu, i jakżeby się dała zaprowadzić. Rąk nie ma do pracy, chłopci tyle ziemi dostali po uwłaszczeniu, że dotąd jeszcze odłogiem leżą całe szmaty ich pól, tak zw. „wakantnych.” Na naszych gruntach i lasach mają serwitut.

— Jakże to jest? Czytam o tem czasami, ale doprawdy nie rozumiem.

— A no, wiesz ma prawo pastwiska na dworskich gruntach, a z lasu mogą brać opał i materyał.

— Tak, darmo?

— A darmo.

— No, a któż podatki płaci?

— A no, my.

— Więc czyż to jest właściwie?

— Tego, kto tem rozporządził—chyba rządu—odparła gorzko pani Barbara.

Pan Tedwin, guwerner, szlachcic okoliczny, który w procesach z chłopami stracił swój folwarczek i goryczy morze zebrał, wmięszał się do rozmowy.

— Ta, w Gródku jeszcze pół biedy, bo obszar okrutny, więc tak nie dokuczy, ale u nas, panie, było szlachty pięć dworów, a na to trzy wsie. Ogrody nam spasali, las wyniszczyli do krzaka, wpędzali bydło na grzędy z kwiatkami, pod oknem. Kiedym ze szkół wrócił, chciałem coś postępowego zaprowadzić, zasiałem koniczyzny, wysadzałem drogi, poprawiłem rasę bydła, chciałem las oszczędzić, hodować!! Com posadził, wyłamali—com zasiał, spaśli—com hodował, kradli, lub niszczyli. Potem mieszkałem już u sędziego w „kamerze”, bo adwokatów nie

było czem opłacać. Przegrywałem zwykle, bo każdy sędzia tutaj, to chłopoman i „apostoł”, na łapówki nie starczyło mnie zaś! A kiedym wygrał—to była fikcja—wyrok, wobec tłuszczy. Wojskaby trzeba, żeby sprawiedliwość wymierzyć; nazajutrz był nowy gwałt, bezprawie, rozbój—i znowu sprawa. Jeszcze i mścili się. Spalili mnie trzy razy, a żem się zawsze ubezpieczał, więc zaczęli bydło truć. Takim trwał dziesięć lat. Nareszcie nie stało energii, zdrowia i środków, poddałem się! Aż tu w przeszłym roku przychodzi rozkaz, żebym dla chłopów dał drew i materyału, bo już lasu nie było, zniszczyli go, wyrąbali, zagajnik spaśli. Nic, zostały krzaki.

— Więc zkądże pan miał dać — zawołał Hłowicz.

— Kupić miałem—rozumie pan — kupić!

Chuda, ostra, żółtą skórą pociągnięta twarz szlachcica stała się przerażającą wyrazem wściekłości.

— Tegom już nie wytrzymał. Sprzedałem niedobitki inwentarza, sprzedałem budynki, narzędzia, nasiona i uciekłem z duszą. Człowiek się na mękę rodzi, to prawda, ale co zanadto, to basta.

— Doskonale pana rozumiem. Tylkobym to był od razu zrobił, żeby mnie los pokarał taką własnością.

— Nie mów tak, bo decydujesz o rzeczy, której nie rozumiesz!—rzekła pani Anna.—A pan Tedwin także niech wobec mnie nie udaje, że rad jest ze swego czynu. Źle zrobił, i czuje to i choruje na żółć i wątrobę, teraz dopiero, kiedy pozbył się kłopotu. Czemu pan przedtem zdrów był, czemu?

— Bom był młody i silny!

— Nieprawda. Był pan zdrów, bo sumienie miał spokojne! Po co kłamać, albo ja nie wiem, gdzie pan jeździ w niedzielę, niby to do kościoła. Myśli pan, że gdyby pan naprawdę jechał do kościoła, gdzie ten tam śpiewa po rosyjsku, ja bym pana puściła przez próg mego domu! Ale ja wiem, że pan jedzie do swej opuszczonej Zielonki, popatrzy na nią, dowie się, co się z nią dzieje, powłóczy się tu i tam i wraca, głowę zwiesiwszy.

— Prawda, bywam!—zaperzył się Tedwin—ale po to tylko, żeby się doczekać, aż się chłopci między sobą pozarzynają!

— Mój panie! Po co te wykręty? Ciągnie tam pana kleszczami—i było mnie się poradzić, zanim pan głupstwo zrobił. Stara jestem, znam choroby, wiem lekarstwa i wiem, czego się wystrzegać. Warunki są bardzo ciężkie, ale jeśli panu się zdaje, że ten bitwę wygrał, kto się z pola wycofał, to niech pan chłopcom historii nie wyklada!

Tedwin milczał, pobity.

— A jakże ciocia daje sobie rady z serwitutami? — zagadnął Iłowicz.

— Staram się tem nie irytować, kiedy zmienić nie mogę, spraw nie rozpoczynam, chłopów nie drażnię. Dawniej, za mego męża, stosunki z wsią były fatalne, jest o tem nawet legenda. Teraz spokojnie. Ale powiedz, co za rezultat z takiego ustroju. Naturalnie uczyniono to, by zaszcześcić ferment między dworem a wsią, osłabić żywioł polski. Ale czy to moralne, czy sprawiedliwe, czy korzystne dla samego państwa? Chłop karmiony jest nienawiścią dla inteligencji, zbałamucony stronno-

ścią praw i sądów, zdemoralizowany przez urzędników.

A przecie to poddani tego państwa! O krok nie postąpili ani w oświacie, ani w dobrobycie—zdziczeli tylko, jak ciemny tłum, któremu wszystko wolno. Wolno im dzisiaj wyzyskiwać i krzywdzić dawnych panów, a później, odcierpią za to dzisiejsi panowie. Kto sieje wiatry, zbiera burze! Nie myślą o tem „patryoci i apostołowie!”

— To okropne, co oni z chłopów zrobili!— rzekł Tedwin.—Szkółki uczą czytać i pisać ni by, ale chłop nie ma co czytać i gdy naukę skończy już ją zapomniał. Ledwie setny umie nagryzmolić swój podpis. Religia jest formą, zabobony pogańskie w całej świetności, niemoralność, o której pojęcia nikt niema, kto tego nie widział, nie żył wśród nich; kradzież zwyczajem, nieposzanowanie rodziców, mordy, gwałty pijaństwo, pieniactwo, mściwość. A przytem żywot nędzny, w brudach, niechlujstwie, bez żadnych aspiracyi i uczuć, na poziomie domowych zwierząt. Życie mi oni zatruli, ale czasami żał mi ich szczerze.

— Ale jakże tu się urządzają nowonabywcy, rosyanie?

— Wcale o tem nie wiedzą. Majątki ich żydzi dzierżawią.

— Okropne warunki! I ludzie stąd nie uciekają! Chyba robią świetne interesa?

Tak, świetne! — potwierdziła lakonicznie pani Anna, wstając od stołu.

Na to hasło pierwszy ulotnił się Filip, sturknąwszy babkę w łokieć, w formie podziękowania za posiłek, po nim znikła Jadwinia, wyszedł Tedwin, aby na gumnie pani Annie

być pomocnym, a pani Barbara zaproponowała gościowi spacer i zawołała ze sobą Wacia.

Wyszli tedy przed dom, za bramę, piaszczystą drogą, ku rzece. Dzień się miał ku schyłkowi, ciepły, cichy, przesiąkły wonią traw skoszonych i wilgotnemi oparami.

Rozejrzał się Iłowicz po okolicy. Brzydka była i monotonna. Szara wieś z jednej strony, o wiorstę może od dworu, piaszczyste pola, zasiane ubogiem zbożem, już płowem, na horyzoncie czarna linia lasów olchowych, po nad rzekami, gdzieindziej samotna sosna, wiatrak na wydmie, i nieskończoność łąk, łąk — jak okiem sięgnąć, na których, jak klomby, rozrastały się ogromne łoży i dęby rosochate i niskie, pełne pszczelich ulów, w kłodach wyżłobionych.

Tylko za dworem i sadem, kędy rzeki się zbiegały w jedno potężne ramie, zwracał zwrok i uwagę wzgórek, widocznie sypany, a na nim w chmielach i krzakach, gruzy forteczki Barcikowskich.

— Jak tu cicho, pusto! — rzekł Iłowicz — stając i rozglądając się wokoło. Te wody nie widać, aby płynęły; senność tu ogólna i jakieś zadumanie w całym krajobrazie. Czy tu ludzie kiedy śpiewają i śmieją się?

Jakby w odpowiedzi, ktoś w łożach śpiewać począł. Dziewczyna zganiała bydło do domu z za rzeki. Widać było w gąszczu łby rogate i pastuszkę w okopconej od dymu koszuli i spódnicy, bosą, ledwie odzianą, z pękiem jakichś traw na plecach.

Nie śpiew to był, ale zawodzenie, jęk, skarga.



Już ludzie pożeli  
 A nasze pomięli.  
 Oj dolaż moja, dola.  
 Swoje powozili  
 Nasze poniszczyli.  
 Oj dolaż moja, dola.

Łłowicz uszy zatkał, pani Barbara smutno się uśmiechnęła.

W tem, bydło wydostało się nad rzekę i weszło w nurt. Płynęły zaraz i ukośnie pod prąd, płynąć poczęły ku wsi. Dziewczyna na brzegu miała czółno, raczej koryto niezdarne, w niem zamiast wiosła, gałąź sosnową. Odbiła i począł ją także prąd nieść, mało co pomagała gałęzią i zawodziła dalej.

— Utopi się!—szepnął Łłowicz przerażony.

— Pływa jak kaczka i codzień odbywa tę przeprawę.

— I to jest śpiew!

— Tak, jaki krajobraz, taka melodia. Wesele nie bywają oni nigdy, chyba nietrzeźwi.

— Mój Boże, jakie to smutne. Dlaczego te ule stoją na drzewach, nie na ziemi?

— Bo co wiosny rzeka wzbiera i zalewa te łąki do wysokości właśnie tych uli. Wtedy jesteśmy jak na wyspie, zupełnie od świata odcięci.

Z za rzeki teraz rozległ się tentent koni i ukazało się stado duże, które zaganiało dwóch chłopaków oklep. Z pluskiem wszystko wpadło w wodę.

— To nasze!—ozwał się Wacio—Filip już tam.

— Gdzie?—zawołała przerażona pani Barbara.

— A, ot na bułanym płynie. On to co-

dzień robi. Tak się dziś złościł przy kolacyi, bo się bał, że nie wyśpieszy.

Wśród parsających głów końskich, wypatrzyli czarną czuprynę urwisa. Bez uzdy, rękami obejmując szyję konia, płynął. Pani Barbara pobladła, Iłowicz oddech zatamował.

Filip widział ich także na wybrzeżu i czuł burzę w powietrzu. To też gdy konie zgruntowały i brodziły już, chłopak zsunął się w wodę, coś do pastucha szepnął i znikł w łożach. Na drogę wybrnął tylko jeden jeździec, Michałko, koniuch.

— Gdzie panicz?— zawołała pani Barbara.

— Nie wiem, nie widziałem — odparł i popędził ku dworowi.

— Niech się mama nie boi—rzekł Wacio— on się schował, jak mamę zobaczył. Widziałem, jak ruszały się łoży.

— A ty nie masz gustu do tej zabawy— zagadnął Iłowicz.

— Nie mam czasu, bo się uczę, a w niedzielę wolę czytać wiersze.

— A jakież czytasz? Znasz śpiewy historyczne?

— O, to i Jadwinia już umie na pamięć. Ja czytam Mickiewicza i Wincentego Pola. Co mi się podoba, to sobie przepisuję w kajet.

— No, to mi zadeklamuj jaki ustęp.

— Jaki wujaszek chce?

— Ach, kochanie, ty je lepiej odemnie znasz i pamiętasz.

— Można, mamusiu, wujowi powiedzieć takie, co to nie są pisane, które mnie mama sama uczyła?

— Można dziecko, wuj przecież „swój.”

Chłopak chwilę zbierał myśli i zaczął:

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo  
I spojrziałem dokoła. Dwieście armat grzmiało!

— Co to?— zagadnął z cicha Iłowicz.

— „Reduta Ordona!”—odparła trochę zdziwiona pani Barbara.

Jej się to wydawało niepojętem, żeby kto nie znał — ba — nie umiał na pamięć takich pamiątek. Jednocześnie prawie z pacierzem, nauczyła ją tego matka, ona tak samo oddała dzieciom. Szli powoli ku ruinom i Iłowicz słuchał z zajęciem dźwięcznego głosu wyrostka, który z błyszczącymi oczami, przejęty, rozpalony zapalem, deklamował bohaterski rapsod. Rozumiał, co mówił i drżał cały.

Pani Barbara położyła mu rękę na ramieniu, a gdy skończył, pocałowała w głowę.

— Ślicznie!—rzekł Iłowicz.— Pamięć masz kapitalną.—Dziękuję ci!

Zwrócił się do matki, i z cicha zauważył.

— Pani się nie lęka o jego fantazyę. Karmiona takimi utworami, wybuja nad miarę, a w życiu trzeba być trzeźwym, zimnym. Idealistów los traktuje bez litości.

— Ale zimni i trzeźwi czem sobie złą dolę ozłocą? Niech chłopak ma cześć dla bohaterstwa, aby sam pragnął być szlachetnym. Zresztą, jeśli ja go nie nauczę przeszłości — kto go nauczy, kim jest, co ma przechować, przy czem trwać. To mój obowiązek — matki!

— Trzeba wiele zapomnieć nam!

— Tylko nie wiary i narodowości. Waciu, powiedz-że jeszcze wujowi ten wiersz, com ci ostatni podyktowała.

Wstąpili już na wzgórek forteczki i zatrzymali się na wale — od rzeki. Jeszcze szer-

szy był ztąd widok na płaski kraj wód i łąk. Pod stopami nurt płynął żywiej, tłukł o brzeg, wirował.

— Usiadźmy—jeśli pan chce! To jest właśnie ten Gródek, który dał nazwę posiadłości Barcikowskich. Tu oni stróżowali całej okolicy od wrogów przez trzy wieki!

Usiedli, a chłopak podumawszy chwilę, zamysłony i poważny, jął mówić:

Po cudzego świata szerokich ziemicach,  
Choć bieda i smutek przez ścieżkę tułaczą,  
Iść z dumą na czołe, z pogodą na licach  
Mir zrobić z nadzieją, a rozbrat z rozpaczą;  
O cześć, ni o litość u obcych nie prosić,  
A kraj swój miłować i myślać i czynem  
Brzemień męczeństwa bez sarkania znosić

*Usque ad finem.*

Hłowicz słuchał i rozważał. Tak tedy chowały, tem karmiły matki dzieci, w kraju, przeznaczonym na zagładę—w narodzie, który skazany był przez Europę całą na wyniszczenie. Biedne dzieci, nierozważne matki — szalone społeczeństwo! Tę pieśń przebrzmiała i tę ideę zgasała, dają im jak grunt i światło do życia. Własnoręcznie, ślepe, obłąkane, oddają znowu pokolenie do boju — bez przyszłości do trudu, bez zapłaty. do oporu bez logiki.

I znowu pokolenie zmarnowane i przedłużone tylko męki konania. O, ślepi, głupi, szaleni!

Zwiesił głowę, była wielka cisza wieczoru pół i tylko głos chłopca płynął w powietrzu.

Rozważać szeroko o błędach przeszłości,  
A przyszłość budować świetniejszą i trwalszą,  
A radzić spokojnie, bez swarów i złości,  
By plon, jaki ostał na epokę dalszą,

Poprawiać, nie niszczyć i nie plwać wgardliwie  
 Na to, co niegdyś wieńczono wawrzynem,  
 Droga postępu iść po ojców niwie

*Usque ad finem.*

— Przyszłość! Gdzie ona? — westchnął Iłowicz. Jednakże czar poezji i jego duszę poruszył.

Oportunistą był do gruntu, ale zaraźliwe było tu powietrze, zaraźliwe uczucia. Żal go zdjął, tej przeszłości wielkiej, ból — upadku i zguby.

— Przyszłość w Bożej woli! — odparła pani Barbara. — Nie wolno nam rozsądzać, co On uczynić zechce, ale wolno Go prosić, a obowiązkiem jest wierzyć. Wierzyć, że On rękę karzącą z nas zdejmie, że wspomni świętych naszych i bohaterów, że usłyszysz jęki ofiar za wiarę uciemżoną i wołanie dusz czystych. Jeszcze nie zginął żaden naród chrześcijański i my zginąć nie możemy.

— Chrystus uczył, by oddać co cesarskie cesarzowi. Dla Boga nie ma narodów!

— My też bronimy tego, co do Boga należy. Dusz naszych, uczuć, myśli, sumienia. I narody są u Boga, bo uczucia ojczyste nam w piersi włożył. Takie kochanie wielkie On tylko dać mógł. Jeśli ptaka nauczył wracać do gniazda przez morza, a pszczołę, by знаła swój ul i matkę — czyżby nas zostawił na włóczęgę i tułactwo? Wszak klątwą swą żydów rozproszył. I oto zostanie dom twój pusty — rzekł Chrystus — jako wyrok straszny. A myśmy się Go nie wyparli i dom nasz ostatnie — ostatnie!

Podniosła w górę swą twarz poważną i już

bez słów, ruchem ust dopowiadała resztę — niebu. A Iłowicz nie śmiał już jej zaprzeczyć.

I wszyscy troje milczeli, zapatrzeni w niebo pogodne, na którem gasło słońce, zapalały się seciny gwiazd i wypływał srebrny sierp nowiu. Wody były purpurowe i złote, a po nich sunęły powoli tratwy z drzewem, z których śpiew flisów się rozległ. Po łąkach odzywały się błotne ptaki, a na widnokregu, jak w ogniu, od łuny zachodu czerniał wiatrak olbrzymi, czarny, nieruchomy, jak widziadło.

— Smutny widok, ale piękny! — ozwał się Iłowicz. — Ten młyn zarazby artysta odmalował.

— Ten młyn, to także legenda Barcikowskich — rzekła pani Barbara. — Stoi on bez użytku, podobno już kilkadziesiąt lat. Opowiadają, że dziad Seweryna odebrał chłopom ten wzgórek i kazał młyn zbudować. Mieli tedy cieśle, zakładając go, przekleństwo cisnąć: Bodaj on tobie i twoim na śmierć mełł. I legenda twierdzi, że gdy kto z rodu ma umrzeć, młyn się wtedy tylko obraca. Seweryn w to wierzył i gdy umierał, wciąż pytał w gorączce: Czy się już młyn kręci, czy on już na mnie miele? Teraz, po uwłaszczeniu, wzgórek znowu do chłopów należy, ale nikt młyna tego nie chce.

— Jabyim go dawno podpalił. Taka legenda zatrułaby mi życie.

— Oswaja się nawet z zabobonnym strachem — odparła pani Barbara. — Ja lubię legendy i ilekroć nań spojrzę, myślę o śmierci. To zdrowa myśl, napędza do pokończenia obowiązków.

Wacio, o którym zapomnieli, słuchał uwa-



źnie. W marzycielską jego duszę wpadła głęboko opowieść i czarna sylwetka młyna tajemniczego pozostała w oczach i pamięci. Nie rozumiał jeszcze śmierci, ani się jej bał, ale mimowoli strach go ogarnął i odwrócił oczy.

— Wracajmy. Mgły się podnoszą, a pan może łatwo z tutejszą febrą się zapoznać. Ciężka zaś bywa i uparta. Waciu, pójdź, odszukaj Filipa i przyprowadź do pacierza. Może go u Bazyłowej znajdziesz.

— Ej, nie, on teraz raki łowi w zatoczce, pod ogrodem — odparł chłopak, ruszając naprzód.

— Ciężko paniom dwóm synom dać rady. Wacio jest bardzo zdolny, proszę mi go oddać. Zrobię z niego człowieka, a tu zmarnuje się malec.

— To prawda. Pan Tedwin nauczył go, ile sam umie. Dalej, nie wiemy, co robić. Młodszy jest o wiele trudniejszy do prowadzenia. Tego nigdzie oddać nie można, bo gotów na wszelką ostateczność. Starszy powinien się kształcić.

Westchnęła i dodała z goryczą i rozpaczą:

— I pierwszy to będzie z rodu, co pójdzie do obcych po naukę, a potem im będzie musiał służyć. Waham się tedy i cierpię, ale tu zostać mu nie sposób. Ziemia nie wyżywi już ich troje, jeden tu do obrony gniazda wystarczy; temu biedakowi trzeba odejść. Wolałabym go była nie rodzić! Mój Boże.

— Cóż robić! Konieczność! — rzekł Łowicz spokojnie. Poczynają go te zacofane poglądy nużyć, postanowił propozycji już więcej nie powtarzać. Robił im łaskę, a one uważały

to za poświęcenie z ich strony. Niech sobie robią, jak chcą!

Gdy wrócili do domu, pani Anna już zabierała się do spoczynku po dniu pracowitym.

Chwilę rozmawiali tylko i wnet się rozeszli. Iłowicz poprosił o gazety, spać mu się nie chciało. Była „Gazeta Warszawska” z przed tygodnia, gdyż pocztę odbierano tylko co tydzień, o mil trzy po nią trzeba było posyłać.

— A ty jakie abonujesz pisma? — zapytała pani Anna.

— A no, tę samą gazetę! — skłamał najbezczelniej, ale za nicby im nie wyznał, że czytał tylko rosyjskie i francuskie.

— Myśmy też do niej przywykły. Cóż robić, nie może być lepszej przy cenzurze. No, dobranoc ci, jutro pokażę ci gospodarstwo.

Położył się tedy Iłowicz w pokoju, przesiąkłym dymem jałowca, którym codzień wykadzano komary.

Pomimo tej prezerwatywy, zostało ich jeszcze dosyć, by dręczyć nieprzywykłego do tej plagi.

Brzęczały mu nad uchem i brzęczały mu myśli, wrażenia tego dnia. Obok był pokój dziecinny i słyszał trzy senne głosy, powtarzające za matką pacierz wieczorny.

I znowu to samo, znowu ta bezrozumna idea, ten upór nielogiczny, w modlitwie nawet.

*„Daj Panie Boże ojcu wieczne odpocznienie, babci i mamie zdrowia i siły, a nam zachowaj ojczyznę uciśnioną, dom nasz i kościół i dopomóż, byśmy, pracując uczciwie i stale, z niewoli i uciśnienia wyzwoleni zostali mocą dobroci Twojej. Amen.”*

Tak chowały, tego uczyły matki dzieci,

w kraju, który Europa wymazała ze swej karty, który największe potęgi przeznaczyły na wyniszczenie i dla którego największy rozum ludzki, nie widział nadziei powstania.

Ale matki miały swój kodeks i swoją politykę, której największą potęgą i instancją był Bóg i rządziły po swojemu, nie troszcząc się o kongresy, ludem swoim, malutkim a mnogim.

---

## II.

Zabawił łowicz w Gródku dni parę, odjechał, znowu się pokazał na parodniowy wypoczynek i stał się dobrym znajomym i swoim. Pani Anna pokazała mu swe gospodarstwo, pani Barbara zawiozła czółnem w dzikie ustronia, gdzie się bobry lęły i miryady błotnego ptactwa. Poznał domowe psy, próg i zakąty, był jak u siebie.

Oswoił się z nim nawet Filip i nie uciekała Jadwinia, chociaż z tą znajomością szło najoporniej, bo dzieciak, czy go nie rozumiał, czy nie chciał, nie odpowiadał na najprostsze pytanie.

I tak upływał lipiec znojny i skwarny i dobiegała kresu rewizya i śledztwo inżyniera. Co prawda, mógłby robotę prędzej załatwić, bo winowajcy kradli tak bezczelnie, sprzeniewierzali rządowe pieniądze tak bezwstydnie, że i szperać nie było trzeba.

Ale łowicz przejął się rutyną urzędnika. Nie spieszył, bo dzień każdy miał dyety, każdy przejazd miał „prohony,” a im więcej zapisanego papieru na najmniejszą sprawę, tem pewniejsza pochwała i awans.

Pisali tedy jego sekretarze i pisali, żeby

się stało gwoździ duchowi urzędniczemu, a Iłowicz wysyłał raporty, gromadził „sprawki” „protokóły” i obliczał swe „prohony” i dyety.

Zresztą ze złodziejami musiał politykować. Przecie mieli stosunki, plecy, protekcyę, względność dla przestępstwa. Politykował tedy Iłowicz, myśląc w duchu:

— Sprawę zamażę, a na mnie się skrupi. Kto zaręczy, że Afanasiew, którego teraz złapałem, jak kradł rządowe drzewo na kanale, za lat parę nie zostanie grubą rybą. A wtedy co? Ani się obejrzę, jak mnie przezlancują nad Peczorę, albo do Jakucka. I tam są inżynierowie, którzy nie mieli sprytu! Mnie na to nie złapią.

Pisali tedy sekretarze puste frazesy, Iłowicz je podpisywał, winowajcy gościli go i honorowali i awans był pewny, jak pewne setki za „prohony” i dyety.

Jedna pani Anna zakłócała mu spokój sumienia. Ona bo miała takie przedpotopowe teorie i poglądy, z którymi i dysputować nie było sposobu, a dokuczały.

Mówiła tedy:

— Jakże to, gdy spławiam drwa do miasteczka, ten twój Afanasiew każe mi płacić za każdy płot. Powiedz, ma on prawo, czy nie?

— To jest jego dochód! To się wszędzie praktykuje.

— Co to jest dochód? On bierze pensyę, aby pilnował całości kanału. A on z nas ściąga podatek. To jest kradzież i bezprawie, bo ja wcale z kanału nie korzystam. Drwa zostają

na rzece. Pisaliśmy na to zbiorową skargę, ciekawam rezolucyi.

Iłowicz się uśmiechnął ironicznie. Więc żyły jeszcze w Rosyi osoby, które na podobną skargę spodziewały się rezolucyi.

— Jeśli ciocia chce, powiem Afanasiewowi, aby drzewo z Gródka uwolnił od opłaty. Ja to załatwię.

— O, co to, to nie: Płacą wszyscy, płacę i ja. Nie będzie powiedziano, że dla Janowej Barcikowskiej czynownicy czynią jakieś łaski. Coby o mnie pomyśleli sąsiedzi. Ty te bezprawia zanieś do wyższej władzy, poprzez naszą skargę, niech tego złodzieja do turmy wpakują. Oto twój obowiązek.

— Dowiem się o losach waszej prośby i uczynię, co można! — odparł, byle się jej pozbyć, bo wiedział doskonale, że skargę dawno rzucono pod stół...

Nareszcie pewnego dnia Iłowicz oznajmił, że przyjechał na pożegnanie, że wracać musi do Petersburga.

Poprosiły go, aby dni kilka zabawił i przystał z chęcią, myśląc o dyetach.

Tego wieczora pani Anna przyszła do dziecinnego pokoju na konferencyę z synową.

Dzieci już spały, babka zajrzała do każdego łóżka, dotknęła głowy, pogładziła po włosach i zatrzymała się nad Waciem. Twarz miała zamyśloną i smutną i bez słowa zrozumiała się z panią Barbarą.

— Trzeba się na coś zdecydować, rzekła wreszcie, wdychając. Tedwin wrócił z miasta, mam list od doktorowej.

— Cóż, weźmie go na stancję?

— Wzięłaby, ale dyrektor gimnazjum nie

pozwała. Wolno jej trzymać tylko własnych chłopców, albo blizkich krewnych. Inni mogą być tylko na ogólnej kwaterze lub u profesora. Tedwin zwiedził te kwatery. Jedną utrzymuje wdowa po popie, drugą żona prystawa pijaka. Dzieją się tam okropności, o których Tedwin ledwie mi śmiał opowiedzieć. Raczej zabić chłopca niż go tam umieścić. Katolikom nie wolno uczni utrzymywać.

— Więc cóż będzie?

— Chybabyś sama tam zamieszkała, ale to niemożliwe. Ja się tu bez ciebie nie obejść, tych dwoje tu zostawić samopas nie sposób, tam zabrać, za kosztowne. Tedwin mi wyrachował, ile to wyniesie. Bez pięciuset rubli rocznie ani zacząć.

— Pięćset! Przecie wpis...

— Cóż znaczy wpis! — przerwała pani Anna.—Przecie dyrektorowi trzeba dać, a inspektorowi także, żeby chłopak został przyjęty. Profesor rosyjskiego nie bierze łapówki wprost, ale wymaga, by chłopak brał u niego dodatkowe lekcye, po trzy ruble, bo go inaczej do egzaminu nie dopuści. Na stancyach biorą rocznie dwieście rubli, a książki, a mundury a inni profesorowie.

— Mój Boże, pięćset. To ani myśleć! — szepnęła zgnębiona matka.

— Więc chyba trzeba się zgodzić na propozycję Iłowicza. Oddać mu chłopca i płacić, ile można będzie. Trzysta rubli zbiorę z biedą.

— Ja mam te korale. Dają mi za nie sto pięćdziesiąt rubli. Wystarczy na wykupowanie.

— Korale trzeba dla Jadwini schować. Lepiej sprzedamy broń po Sewerynie, co dla



chłopców przeznaczona. To się zbierze, mniejsza. Nie o grosz się troskam, ale czy godzi się nam chłopca dać od siebie. Taki młody, tak wrażliwy, a nuż na zatrąte go damy.

— Na wakacye przyjedzie. Hłowicz obiecał go strzedz.

— Hłowicz sam potrzebowałby opieki. Zarażony jest!

Promyk nocnej lampki oświecał ich twarze stroskane, poryte bruzdami ciężkiej doli i wszelakich cierpień.

Patrzyły na uśpionego chłopaka, walcząc ze sprzecznymi uczuciami, nieświadome, gdzie świętszy obowiązek. Nareszcie babka odetchnęła głęboko.

— Ja myślę, Basiu, że jednakże powinniśmy go kształcić—dać wychowanie; chleb i byt zapewnić. Tu na ziemi ledwie się trzymać można—nie godzi się mu drogę zagrażać dla bojaźni.—Wstydby nam było, żebyśmy go nie utrwaliły dotąd w zasadach i wierze! Przecie on ma dwanaście lat, nad wiek jest rozwinięty i myślący, niech idzie w świat i walczy. Inne go wyjścia ja nie widzę.

— O matko, a jeśli go tam zwiehną, skoślawią?—Mnie tak straszno, tak bardzo straszno. Jabym o Filipa mniej się bała. Ten taki uczuciowy i wrażliwy.

— A ja jestem go pewna. Złego towarzystwa nie zechce, niezdrowego wpływu nie przyjmie. W jego rodzie nie było zdrajców, ani odstępców, a gniazdo kochali nadewszystko. Filip nam może wstydu przysporzyć, ten nie!

— Wasza wola, matko!—szepnęła przez łyżę pani Barbara. Pochyliła się nad Waciem, i łyżę

biegły na głowę chłopaka. Zdawało się jej, że go na śmierć oddaje, że go już nigdy nie odzyska.

— Bądźże rozsądna. Trzeba ofiarę ze siebie uczynić, zresztą chłopca przy spódnicy nie można trzymać. Mnie też ciężko, ale to nasz obowiązek. Poprawiła kołdrę, przesunęła rękę po włosach wnuka, raz jeszcze ciężko westchnęła i odeszła. A matka uknęła przy łóżeczku i poczęła się gorąco modlić.

I tak się zdecydował los Wacia. Naza-jutrz omówiono sprawę z Iłowiczem i poczęto śpiesznie szyć wyprawę chłopcu. — Uwolniono go od lekcyi i matka trzymała go przy sobie, ucząc, tłómacząc, ostatnie swe dając polecenie, ryjąc w pamięć i duszę.

Chłopak naprawdę nie zdawał sobie sprawy z okropnej zmiany i przewrotu, który przechodził. Matczynemi zaklęciami był przejęty, skupiony, dumny, że go traktuje, jak dorosłego, że ma być bohaterem.

Ciekawy był świata, dalekiej podróży, mundur, kolegów, wielkiego miasta. Paliło mu się w głowie i nie dawało spać po nocach. Kochał dom i rodzinę, ale ciekawość przeważała. Chciałby już jechać. Dłużyły mu się dni, które dla pani Barbary ulatywały za prędko — chwilami się zdawały.

Ostatniego dnia, gdy kufer był gotów, a Iłowicz zapowiadał ranny wyjazd, bo jeszcze w miasteczku musiał parę godzin spędzić, pani Barbara poprowadziła Wacia na wał forteczki, nad nurt wirujący i tam ostatni raz powtórzyła mu swe przykazanie.

— Pamiętaj, żeś polak i katolik. Żeś powinien być prawy przed Bogiem i przed rodakami. Pacierz codzień mów, medalika z szyi

nie zdejmuj... Pamiętaj to, pamiętaj zawsze—ale milcz i pracuj. Łaski nie prosz, przyjaźni nie zawieraj, bo nie wiesz, czy na dłoni, którą ci kto poda, niema krwi lub krzywdy. Ubogi jesteś—i niewolnik—cierpieć masz i znosić, boś słaby, ale chleba z nimi nie łam, serca im swego nie otwieraj. Gdybyś to uczynił, przeklęty będziesz, ja się ciebie wyrzeknę, Bóg się od ciebie odwróci—i będzie z tobą, jak w tej pieśni, com cię wczoraj nauczyła. Powiedz ją!

Wacio drżący, przejęty, nie swoim głosem jął mówić:

Głód, powietrze, ogień, woda  
I wszelaka zła przygoda  
Będzie temu, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.

A gdy umrze, garści ziemi,  
Gdzieby spoczął między swemi,  
Nie dostanie, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.

Marnie zginie, wiatr rozniesie  
Prochy jego po wszem świecie,  
Marnie zginie — ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.

— Nauczyłam cię pacierza, nauczyłam historyi, nauczyłam pieśni. Mówię tobie, jak dorosłemu; wierzę ci i nadzieję dobrą mam w tobie. Gdybyś mnie zawiódł, tobym nie żyła, pamiętaj — umrę, gdy mej nauki zapomnisz, prośby nie wypełnisz. Tyś teraz głowa rodu, który trzysta lat na tej ziemi trwa i tak myślał i czynił — jak cię uczę. — O moje dziecko ukochane—bądź mi pociechą i chlubą.

Objęła go rękami za głowę, płacząc żalownie, a chłopak się też rozpłakał — i przez łzy powtarzał:

— Ja mamusię kocham nadewszystko. Będę codzień pisał—wszystko napiszę—i co mamusia każe, zrobię. Ja chcę bohaterem być!

Na widnokręgu—na tle zachodu, tajemniczy młyn czerniał zawsze nieruchomy. Rzeka, lasy, łąki, były puste i głuche, i, jak zwykle, wielki smutek leżał nad okolicą rodzinną, z której Wacio odchodził, jak odchodzili przodkowie jego—na boje.

I tamtych matki żegnały—ale żadna z taką trwogą, jak pani Barbara. Bo tamte matki troskały się o rany i kalectwa cielesne, a ona o duszę swego chłopca.

Wracali potem do domu, skupieni i poważni, jak po przysiedze lub nabożeństwie i Wacio przez łąy—patrzył na dwór i pola, które już jutro opuści.

Na płocie, przy bocznym ganku, siedział Filip, jakby na nich czatował; i on był posępny i jakiś oszołomiony. Zbliżył się i brata za rękaw pociągnął. Weszli razem do dziecinnego pokoju, gdzie panował nieład pakowania, i Filip rzekł:

— Ja tobie dam moją skrzynkę. Jest przy niej zamek i klucz. Masz, tobie potrzebna! Upakuj w nią wszystko, co masz pięknych rzeczy, żeby ci ich nie ukradli.

I wydobył z pod łóżka pudełko staroświeckie, które na strychu znalazł—i u matki wyprosił. Było to najdroższe—co posiadał. Wykleił je kolorowym papierem, a klucz zawsze przy sobie nosił.

Teraz począł swe skarby wytrząsać. Były tam kawałki żelaza, baty, haczyki do wędek, rzemyki, sprzążki, i osobno—owinięte w bibułę, spinki kupione u węgry, scyzoryk i harmonijka

malutka. Wszystko wytrząsnął i puste pudełko oddał bratu.

— Masz, tylko klucza nie zgub. No, pokaż, co ty tu schowasz.

Wacio przyniósł swe skarby i siedząc na ziemi, poczęli je pakować. Były tam tak piękne rzeczy, o których Filip nawet nie marzył. Był papier i pióra, książka do nabożeństwa z obrazkami, sakiewka jedwabna z „prawdziwymi” srebrnymi pierścionkami, a w niej całe trzy ruble i potrójny orzech na szczęście. Był scyzoryk drogi, może rublowy, pachnące mydło, fotografia matki w ramach i farby w pudełku. Bez zawiści Filip na to patrzył, pomagał układać. Wreszcie rzekł:

— O swoje króliki możesz być spokojny. Ja ich dopatrzę, na tę smarkatą nie będę się spuszczał. Bo teraz mama mi kazała gospodarzem tu być—dopilnuję wszystkiego! Czy tobie nie strach odjeżdżać?

— Czego? Będę się najlepiej uczył, będę nagrody brał.

— Oho—nagrody! Oni figę ci dadzą. Będą cię tłuc, jak stary Piotr dywany, aż pył leci.

— Et, co ty wiesz!

— Zobaczysz! Bazyłowej wnuk był w szkole, w Petersburgu, i uciekł, bo mu kazali do cerkwi chodzić. Będzie i z tobą tak—tylko się nie przyznasz!

— Do cerkwi nie pójde i bić siebie nie dam.

— To cię na Sybir zeszlą i co poradzisz! Ja stąd nie pójde—za nic.

— Boby ciebie wuj nie wziął. Za mały jesteś i nie nie umiesz.

— Żebym chciał, tobym i bez wuja trafił.

Ale ja nie chcę. Mam tu robotę. Ale ty napisz do mnie list—osobno do mnie. Dobrze?

— Napiszę.

— Pamiętaj, jak nie napiszesz, to skrzynkę odbiorę na wakacye. Cóż, podoba ci się ona?

— Dziękuję ci, przyszlę ci za to wielką harmonię.

— E, co mi tam harmonia. Nic nie przysyłaj. Ja ci daję na pamiątkę, tak z ochoty. Szkoda, że jedziesz!

I zamyślił się, nie umiejąc wyrazić godnie żalu. Chciało mu się płakać, ale na toby sobie nie pozwolił, bo to był wstyd i ujmą honoru.

Raptem, zerwał się i począł swe skarby zbierać, wpychać je do kieszeni i w zanadrze—po chłopsku. Poznał zdaleka krok babki, której spotykać nie lubił.

Pani Anna weszła, niosąc stos bielizny. Domowe było płótno, przesiąknięte zapachem ziół, któremi je w kufrach przekładano.

Spojrzała na dzieci surowo, jak zwykle i rzekła do Wacia niezwykle łagodnie.

— No, dziecko, masz tu koszuliny nowe i całe. Szanuj-że ubrania, bo na cały rok ma ci starczyć. A z nagrodą wracaj, egzamin zdaj, pierwszym bądź. Jeśli co złego o tobie się dowiem, jak ojciec ukarzę. Matkę przebłagasz, ale mnie nie. Jestem jednak pewna, że wstydu mnie nie zrobisz. Prawda? Jeśli ci co będzie brakować, to śmiało pisz, a jeśli bardzo ci ciężko stanie, to cię zabiorę. Ale toby wstyd był, żeś nie przecierpiał.

Pieniędzy u wuja nie proś, o nic się nie napieraj, obywaj się, jak można, boś ubogi, ale łaski nie potrzebujesz. Niechże cię Pan Bóg prowadzi i błogosławi.

Zakreśliła krzyż nad nim, pocałowała w głowę, i prędko odeszła, nie chcąc się roztkliwiać.

Nazajutrz, wczesnym rankiem odjechali. Staroświecka najtyczanka i czwórka sędziwa, wywiozła ich do miasteczka. W ostatniej chwili Wacio płakał okropnie, rzucał się na szyję matki i babki, obejmował Jadwinę i służbę domową.

Wszyscy byli powarzeni i smutni, pani Barbara postarzała o dziesięć lat, pani Anna roz-targniona. Bryka wytoczyła się za bramę, wołano z ganku ostatnie pożegnania, zagłuszone turkotem. Wacio wyglądał, wstrząsany łkaniem. Howiec zapalił cygaro.

Droga skręciła, drzewa zakryły podwórze i dom, wreszcie i dwór cały zniknął za piaszczystym wzgórzem.

Na czubie przydrożnego dębu, schowany w gałęziach, Filip siedział, i patrzył za powozem. Rano, nie przyszedł się pożegnać, choć go wołano, nie usłuchał.

Bał się okazać żal — i płakać.

Teraz, zakryty liśćmi, chlapał i nie zszedł, aż mu łoży i piaski zakryły zupełnie powóz.

I popłynęło dalej cichym, monotonnym trybem życie w Gródku, z codziennymi sprawami, troskami, rzadkiem wytechnieniem lub rozrywką.

Zostało po Waciu puste łóżeczko i miejsce przy stole, w sercu babki wielka nadzieja, w sercu matki wielki niepokój.

Rodzeństwo, dzieci, prędko zapomnieli o nim, nieliczni znajomi ledwie zauważyli, że ubył, a gdy się dowiedzieli, chwalili postano-



wienie kobiet, zazdroszcząc nawet trochę protekcyi wpływowego krewnego.

Pani Barbara oczekiwała listu gorączkowo.

Przyszedł za ledwie po miesiącu. Wacio donosił, że mu bardzo dobrze u wuja, że go bawia i pieścza, że przygotowuje się do egzaminu, sam jeszcze nie wie do jakiej szkoły.

Był dopisek Hłowicza, że chłopak prędko się z losem pogodził, że jest posłuszny i ambitny, uczy się dobrze — i że ma nadzieję przy wielkiem staraniu umieścić go u „prawowiedów”.

Co prawda Hłowicz już żałował, że obarczył się chłopcem. W jego kawalerskiem życiu wychowaniec był niedogodny. Hłowicz żył wesoło — lubił towarzystwo, karty, hulankę. Przyjmował kolegów, miał „stosunek”, przywykł do woli i swobody.

A tu spadł mu na głowę chłopak ciekawy i rozwinięty, który o wszystko pytał, dziwił się, śledził, a przytem potrzebował opieki i zająć.

Więc tedy postanowił wywinąć się zrzeczenie od obowiązków. Zapakować chłopaka do internatu — pozbyć się świadka i kłopotu. Widywać go tylko co parę tygodni, opiekę zastąpić pieniędzmi.

Pani Barbara przeraziła się internatem. Więc dziecko jej wezmą całkiem w niewolę. A któż sprostuje mu kłamstwa, które tam jego umysł nakarmi, kto dopilnuje jego pacierza, mowy. Napisała tedy do Hłowicza swe wątpliwości i trwogi, prosząc, by go z domu nie oddawał, posyłał do gimnazjum.

W trzy dni po wysłaniu listu, nadeszła wiadomość z Petersburga. Wacio egzamin

świetnie zdał, był przyjęty do „prawowiedów”. Iłowicz szczycił się i zachwycał tym rezultatem, pisał tak wymownie, że przekonał nawet panią Annę.

— To jest szkoła wyborowa, kosztowna, lada jakiej hałastry nie bywa, jest „pewność”, że chłopak nihilistą nie zostanie, nie zmarnuje się, jak Kazio Osowski, co z czwartego kursu technologów poszedł na Sachalin. A zasady i wiary dopilnujemy na wakacyach. Zresztą pisać będziemy.

Ba — i pisać nie było łatwo. W następnym liście przestrzegł Iłowicz, aby pisano bardzo oględnie, gdyż korespondencya od i do chłopców podlega cenzurze szkolnego zarządu. Żeby zatem uważały, co i jak piszą, bo mogą i siebie i chłopca skompromitować.

Zaraz też pierwsze listy Wacia to okazały. Śnać chłopaka ostrzegł Iłowicz, czy koledzy, bo pisał krótko, sucho, po żołniersku, o swych naukach tylko i z pozdrowieniem. Wspomniał tylko, że ma przyjaciela w klasie i towarzysza w sypialni Jana Lassotę, który także ma siostrę Jadwinę i króliki w domu.

I zobaczyła pani Barbara z przerażeniem, że w pisowni użył już trzy razy liter rosyjskich, przez pomyłkę.

Gdy list przychodził, Filip dopytywał o wieści. Dziki chłopak wziął na ambit, przychodził do matki na naukę, i nie krzywdził Jadwini, czasem dopominał się o zajęcie, i polecenie każde skrupulatnie spełniał.

Matka odczytała mu list i rzekła:

— Widzisz, jak Waciowi tam dobrze. Mógłbyś i ty pójść do szkół, mieć śliczny mundur i kolegów do zabawy i pracy, żebyś się uczył.

— Ba!... a kto tutaj zostanie? — odparł. — Taki mądry, wielki pan, jak Wacio, nie zechce siana dzielić z chłopem, a zimą bydła doglądać! Ho, ho, taki nie on, a ja będę gospodarzem. Tak zhardział, do mnie obiecał napisać, a nie pisał! Niech mu będzie smaczny Lassota, ja też bez kolegi nie zostanę.

Uważała pani Barbara, że pochwała postępów Wacława nie wzbudzała w nim ambicji, owszem, upór i powrót do dzikości. Po takim liście, znówu się buntował, nie pilnował domu, stawał się coraz zuchwalszy.

Przyszło do tego, że parę nocy spędził poza domem, zapewne w swych „domach”. Odebrał chłostę od babki i przesiedział o chlebie i wodzie w lamusach.

Na to przestał przychodzić do matki na naukę i gdy mu zapowiedziała, że straci kasztanowate żrebie, wyrzekł się go zuchwale.

— Niech je sobie mama zabierze. Ja sobie kupię jeszcze ładniejsze.

Co gorsza, Jadwinia pozbawiona wpływu starszego, przystała duszą i ciałem do młodszego brata i nabierała jego wad i samowoli.

Uciekali teraz we dwoje na włóczęgi po ogrodzie i polach, rabowali owoce, piekli kartofle w popiele z wiejskimi dziećmi, brodzili po rzece, łazili po drzewach, płatali tysiączne psoty.

— Co tu robić! Co robić!? — rozpaczała pani Barbara, zużywszy gderania, morałów, próśb i kar, jednakowo bezskutecznie.

— Niechno zima! — mówiła filozoficznie babka. — Mróz ich do domu zapędzi, a wtedy weźmiemy w kluby. Będę siec, siec!

Przyszła jesień chłodna, dni krótsze, długie wieczory. Listy od Wacia były coraz rzadsze i coraz się pamięcią od domu oddalał. Już nie pytał o króliki i ogródek, nie dawał poleceń—zapominał. Nauki szły mu dobrze, potwierdzał to Ilowicz, ilekroć doń matka udawała się po wieści.

Teraz pani Barbara rachowała czas do wakacji. Młodsze dzieci, wedle przepowiedni babki, więcej się domu trzymały. Pan Tedwin rozpoczął znowu porządne wykłady, ale z małym skutkiem.

Filip gorzej czytał i pisał od Jadwini nawet, był nieuważny i tylko wyglądał końca lekcji, by zemknąć od nauczyciela.

Przyszedł nań gust do ciesielki. Zwłóczył do pokoju drzewo i deski, budował czółna, młyny, wszystko bardzo fantastyczne i nieudolne. Pomimo wszystkich wad, była w tym chłopcu wielka pracowitość i zawziętość do postanowienia.

Jednakże potrafili gdzieś się ukrywać i spędzać bez dozoru długie godziny. Myślała zrazu pani Barbara, że przesiadują u Bazyłowej w oficynie, ale i tam ich nie było.

Jadwinia badana nie zdradziła ukrycia, Filipa nawet nie próbowano śledzić. Pani Anna zniecierpliwiona, dała obojgu różgi i zapowiedziała, że gdy się jeszcze raz schowają, dostaną zdwojoną porcję. Pomimo to dzieci nazajutrz, w godzinie lekcji, znowu zginęły.

Rozpoczęto tedy nie na żarty przeszukiwanie dworu i odkryto, że dzieci przez sień boczną dostały się na strych i tam we framugach olbrzymich kominów miały zimową kryjówkę. Było to bardzo dowcipne schowanko; urządziły się

nawet wygodnie, bo miały zapasy jedzenia, pościągane z sadu i ogrodu owoce, orzechy, groch, co się dało uchwycić.

Egzekucya, która potem nastąpiła, pozostała pamiętną obojgu, przez dłuższy czas zapanowała karność i spokój, ale Filip miał złe oczy i kreśląc krzywe laski w zeszycie, lub jaskając się nad czytaniem, przemyśliwał odwet.

Razu jednego zwierzył się ze swych planów Jadwini, którą zupełnie zawojował.

— Wiesz ty, że ja się wybieram w świat!— rzekł jej.

— Gdzie? To i ja!—odparła z zupełną gotowością.

— Nie—sam pójdę. Dojdę do morza, wsiądę na okręt, a jak się rozbije, osiadę na bezludnej wyspie, jak Robinson, i sam sobie wszystko zrobię, i wyspa będzie moja.

— To i ja z tobą?—szepnęła.

— Ty poczekasz, aż ci przyszlę wiadomość, że już! Złapię bociana i list mu przywiążę.

— Aha, a jeśli to będzie jaki cudzy bocian, nie nasz.

Zamyślił się, ale pomysły miał na zawołanie.

— Napiszę do Jadwigi Barcikowskiej, to kto znajdzie, to ci odeśle.

— A jakże uciekniesz, złapią cię i babunia da różgi.

— Oho, nie znajdą! Ja to wszystko obmyśle sprytnie. Niechno wiosna!

Zdziwiła się bardzo pani Barbara, zdybawszy go raz, jak szyl płócienną suknię.

— Na co ci to?

— Tak sobie!—odparł. — Trzeba wszystko umieć zrobić!

— Czemuż nie chcesz umieć czytać i pisać?...

— To już Wacio będzie umiał za dwóch! Ja chcę pracować.

Przekonania chłopskiego, że nauka jest próżniactwem, nie można mu było z upartej głowy wybić.

— Więc chcesz być pastuchem, czy parobkiem?—woła matka z rozpaczą.

— Zobaczy mama, czem ja będę! — mówił z gęstą miną. — Ja będę nad wszystkich silniejszy!

Minęła zima, przyleciały skowronki i dzikie gęsi, kra spłynęła z rzek, spleśniała ziemia wyrzała z pod śniegu, dzieci objęły w posiadanie ogród, i zwiedzały zeszłoroczne kryjówki i coś ze sobą radziły po kątach.

Pewnego dnia na obiad przyszła tylko Jadwinia, zapłakana, wystraszona.

— Gdzie Filip? spytano.

— Nie wiem!—odparła lakonicznie.

Cały dzień nie wyszła, siedziała w kącie, popłakując.

— Co ci, dziecko! Może cię Filip skrzywdził?—badła matka troskliwie.

— Nie!—odpowiadała połykając łzy.

Na wieczerzę Filip się nie pokazał. Szukano, wołano, bezskutecznie.

Noc zeszła w trwodze i niepokoju. Rano, rozesławszy gońców na wsze strony, wzięto na spytki Jadwinie.

Długo się wykręcała, wreszcie wyznała:

— Filip popłynął aż do morza na bezlud-

na wyspę. Wziął czółno ogrodowe i pewnie już niedaleko morza!

Ile było czółen we wsi, wszystkie ruszyły szukać zbiega, ale nikt nie wierzył, by go żywym powrócono. Zapewnie się utopił na pierwszym zakręcie lub wirze. W wielkiej trosce upłynął cały dzień i noc. Rano pod dom zajęchała bryczka, w której siedział niemłody mężczyzna i Filip.

— Mój Boże—dzięki ci że żyje! — wołała pani Barbara, zapominając o całej winie, nie uważając na nieznanego zbawcę.

Pani Anna poznała go i poczęła dziękować.

Był to ich imiennik, Barcikowski, rządca w hrabiowskich dobrach.

Oddał chłopca matce i opowiedział całą historię.

— Wczoraj rano znalazłem go nad rzeką, mokrego od stóp do głowy. Czółno się wywróciło, wpadł w wodę i dopłynął do brzegu. Skostniał i osłabł, ledwie go rozgrzali u mnie w domu i ledwie się dowiedziałem, kto jest. Plótł jak na mękach — prosił o służbę i zajęcie, wybierał się dalej iść, kłamał, że go wysłano do miasteczka. Ale się zdradził, że mieszka w Gródku, i oto odwożę paniom kawalera. Wart plag, ale kamienny to będzie kiedyś człowiek.

— Do grobu on nas obie wpędzi przed czasem!—rzekła pani Anna desperacko.

Barcikowski, ogromny chłop, patrzący bystro i rozumnie z pod krzaczastych brwi, ręką machnął.

— Niech panie nie desperują, miałem i ja takiego. Nic się uczyć nie chciał, nikogo nie



śluchał, najszałeńsze psoty płatał. Wszystkiem laski na nim pobił, bez skutku. Więc zaprzę-  
głem do roboty smarkacza, miał czternaście lat.  
Wyręczałem się nim, dawałem rozkazy, uży-  
wałem do posyłek. I chłopak się ujeździł, ucho-  
dził, żem go nie poznawał, nastarczyć zajęcia  
nie było można. Miałbym z niego pociechę!

— Ale co? — zagadnęła pani Anna.

— Ano, umarł! — mruknął ponuro ol-  
brzym.

— Pewnie wypadek.

— Nie. Tyfusu dostał, oboje! Córka zo-  
stała... on nie wytrzymał.

— Pan ma więcej dzieci?

— Nie, jedną córkę, najmłodszą. Ośm lat  
skończyła. Hoduje ją ciotka, bo i żona zmar-  
ła. Miałem pięcioro dzieci, matkę, żonę. Wszyst-  
kom pochował w Ładyniu.

— To już pan dawno tam służy?

— Już ośmnaście lat.

— Ale w Dyszni kto pozostał?

— Bratun oddał, bo dzielić się nie było  
czem. Jeszcze go często poratować trzeba, że-  
by się utrzymał. Chłopców ma, niech siedzą  
na ziemi. A pani więcej wnuków ma?

— Dwóch?! Starszy się uczy w Petersbur-  
gu i ten niecnota. Jest i dziewczynka, ośmio-  
latka. Drobiazg!

— Uchowa im pani Gródek, aż dorosną.  
Taki u pani ład i skład widać i słyhać, że  
aż miło.

Uśmiechnęła się pani Anna, pochlebiona  
w swej dumie i pracy. Barcikowscy z Dyszni  
byli zwykle lekceważeni przez Gródeckich i le-  
dwie się znali, ale ten podobał się pani Annie.

— To niechże pan moją gospodarkę bliżej obejrzy—zapropomowała.

Tymczasem pani Barbara zajęta była odzyskaniem Filipem. Trzeba go było przebrać i wyszorować, wyglądał istotnie jak rozbitek.

Dawał ze sobą robić, co chciano, stracił butę i zuchwałość, patrzył posępnie, jak wilczek, pojmany w sieć, zmęczony oporem i buntem.

— Teraz będzie bicie!—myślał, zaciskając usta.

Ale pani Barbara wzięła go do swego pokoju i spytała smutno:

— Dlaczegoś to zrobił, Filipie! Taką troskę, niepokój, strach! Dlaczegożeś odemnie uciekł, dlaczegoś mnie porzucił?

— Ja od mamy nie uciekałem! — zamruczał.—Żebyś sobie wyspę dostał, tobyś zabrał mamę i Jadwinę.

— A dlaczegoż to ze mną nie chcesz być?

— Bo mi się nudzi. Nie mam co robić porządnie.

— A cóżbyś chciał robić!

— Cokolwiek, ale żebym sam robił. Ten pan mówił, żebym już mógł na ogrodnika pójść, ale ja wolę na furmana, albo na kowala.

— To czemużeś mi tego nie powiedział?

— Bo mama mnie ma za dziecko i nie słucha!

— A ty nie dotrzymujesz obietnic. Obiecałeś mi wysłużyć sobie żrebie—i co?

— I co?—wybuchnął.—I mama raz na tydzień coś mi kazała robić, a resztę czasu pan Tedwin mnie trzymał. A babunia mnie bije, czemu nie bije Pawła, furmana, co owies na

wieś nosi, czemu nie bije Marka, kowała, co chłopom siekiery z naszego żelaza robi, albo Teodora, ekonoma, co śpi na łące, jak chłopci siano wożą! Oho, ja wszystko wiem!

— Trzeba było babuni powiedzieć.

— Oho, niech babunia mnie sama zapyta...

Tu się zamyślił i nagle zapytał:

— Dostanę w skórę, jak ten pan pójdzie?

— A czyś nie zasłużył?

Poczerwieniał i zbladł i pięści zacisnął.

— Dopóki mnie bić będą, będę uciekał i ucieknę! Ja nie chcę, żeby mnie bili!

— Więc stań się innym, a będziemy cię traktowali, jak człowieka dorosłego. Ale ty prośb i nauk nie słuchasz, jesteś krnąbrny i zły. Zgryzotę i wstyd tylko nam sprawiasz. Zmuszasz nas sam do kary!

Filip milczał. Był zrozpaczony swą klęską. Czółno się przewróciło, sakwy jego wypchane chlebem, narzędzia przeznaczone do bezludnej wyspy, broń, do walki z ludożercami — wszystko przepadło i odwieziono go na razy babki i pośmiewisko całego dworu.

W tej chwili pani Anna zawołała synowę do gościa. Już wrócili z gospodarskiej lustracyi, a że chwalił ład i dobytek, więc zupełnie ujął gospodynię.

— Wiesz ty, Basiu, co mi proponuje pan Barcikowski—rzekła.—Chce wziąć do siebie Filipa na naukę.

— Toć dziecko małe;—szepnęła pani Barbara.—Jeden nam tylko został!

— Jeden -- ale temu my rady nie damy. On potrzebuje męskiej ręki i kierunku. Tyś za słaba, ja nie mam czasu—chłopak się zmar-

nuje, jeśli życia nie straci w szaleństwach. Mnie już sił braknie na borykanie się z nim.

Bani Barbara milczała, jak zwykle wobec woli świekry, a Barcikowski rzekł:

— Majątek duży paniom został a nie byle kto da mu rady. Chłopak musi coś umieć, jeśli ma nim kiedyś zarządzać. U mnie nabrałby rutyny i praktyki.

— Taki mały jeszcze!—szepnęła matka.

— Potrafi jednak dokuczyć za kilka dorosłych—mruknęła pani Anna.

— Niechby podrósł, choć parę lat jeszcze!—protestowała pani Barbara. — Mam nadzieję, że się poprawi.

— Jak chcesz. Zmuszać cię nie będę — umyvam ręce!

— Ja zaś i za parę lat, jeśli dożyję, gotowem go na praktykę wziąć. Podobał mi się chłopak i wspomną panie moje słowo, że kamienny człowiek z niego będzie. Potrzebne do wszelkiego zawodu są zdolności i siły, ale na tutejszej ziemi trwać, to bodaj najcięższy zawód.

Jestem zdania, że tyle majątków upada dlatego tylko, że rodzice nie najlepsze, a najgorsze dzieci zostawiają na roli. Jużem się nieraz o to spierał. Kto kilku synów ma, a jest wśród nich nieuk, to powiadają: ten może szkół nie kończyć—niech gospodaruje. Aha, przeszły te czasy, gdy majątek był synekurą! Ile to fachów musi teraz posiadać rolnik, by się ostał! Niby to my kochamy tę ziemię, a zbywamy ją byle czem i byle kim. Co zdolniejsze, zmyka w świat na lżejszy chleb! Żeby ja syna miał i kawałek ziemi, nie puściłbym go w świat, ale

bym go uczynił fachowym agronomem. Nieprzebrane skarby są w roli!

— Słusznie pan mówi, ale nie zawsze można uczynić, co się pragnie. Nasz chłopak nie chce się niczego uczyć. Zużyliśmy już wszystkie argumenty.

— A on tylko marzy o pracy i obowiązku. Ręczę, że jużby mógł pani pomagać. Rzadki w tym dziecku jest spryt i rozwinięcie — ale nie do nauk, tylko do czynu. Okrutnie mi się podobał. Będzie z niego człowiek! Zobaczą panie.

Pani Anna się zamyśliła. Pierwszy to raz ktoś zwrócił uwagę na upośledzonego Filipa. Ona sama dotąd pamiętała o nim tyle tylko, ilekroć trzeba było karać.

Barcikowski został na obiedzie, na który też i zbieg przyszedł, ukosem patrząc na wszystkich w oczekiwaniu egzekucyi.

— No i cóż kawalerze!—zagadnął go Barcikowski—pojedziemy razem do Ładynia. Babunia i mama oddają ciebie na służbę do mnie. Podoba ci się?

Filip zerknął na babkę i matkę—i spytał:

— A czego ja będę u pana doglądał?

— Koni.

— Tylko ja sam, nikt więcej?

— Nikt.

— To dobrze!—odparł po namyśle i znowu po chwili zagadnął:

— A ile mi pan zapłaci?

— Trzydzieści rubli.

Chłopak kiwnął na zgodę.

— A cóż ty zrobisz z trzydziestu rublami?—spytała matka.

— Kupię sobie konia i fuzyę! — mówił coraz śmielej.

— A umiesz strzelać? — zagadnął Barcikowski.

— O jej! Wielka sztuka. Strzelałem nieraz.

— A któż ci fuzyę dawał?

— Nikt nie dawał. U ogrodnika w budzie wisi!

— A zabiłeś cokolwiek?

— O jej! — odpowiedział, ale urwał, a Jadwinia dodała:

— A kaczkę jakieś zabił, to gdzieś zginęła w wodzie.

Filip szturchnął ją w bok. Umilkła przerażona. Była to swojska kaczka, zastrzelona przez pomyłkę.

Po obiedzie odjechał Barcikowski, a Filip daremnie oczekiwał egzekucyi. Babka pojechała w pole do siewu, matka miała wyżej głowy roboty w ogrodzie i oborze—zapomniano o nim.

Chłopak był oburzony, że zażartowano widocznie z niego co do tej służby w Ładyniu i pełen złych myśli umknął na pociechę do Bazyłowej.

Babina mieszkała w oficynie obok kurników i zajmowała się z zamięłowaniem lęgiem drobiu.

W stancyi pełno było piskłat, kwok gdańczących i gniazd. Starowina krzątała się wśród tego drobiu, sucha i zawsze zatroskana swymi pupilami. Ale dla faworyta, Filipa, którego niańczyła, znalazła uśmiech i czas na gawędę.

— Cóż ty, kotku, zrobił? Śmierci szukał i nawet mnie się nie przyznał. Ja tu już ciebie oplakała! Może ty jeść chcesz?... Może tobie mleczka dać?

— Cholera!—burknął dosadnie urwis, rzucając się na posłanie starej i kopiąc nogami.

— Filipku! cyt że, cyt! — upominała łagodnie. — Kurczęta mi postraszysz! Cóż? wybili ciebie? Boli?

— Nie wybili jeszcze. A ja poprzysiągł, że ucieknę i ucieknę! Ja tu nie wytrzymam!

— Chryste Jezu! Do ciebie coś przystąpiło. Co ci za krzywda. Nie głodnyś, odziany, obuty, do roboty cię nie gonią. Opamiętaj się!

— Nie opamiętam się. Niech mnie na służbę puszcza. Choroba na takie życie!

Klął jak jego rówieśnicy i koledzy, wioskowe wyrostki. Bazyłową nie bardzo to gorczyło, ale nie rozumiała jego żądy pracy.

— Oj, kotku! ty nie wiesz, co to robota i służba, kiedy się jej napierasz. A toć niewola. A ty panować możesz. Dajże pokój waryacyi. Ot, na ryby pójdź, raków poszukaj. Zabaw się!

— Nie chcę! Nie będę! Ten pan mi obiecał służbę, niech mnie puszcza. Ja ich nie potrzebuję, ja nie dziecko.

— Chryste Jezu! ty nie dziecko? A cóż? Może żenić się chcesz? Losy do wojska już ciągnąć?

— Maksym Sojka rok odemnie młodszy, a już na służbę poszedł. W niedzielę do chaty przychodził i pokazywał mi pieniądze, co zarobił.

— Toć Maksym z biedy służy—bo sierota, a ty pan i dziedzic! Coś ci zadali w tym Ładyniu, żeby ciebie przyciągnąć. Powiedz — pił ty tam co?

— Pił herbatę.

— A kto ci podał?



— Jakaś stara pani.

— Aaa, a wsypała co do niej?

— Nie, tylko ta mała, co tam jest, wrzuciła mi do szklanki swoją bułkę.

Bazyłowa podumała chwilę i głową potrząsała.

— Nie może być!—zdecydowała.

Filip patrzył w sufit i sapał oburzony.

— Oszukali mnie, ciągle zwodzą! — wybuchnął.—Ja im urządzę sztukę!

— No, no! Powiedz-że mnie.

— Nie powiem nikomu. Zobaczycie!

Zerwał się i wyleciał ze stancyi.

— Chryste Jezu! Trzeba panią ostrzedz!—zawołała babina, ogarniając się, i ruszyła do dworu.

Pani Barbara wysłuchiwała ze strachem relacyi, i poczęła wołać Filipa, naturalnie bez skutku.

Znowu szukano go wszędy i dopiero po kilku godzinach okazało się, że przebrnął rzekę, uchwycił w stadninie konia, Michałka pastucha pobił, odebrał mu uzdę, na konia wsiadł i poleciał—Bóg wie gdzie.

Pobicie Michałka było problematyczne; zapewne ci towarzysze figlów i psot umówili się zgodnie, a owe razy i wydarcie uzdy było wymysłem dla osłonięcia pasterza przed odpowiedzialnością.

Pani Barbara pozostała bez argumentu wobec świekry.

— A co? Nie mówiłam ci! Oddać go Barcikowskiemu, kiedy brać chce! Nie dasz mu rady! Cóż, katować go będziemy! Co to pomaga! Codzień gorzej! Wstyd tylko wobec ludzi i zgryzota! To ród taki, niczem nie po-

hamowany. Nie damy rady — nie damy. Odrodziły się w nim wszystkie szaleństwa przodków. Na Boga się zdać; albo szubienicy się doigra, albo krzyża! My już nic nie poradzimy. Teraz pewno do Ładynia umknął! Pojedziemy tam obie jutro, przeprosimy Barcikowskiego i jeśli jeszcze chce, niech go trzyma!

Tej nocy pani Barbara wcale nie spała. Widziała wciąż dwa puste łóżeczka chłopców, jak dwa gniazdką, z których ptaszęta wyfrunęły, tak wcześnie, takie małe i słabe, i czuła się teraz zupełną sierotą.

Gdy pomyślała o Jadwini, jeszcze ją większa gorycz ogarniała. Po co ten drobiazg się urodził i chował! Na dolę jej podobną, bez słońca i swobody. Za lat dziesiątek pójdzie, jak ona — w obcy dom i oprócz pracy i trosk nie nie zazna.

Nie było biedactwu się rodzić!

Nazajutrz rano pojechały do Ładynia.

Dobra hrabiowskie leżały już poza siecią rzek i moczarów, w żyznej ziemi i odcinały się wybitnie od majątków drobniejszych obywateli, dobrobytem i kulturą. Pani Anna przypatrywała się z przyjemnością łąnom dobrze uprawnym, rosłej fornalcce, pługom i siewnikom, sile i dostatкови gospodarki.

Klucz to był, siedm folwarków, fortuna pańska. Sama rezydencya, pałac w parku, była jak zaklęty zamek w baśni. Nikt tam nie mieszkał.

Hrabia przyjeżdżał rzadko kiedy, w jesieni na polowanie; nikt go nie znał w okolicy.

Zdała od rezydencyi stał dwór właściwy, rojny, gwarny, tętniący życiem. Tam w nie-

pozornym drewnianym domu mieszkał rzeczywisty władca i wódz ziemi i roboczej armii.

Gdy panie z Gródka stanęły pod gankiem, Barcikowski właśnie miał wyjeżdżać. Stały konie zaprzęgnięte, wyszedł naprzeciw nich w burce podróżnej.

— A ja do Gródka! — zaśmiał się, pomagając im wysiąść.

— Filip jest? — zagadnęła pani Barbara.

— Jest, ale już na robocie. Wydaje z pi-sarzem obroki.

— Amen! — rzekła pani Anna. — Jeśli pan łaskaw, proszę go zatrzymać!

— I owszem, dziękuję paniom! Będę miał znowu dwoje dzieci.

Wprowadził je do sieni, ładnie przystrojonej trofeami łowów i zawołał na dziewczynkę, która im się przyglądała przez szparę we drzwiach.

— Muszka, poproś no ciotki. Mamy gości, a przyjdźno się przywitać!

Po chwili do salonu przyszła kobieta lat średnich, ciemno ubrana, z ujmującym na twarzy uśmiechem, prowadząc za rękę Muszkę, która dygnęła grzecznie i pieszczotliwie przytuliła się do ojca.

— Przedstawiam paniom moją siostrę i gospodynię, a ten fąfel, to moja jedynaczka! — rzekł wesoło Barcikowski, gładząc włosy dziecka.

— Musi być w wieku naszej Jadwini.

— Ośm lat skończyła. Z Filipem są już w wielkiej przyjaźni. Wiesz, Muszka, Filip u nas zostanie.

— Naprawdę? — spytała radośnie ciotka.

— Pani będzie miała z nim nie lada kłopot! — rzekła pani Anna.

— Byłabym najszcześniejsza, żeby dzieci było co najwięcej w domu. To słońce prawdziwe i najmilsze zajęcie.

— O, nasz jest okropny! — westchnęła babka.

— Nic to! — odważnie odparła ciotka. — Muszka go oswoi i będą emulować! Zdaje mi się, że ma dwie wielkie zalety, nie kłamię i jest ambitny. Mało mam zajęcia, więc mogę im dużo czasu poświęcić. Im trudniej zwyciężyć, tem przyjemniej.

— Ona ma powołanie do musztrowania dzieci, — rzekł Barcikowski. — Nasza mała już ma rutynę, weźmiemy się do Filipa. Jużem go przekonał do druku i atramentu, kazałem co wieczór zapisać obroki. Chłopak się trochę tem stropił, ale wnet z gęstą miną odparł, że umie. Zobaczymy, jak temu podoła.

— Przyjdzie do mnie, żebym mu napisała! — rzekła Muszka, śmiejąc się figlarnie.

— To ty już umiesz pisać? — spytała pani Barbara.

— Umiem — i tabliczkę umiem!

— Czytać nauczyła się sama! — rzekła ciotka, a nauka pisania odbyła się w pięciu lekcyach. Z tą nie ma pracy wiele. Najszcześniejsza, gdy ma książkę, albo pióro w ręku. Z robotami gorzej idzie.

— I nasz Wacio sam się czytać nauczył, pisze teraz, że jest pierwszym w klasie.

— A Filip będzie pierwszym gospodarzem kiedyś! — wtrącił wesoło Barcikowski. — No, trzebaż po niego posłać.

I wyszedł, a ciotka rzekła.

— Byłam nauczycielką przez długie lata,

znam wiele dzieci, ale takiej żądzy pracy, jak w tym chłopaku, nie spotkałem w mej praktyce.

— To dzieciństwo i fantazyja. Proszę go przez tydzień utrzymać w rygorze, a zapał się skończy!—odparła babka, ramionami wzruszając.

W tej chwili Barcikowski przyprowadził zbiega. Nie wyglądał zalekły, ani upokorzony. Patrzył śmiało swemi zuchwałemi oczami w surową twarz babki.

— Więc tedy stanowczo przyjąłeś tu służbę?—spytała go.—Nie chcesz być w domu?

— Nie. Tutaj chcę pracować!

— Pamiętajże, byś wytrwał i dotrzymał do roku, bo cię napowrót nie przyjmę. Jak ci będzie źle i ciężko, z żalami nie przychodź, ani pomocy u mnie nie proś. Sam się rozporządziłeś—sam cierp! Rozumiesz?

Chłopak głową skinął. Zaciętość miał w oczach i upór.

— Ja nigdy się nie mażę i nie skarżę!—burknął.

Pani Barbara przyciągnęła go do siebie.

— No, a nie tęskno ci będzie za domem?—spytała.

— Ja do mamy się dowiem! — odparł zwicha — a jak zarobię dużo pieniędzy, to mamie dam połowę.

— Jak ci będzie źle i ciężko, to mi powiesz?—szepnęła.

Zawahał się, pomyślał i głowę potrząsnął.

— Nie powiem, bo to wstyd!... Ja nie dziecko!

— Ja nikomu nie powtórzę. Mnie możesz powiedzieć!

Zaciął usta i zezem spojrzał na Muszkę.

— Nie, nie powiem!—uparcie powtórzył.

Westchnęła pani Barbara.

— A Jadwisi ci nie żal?—spytała.

— Co mi tam za kompania z taką małą!— pogardliwie rzucił.

Matkę ogarnęła rozpacz wobec tej dzikości charakteru i nie spytała już o siebie.

Ciotka słuchała tej rozmowy, i gdy chłopak się usunął, rzekła zcicha:

— Niech panią to nie martwi. Cierpi on i uczuje, ale pozę junaka sobie obrał. Jemu się zdaje, że to go podwyższa. Ja dopilnuję, gdy zateśkni i przyszlę go pani. Teraz się zaciął i nie ulegnie.

— Zawsze był taki! — rzekła smutno pani Barbara.

Gdy odjechały po obiedzie, Filip jednak zmarkotniał, i długo za bryczką spoglądał. Możeby zapłakał pokryjomu, ale przyszła do niego Muszka, więc przybrał niefrasobliwą minę i począł gwizdać.

— Chodź, pokażę ci moje gołębnie—rzekła dziewczynka.

— Muszę iść do koni, nie mam czasu — odparł z ważną miną.

Barcikowski polecił malca pisarzowi, więc chłopak wytrwale dreptał za swym opiekunem, który misję spełniał gorliwie i włączając go za sobą, bardzo poważnie wtajemniczał w obowiązki. Późnym wieczorem, idąc na dyspozycję do Barcikowskiego wraz z kluczami i raportem, zdał też swego pupila.

— Idź-że teraz, Filipie, do swego pokoju, i wyrachuj, ile dzisiaj wydano obroku! — rzekł seryo Barcikowski, dając mu pióro, kałamarz i księgę z rubrykami.

Chłopak wziął wszystko i poszedł.

Wyznaczono mu osobny pokój obok sypialni Barcikowskiego, zastał już tam swą pościel i kuferek, który matka przywiozła, na stole lampę zapaloną.

Zaczął tedy sylabizować nagłówkę księgi. Litery znał, ale złożyć wyraz i wymówić go—nie było sposobu. Krew mu napłynęła do twarzy, potniał z wysiłku. Trzeba było prosić o pomoc, ale kogo? Każdy go wyśmiej. Ze wstydu i upokorzenia łez miał pełne oczy. W tej chwili do pokoju wbiegła Muszka.

— Może ci pomódz, Filip?—rzekła, wtykając główkę poprzez jego ramię i przeczytała prędko:

— „Księga czynności Filipa Barcikowskiego, dozorczy w folwarku Ładyń.” To tatuś pisał, a co tam na środku napisane?

Odwróciła okładkę i mówiła dalej:

— O, patrzno, tatuś ci napisał: 15 kwietnia wydano obroków—ile? pamiętasz?

— Pewnie, że pamiętam! Po dwa garnce na każdego konia.

— No, to pisz. Tutaj ile garncy—tutaj ile koni—a na końcu—suma. Ileż było koni, pamiętasz?

— Juści, że wiem, trzydzieści cztery!

— No, to pisz!

Wziął Filip pióro, niewiele wiedząc, co ma robić, a już nic nie pojmując, jak zrobić sumę, ale przyznać się nie śmiał, więc zakrył ręką księgę.

— Już wiem! Tylko ty nie patrz, jak piszę.

I począł niezgrabnie coś gryzmolić.



— Dzieci, na kolacyę! — zawołała przez drzwi ciotka.

Filip odsapnął i księgę zamknął.

W jadalni był Barcikowski i czytał gazety.

— Cóż, zapisałeś? — spytał.

— Już — bąknął nieśmiało Filip.

— Pokażesz mi po kolacyi. Cóż, bardzoś się spracował?

— Nie.

— Prędko idź spać, bo cię zbudzi pisarz o szóstej.

Filip myślał o księdze i strach mu włosy jeżył. Miał trochę nadziei, że Barcikowski zapomni, ale zaledwie wstali od stołu i chciał się wymknąć, usłyszał straszny rozkaz:

— No, a teraz dawajże twój raport.

Filip musiał usłuchać. Przyniósł i podał, ale się trząsł ze strachu.

Barcikowski spojrzał i zmarszczył brwi.

— Co to znaczy? — spytał surowo. — Przeczytajże sam!

Chłopak wtulił głowę w ramiona i stał, jak wryty.

— Cóż ty umiesz? Nic! I chcesz służyć, brać pensyę? Co to za kulasy i kleksy? To ty nie umiesz pisać i nie powiedziałeś mi tego! Jutro odwiozę cię do domu, niech ci niankę dadzą. Wstyd ci!

— Proszę pana, ja jutro lepiej napiszę! — bąknął Filip.

— No, pamiętaj. Człowiek, który chce pracować, powinien coś umieć. Czytać, pisać i rachować przedewszystkiem. Dziś ci wybaczę, ale jeśli się nie poprawisz, nie masz służby! To nie żarty obowiązek. — Ciotka i Muszka wy-

słuchały admonicji w milczeniu, a Filip wołałby nie żyć, niż tę chwilę wstydu znieść. W domu ani dbał o wymówki, tutaj postanowił sobie, że zginie raczej, niż na drugą zasłuży. Nie śmiał spojrzeć na nikogo i umknął do swego pokoju. Spłakał się, nim zasnął, ale ani przez sekundę nie pokusił się, by zemknąć do domu.

Pani Barbara oczekiwała go codzień, ale tydzień minął a potem drugi, a nie wracał.

Na trzecią niedzielę dopiero przyjechał. ale z panną Karoliną Barcikowską i Muszką, w odwiedzin tylko.

Nic o sobie matce nie mówił, tylko z młodą ważną oddał jej dwa ruble, które mu Barcikowski za służbę wypłacił.

— Jakże ci? Nie ciężko, nie tęskno do domu? — spytała, całując go w głowę.

— A cóż! Wiadomo! Płacą, trzeba pracować—odparł po swojemu hardo i szorstko.

Od panny Karoliny dowiedziała się matka, że chłopak służbę traktuje zupełnie seryo. Nie trzeba go napędzać, ani strofować. Wczorami sam uczy się czytać i pisać pokrywajemu, żeby go nikt o nieumiejętność nie mógł posądzić, a zapisany papier zamyka zazdrośnie do kuferka. Zresztą ani razu nie chybił w swych obowiązkach, ani razu nie pozwolił sobie na swawolę i próżniactwo.

Muszka z Jadwiną zaprzyjaźniły się rychło; było nawet trochę płaczu przy rozstaniu, uspokojono je obietnicą rychłych odwiedzin.

I tak niespodziewanie między Ładyniem i Gródkiem zawiązał się bliższy stosunek dla dzieci.

Pani Anna coraz uważniej teraz patrzała na Filipa, jakby go dopiero poznała.

Z obu stron—tak zda się nierównych—była chęć postawienia na swoim, i cicha walka; były też wielkie podobieństwa charakterów.

Zaciskała zęby na wszelki ból i trud ta matrona, stojąca na straży osieroconego gniazda; nie poskarżył się nigdy dzieciak niedorostek.

Ona chciała go ugiąć grozą, zmusić do pokory i powrotu, on postanowił pokazać jej, że sam sobie wystarczy, że posłuszny będzie nie grozie, ale wybranej dobrowolnie władzy.

W myślach swych Filip miał zawsze babkę na uwadze. Pamiętał jej plagi i krytyki, marzył, że ona go kiedyś przeprosi, a on jej powie: Babunia beze mnie się nie obejdzie, nie da rady w Gródku. Ja babuni pomogę!

A ona patrząc na jego upór w buncie, poczyniała utrwać się w swem zdaniu, że chłopak dosłuży się krzyża i nabierała dla niego uczucia.

Pani Barbara rachować zaczęła dni do wakacji. Śnił się jej codziennie Wacio ukochany, żyła tylko nadzieją jego widoku. Ciulając grosz do grosza, ze swych drobnych dochodzków kobiecego gospodarstwa, zebrała kilkanaście rubli, posłała mu je na drogę, przygotowała dla niego pokój osobny, konie do jazdy, kazała pomalować łódkę, wspominano go po sto razy na dzień z niecierpliwością i utęsknieniem.

Jadwisia opowiadała o nim Muszce, jak o jakim królewiczu z bajki, a Muszka wracając do Ładynia, dzieliła się z Filipem temi nowinami.

— Wiesz! Czemuś dzisiaj z nami do Gródka nie pojechał. Pływaliśmy po rzece białem czółnem twego brata. Widziałam jego konia. Mama twoja tu wstąpi, jadąc na jego spotkanie, już za tydzień.

— A jaki koń? — zagadnął Filip.

— Taki żółty, z białą łatką na głowie!

— Oho, — to ogrodowa kasztanka. Jaka tam jego.—Czy on ją kupił, czy wysłużył? Dostał — i basta.

— Bo zasłużył! Uczy się pięknie, bierze nagrody. Jadwisia mówi, że on okropnie rozumny. Takam ciekawa go zobaczyć. Pewnie więcej umie odemnie!

Filip popatrzał na nią ponuro i odszedł urażony...

Po godzinie przybiegła do niego z prośbą, aby jej złapał gołębia, który z klatki umknął na strych.

— Poczekaj — za tydzień Wacio przyjedzie, to ci złapie—odparł.—Ja nie mam czasu. Jestem na służbie!

I odwrócił się do niej plecami.

Nie był zawistny ani o malowane czółno, ani o kasztankę, ale o zajęcie Muszki.

Przez ten czas poznali się i żyli bardzo. Do obowiązków Barcikowski mu wliczył opiekę nad Muszką i Filip to spełniał sumiennie. Dziewczynka żywa, pieszczona, serdeczna, wysługiwała się chłopakiem, płacąc mu za to podziękowaniem, pochwałą, uściskiem. W głębi duszy Filip miał już dla niej wielkie uczucie i nie znosił nawet zmory rywała.

Muszka obraziła się i poszła sama łapać swego gołębia. Że zaś przy karkołomnej gimnastyce po strychu podrapała twarz, podarła

sukienkę i nabiła guza na czole, sprawa wytoczyła się przed pannę Karolinę.

Przy wieczerzy wdał się w to i Barcikowski.

— To Filip winien. Nie chciał mi go złapać! — płakała Muszka.

— Czemuś nie chciał? — spytał Barcikowski chłopca, który dla swego chlebodawcy miał ogromny respekt.

— Byłem zajęty — bąknął.

— Nieprawda — zaprzeczyła Muszka. — Nie robił, bo to było właśnie południe. Na złość mi zrobił. Powiedział, żebym czekała na Wacia.

— Aha! — zaśmiał się Barcikowski. — Twój kawaler zazdrosny.

— Ja go nienawidzę! — wybuchła dziewczynka. — Gołąb uciekł, sukienkę podarłam i ciocia mówi, że nowej nie dostanę za karę. Ja go nienawidzę! Nigdy się z nim bawić nie będę.

Wytrzymała w postanowieniu cały dzień następny. Byli oboje zwarzeni i markotni. Na zajutrz w południe zbiegły gołąb znalazł się w klatce. Radość ją ogarnęła bezmierna, pobięła do Filipa, do zbożowego magazynu.

— Toś ty złapał kapucyna? Powiedz? Gdzie był?...

— Wielka sztuka! Był tu w grochu! — burknął.

— I odniosłeś! Jakiś ty dobry! Jakiś ty pocziwy.

Ucałowała go i dała karmelek.

Uczyniła się znowu zgoda. Nie wspominała Wacia.

A tymczasem pani Barbara pojechała na

jego spotkanie aż do kolei i pewnego dnia zawołano Filipa ze stajni na powitanie brata.

Obadwa zmienili się bardzo przez ten rok.

Wacio wyrósł, jak świeca, blady był, poważny i uroczyście wyglądał w swym mundurze.

Zdał świetnie egzamin, ale robił wrażenie wyczerpanego i odurzonego. Uśmiechał się z wysiłkiem, mówił mało, znać na nim było przy-  
mus i rygor internatu.

Filip przez ten rok także wyrósł, ale bardziej zmęźniał. Opalony, zdrów, barczysty, miał minę zuchwałą, butną, i gdy spojrzał na brata, wcale mu nie zaimponował.

— Coś ty taki biały, jak zmarznięty pasternak! — rzekł krytycznie. — Głodzili cię „prawowiedzy”?

— Popróbowałbyś egzamin zdać! — odparł Wacio.

— Ty wiesz? Ja już służę tutaj!

— Jaka to służba! Ja jak skończę instytut, dostanę zaraz rangę!

— Co to takiego?

— Będę „prokurorem.”

— Prędko?

— Za dziesięć lat.

— Owa! Za dziesięć lat ja już będę gospodarzem na osobnym folwarku! Wiesz ty, mama ci konia przygotowała.

— Mówiła mama, ale ja przez wakacje muszę dużo się uczyć! — rzekł Wacio z miną pełną godności.

— A kolegów dobrych masz?

— Morduchow najlepszy.

— Po rusku gadacie?

— A jakże! Nie wolno inaczej.

— To z kimże ty w Gródku gadać będziesz? Z popem i z „nastawnikiem.”

— Juści nie z tobą, bo nie umiesz!—odparł Waciu urażony.

— Nie umiem! To co? Ale i ciebie i twojego Morduchowa pobiję! Wielka sztuka — po rusku gadać. Każdy żołdat umie!

I pogardliwie obrzuciwszy brata oczami, poszedł napowrót do stajni.

Wieczorem, gdy goście odjechali, Barciowski rzekł do siostry:

— Ryzykowna pani Barbara. W gimnazyum toby skórę chłopca potynkowali na „kazionny” kolor — a w takim internacie przez dziesięć lat, to i kości jego i wnętrzości przerobią. A chłopak widać miękki, wrażliwy. Daj Boże, by mu i duszy nie przechrzcili!

— Śliczny jest. Kiedyś będzie bardzo niebezpieczny!—rzekła panna Karolina.

— I to jedno złe więcej!—mruknął Barciowski.—Wolę ja z nich dwóch naszego Filipa.

Muszka i Jadwisia zawiodły się też bardzo na Waciu. Żaden to był towarzysz i kolega, ledwie raczył z niemi rozmawiać, ciągle czytał i uczył się, lub spacerował samotny.

Dwumiesięczne wakacye wydały się dla pani Barbary jedną chwilą. Poczęły złociec liście i zboża ginać z pól i bociany się zbierać do odlotu, gdy i jej nadszedł gorzki dzień rozstania z pierworodnym. Odwoziła go do kolei, rzewnie płacząc i całując i owe sejmy bocianie wskazywała na ogołoconych łąkach.

— Widzisz, Waciu, i one co roku odlatują, a przecie odnajdą gniazdo, z za morza powrócą na stare siedlisko. Pamiętajże i ty o domu i o nas—pisz często, pisz szczerze!



Chłopak dziwnie się uśmiechał na to polecenie i głową kiwał. I jego żal dławił, strach, tęsknota za domem. Ale ambicyą i chęć sławy miał nadewszystko wielką, więc tamto gnębił, krył i z matką już nawet szczerym nie był.

Wstąpili do Ładynia, bo Barcikowski właśnie w interesie jechał do Petersburga i miał chłopcem się w drodze zaopiekować.

Tu także nastąpiło pożegnanie braci. Filip wziął starszego na stronę i wetknął mu w rękę jakiś papier. Było to pięć rubli.

— Na co to?—tamten się zachnął.

— To dla ciebie! Weź, mnie niepotrzebne! Zarobiłem, a ty jeszcze nie możesz zarobić—to masz.

— Kiedy mi nic nie trzeba! Nie chcę!—bronił się Wacio.

— Jakto? Mówiłeś, że ci się chce jakiejs książki. No, to sobie ją kup! Et, nie durz mi głowy. Jak chłopca biorą do wojska, to go rodzina darzy—taki obyczaj!—No, bywajże zdrów, bo mi do roboty pilno!

I poszedł — gwizdząc.

Jednostajnie płynęły ciężkie lata. W Gródku coraz było samotniej, bo i Jadwisia opuściła gniazdo. Odwiozła ją panna Karolina wraz z Muszką do klasztoru w Galicyi. Ciężki to był koszt w budżecie pani Anny, ale poniosła bez szemrania, mówiąc do synowej:

— Nie chcę, by mi dziewczyna kiedy zarzucić mogła, że jej nie dała jedyne go posagu, na jaki mnie stać — wykształcenia.— Niech ma chleb w ręku.

Teraz tylko listy dziecinnie odczytywała pani Barbara i chowała je do szkatułki, jak klejnoty. Jadwisia pisywała często, Wacio co

raz rzadziej, ale to nie dziwiło matki. Wiedziała, że chłopak nie mógł pisać a chciał—cierpieć, milcząc.

Filip wciąż służył w Ładyniu. Barcikowski polubił go jak syna, traktował jak dorosłego, zaczął się nim wyřęcać, rozbudził w nim gust do nauki i czytania, kształcił go teoretycznie i praktycznie. Chłopak się okrzesał, zbył gburowatości, rozmiłował się w swem zajęciu.

Pewnej jesieni, gdy hrabia zjechał na polowanie, Barcikowski zaprowadził Filipa do pryncypała i przedstawił go.

— To jest mój imiennik z Gródka—rzekł—hoduje go panu hrabiemu na zastępcę po sobie.

— Nie wspominaj mi pan o zastępcach—zawołał przerażony hrabia. — Nie chcę o tem słyszeć. Mam nadzieję, że dożyjemy wieku razem!

— Daj Boże, ale gdy dożyjemy, zostanie po panu syn do panowania w Ładyniu, a ja nie mam syna, by go do gospodarowania w Ładyniu zostawić. Więcem sobie tego chłopaka wybrał, niech dla tradycyi będzie i dalej w Ładyniu Barcikowski w oficynie.

Hrabia spojrzał na Filipa uważnie i rzekł:

— Młody człowieku, życzę ci, byś zasłużył sobie na taki szacunek i wiarę, jakie mam dla twego opiekuna.

Filip czerwony jak rak, uklonił się niezgrabnie a hrabia uśmiechnął się do starego.

— A może pan sobie i zięcia jednocześnie hoduje? — zażartował.

— Nie chciałbym innego, ale nie ja będę wybierał — odparł Barcikowski.

Filip już i oczu nie śmiał podnieść, ale na

wieki to zapamiętał. Od tego dnia czuł się narzeczonym Muszki.

Aż wreszcie przyszedł dla pani Barbary dzień radosny, nagrody za długą tęsknotę.

Wacio skończył instytut z najwyższem odznaczeniem i medalem złotym i przyjechał do domu na miesięczny wypoczynek. Dłużej bawić nie mógł, bo już otrzymał przy ministerjum sprawiedliwości — jak pisał Iłowicz — „pierwszy szczebel drabiny zaszczytów i dostojenstw”.

Było to lato, więc i Jadwinia bawiła w domu i cała gromadka dzieci zebrała się w Gródku. Nie dzieci to już były. Wacio miał dwudziesty rok, wyrósł smukły i zgrabny, z głową rzadkiej piękności, z wrodzonym wdziękiem w ruchu i postaci. Jakby sobie wynagradzał przymus tyloletni, wesół był, rozbawiony, szczęśliwy, pełnią młodości i dobrych nadziei.

Obok niego Filip się odcinał ostro, jako szczyt kontrastu. Niższy, masyśny, z upartą szczęką i czołem, z zuchwałemi oczami, wichelem i skwarem opalony, był typem pracownika roli i wsi, który barki swe podstawia pod wałacy się budynek, przecierpi wszelką klęskę, zniesie najgorsze ciosy, ale ani ustąpi ani odejdzie.

Jadwinia, blada i zamyślona, była między nimi jako tradycya kobiet, co mają przeznaczenie nieść dalej w nowe pokolenie cześć pamiątek i ideałów, historyi i wiary, poezyi i legendy.

Wszystko troje przebyli razem ten miesiąc, bo tak chciała matka.

Chciała, by Wacio nabrał w duszę przed

dalszą karierą powietrza z Gródka, pamiątek rodzinnych, serca swych bliskich.

I tak minął ten miesiąc, zbliżył się dzień rozstania.

— Możebyś nam jeszcze parę dni darował Waciu! — zaproponowała raz nieśmiało pani Barbara.

— Nie można, mamol — odparł chłopak poważnie. — Jestem przecie już urzędnikiem. Służba rządowa!

Ton zmroził panią Barbarę — westchnęła.

— Żebyś choć dostał posadę tu w kraju!

— Nawet prosić o to niebezpiecznie. Skompromitowałbym się. Cóż robić. Kariera tylko na wschodzie.

— Tylko nie zapomnij, że tu na zachodzie twe Bogi!

— Nie zapomnę i przyjeżdżać będę jak najczęściej!

— Więc już jutro wyjeżdżasz. Filip cię przeprowadzi do Ładynia. Zostanę znowu sama!

Wyszła prędko, by łzy ukryć.

Dzień następny od rana był smutny. Snuli się wszyscy apatycznie, nie mogąc się zająć niczem, mało co mówiąc do siebie. Wacio się spakował, ubrał w mundur — rozstrojony był i nerwowy, — Filip się nudził bez pracy i ruchu, pani Anna gderała wszystkich — pani Barbara miała oczy czerwone.

O zachodzie słońca wprowadziła syna do ruin zameczku i tam przesiedziała z nim godzinę, dając wiyatyk na drogę — potem wrócili skupieni oboje i poważni i Wacio rzekł do siostry:

— Zaśpiewajże mi co na pożegnanie. Co

naszego. Długo nie posłyszę ni swej mowy, — ni śpiewu.

Jadwinia usiadła do fortepianu. Zaśpiewała mu swój klasztorny repertuar: kolend parę, potem „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Boże coś Polskę”, a wreszcie wzięła parę akordów i zaśpiewała:

Głód, powietrze, ogień, woda  
I wszelaka zła przygoda  
Będzie temu, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.

A gdy umrze, garści ziemi,  
Gdzieby spoczął między swemi,  
Nie dostanie, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardził wiarą.

— Dość, dość! — zawołał Wacio. — Nie żegnajże mnie takimi pogrzebowemi melodyami. Mnie otuchy trzeba i odwagi. Zaśpiewaj mi coś na ochotę!

— Konie pod gankiem! — oznajmił Filip, wchodząc.

Jadwinia przestała grać, rzuciła się na szyję brata, babka i matka wzięły go po kolei w objęcia, milcząc błogosławiły go.

— A Wacia nagle chwycił raz pierwszy w życiu strach przed drogą, przyszłością, rzucił się matce do kolan i rozpacznie zawołał:

— Mój Boże, jak mi się od was nie chce jechać! Tak daleko, tak daleko!

— No, odwagi, dziecko, odwagi! — rzekła babka. — Mężczyzna już jesteś, dasz sobie przecie radę. Pracuj uczciwie, przyjaciół tam na obczyźnie nie szukaj, a pamiętaj zawsze, żeś tam obcy! Tu wszystko twoje.

— A w doli niedoli pisz — wszystko wyznaj

mnie!—prosiła matka. — Myśl moja i modlitwa z tobą!

— Włożyłam ci Mickiewicza do kuferka!—szepnęła Jadwinia.

— Dziękuję, siostrzyczko!

Strach przeszedł. Zmógł się chłopak, jeszcze raz ucałował ręce matki i wszedł do bryki, w której już Filip nań czekał.

Ruszyli. Długą chwilę trwało milczenie, wreszcie Wacław się wzdrygnął i rzekł:

— Wierci mi w uszach ta śpiewka Jadwini. Skąd jej przyszło do głowy, żegnać mnie przekleństwem?

— Ot, śpiewała jedno po drugim, bez zastanowienia. Przecie nie myślała o tobie.

— Ja wiem, ale tak mi to w głowę wlało. Brr... nie chce mi się tam jechać!

— Boś się rozpróżniaczył. Najgorzej robotę przerwać. Za parę tygodni wciągniesz się i orzeźwiejesz. Czy będziesz mieszkał u Ilowicza?

— Nie! Ktoby wytrzymał z tą jego kochanką!

— Ochota dopiero mieć kochankę! — burknął Filip.

— Każdy ma! — odparł tonem wyższości Wacław — ale nikt się tak głupio, jak Ilowicz nie urządza, żeby ją w domu trzymać! A no on dowodzi, że to taniej kosztuje.

— A ona kto? Rosyanka?

— Naturalnie. Zła baba na mnie, że jej nie chcę.

— Tfu! Alboż cię zaczepiła?

— Ojoj!

— A tobym żeby powytrącał, żeby mnie zaczepiła!

— Ba, żeby młoda i ładna. Przecież w Petersburgu są rosyanki, jak w Paryżu paryżanki.

— Jabyś żadnej nie tknął, bo kto mnie zaręczy, że jej przodek lub krewny mego przodka lub krewnego nie katował, nie gnębił, nie zabił.

— Ty ostrożnym bądź z takim gadaniem, a to zgubisz siebie i nas wszystkich. To stare dzieje, trzeba się opamiętać i milczeć. A trzeba ci wiedzieć, że w stolicy i w Rosyi inni ludzie, niż ci, których tu przysyłają. Tamci polaków cenią i lubią--a są wykształceni, panowie całą gębą. Co za bogactwa, jaki szyk. Mam kilku kolegów, paniczów tak eleganckich i miłych, żebyś się nimi zachwycił.

— To ty tam już masz przyjaciół?

— Parę domów, a Iłowicz mnie zapoznał z kilku rodzinami. Muszę bywać i żyć z nimi, przecież od nich zależy moja karyera. Nie mieć stosunków, to człowiek całe życie będzie niczem.

— Podła karyera!—mruknął Filip.

Umilkli znowu, czując, że rozchodzą się w poglądach o całe światy oddalenia. Noc się uczyniła zupełna, bez księżyca, ale jasna od gwiazd. Droga szła groblami wśród moczarów, pustym krajem. Filip się rozejrzał i rzekł do furmana:

— Na przekłety młyn jedziesz?

— A tak! Ominiemy zalew, bo tam most zepsuty.

— Okropnie ponura tu okolica! — szepnął Wacław — i niezuajoma. Chyba nigdy tu nie byłem?



— Może być. Przeklęty młyn każdy omija, jak może. Znasz pewnie jego legendę?

— Nigdy nie słyszał.

— Ho, ho, mnie Bazyłowa opowiadała. Stara historia. Dziad nasz miał proces ze szlachcicem Ciecierskim o granicę. Ciągnęło się to lata, wreszcie dziad proces wygrał i na tej granicy, na piaszczystej wydmie kazał wiatrak postawić. Ciecierski wskutek procesu zeszedł na dziady i chodził, jak waryat. Otóż, gdy wiatrak stawiali, między robotników się wmieszał i, jak to mówią, pierwsze zakładziny złożył, a zbijając tak zaklął: „Bodajże on tobie i twoim na śmierć mełł.” No i wiesz, co się stało? Wiatrak ten nigdy nie mełł, każdy wiatr go łamał, zawsze był w reparacyi. Tylko chłopcy przysięgają, że gdy kto z naszego rodu umiera, tej nocy młyn się sam obraca. Teraz już go nie reparują nawet, ani go nikt nie pilnuje, stoi pustką. Ot, widzisz go przed nami?

Z niskich moczarów wyjechali na wzgórze łyse i piaszczyste. Konie zwolniły, w piasku tonąc po kolana, furman się przeżegnał.

Na tle nieba zaczętnął fantastyczny kontur wiatraka. Stał olbrzymi, nieruchomy, z krzyżem swych wypierzonych wielkich skrzydeł. Nie było w koło niego ni krzaczka, ni trawy, ni śladu ludzkiego. Stał, jak widmo, wyciągając czarne ramiona. Chłopcy patrzali milcząco, furman konie zaciął. W tem ze skrzydła zerwał się duży ptak i bez szelestu przepłynął nad ich głowami.

— Co to? — szepnął Wacław.

— Sowa! — odparł Filip.—Może duch Ciecierskiego!—dodał po chwili ze śmiechem trochę nieszczerym. — No, poganiaj, — Sowa.

Minęli młyn, zjechali ze wzgórką. Wacław się obejrzał raz jeszcze i wzdrygnął się.

— Nie chciałbym go widzieć w ruchu! — szepnął.

— Bo i nie zobaczysz! — rzekł Filip. — Co dla ciebie Gródek i ta pustka! Dla ciebie sława i wielki świat. Może i zajrzeć tu nie zechcesz!

---

### III.

Naczelnik departamentu, Tertii Wasilicz Morduchow, chodził po swym gabinecie niespokojnie i raz wraz na zegarek spoglądał.

Wieczór był, zima — karnawał w całej pełni.

Tertii Wasilicz miał obiad i bal u ministra — niecierpliwił się widocznie. Wreszcie zadzwonił i spytał wchodzącego lokaja.

— Maksym Tertjewicz u siebie?

— Nie, panie, od wczoraj nie był.

— Naturalnie! Hulają obydwaj „mierzawcy!” — mruknął do siebie, a głośniejszym głosem dodał — wrócił Iwan?

— Wrócił panie.

— Zastał? Cóż powiedział?

— Że natychmiast będzie!

— Zaraz go tu wprowadź! Czekam

Lokaj zniknął, ale nie upłynęło minuty, napowrót drzwi otworzył i wsunął się bez mel-dowania.

Do gabinetu wszedł młody człowiek, w są-downiczym mundurze i uklonił się, patrząc pytająco na zwierzchnika. Snać był tu prawie

domowym, bo Morduchow wyciągnął do niego poufale rękę i rzekł:

— No, przecie was znaleźli. Pewnie w Kraśnym Kącie z Maksymem?

— Ale gdzież tam! W sądzie. Zastępowałem chorego Grigoriewa i wprost ztamtąd jadę. W tym roku prawie nie wiem, że jest „maslanica”. Nie mam czasu.

— No, gołubczyk, i do końca maslanicy nie użyjesz. Trzeba ci jechać daleko — zaraz dziś w nocy.

— Dokąd?

— Do Penzy! Posłuchaj Winczesław Sewerynowicz, jeśli ci się tam uda, do Wielkiej-nocy będziesz prokuratorem.

Młody człowiek się skłonił i uśmiechnął. Morduchow usiadł za biurkiem, wskazał mu fotel ręką, odchrząknął i ciszej rzecz zagaił.

— Wczoraj umarł tam gubernator. Niemiec to był, podła bestya—Korff! Stary był i umarł—wielka awantura. Był tam u niego szefem kancelaryi Grinia Fomow—mój siostrzeniec. Znałeś go przecie u nas! Czy podobny do mordercy? Tymczasem Grinia pokłócił się tam z oberlicmajstrem Noskowem—i oto masz—otrzymałem dwie depesze. Czytaj!

Młody człowiek wziął depeszę i już poważny, zajęty tylko sprawą, czytał półgłosem: „Dziś nagle zmarł Korff. Podejrzane. Proszę o przysłanie urzędnika do śledztwa. Noskow”.

Odłożył po chwili namysłu i wziął drugą. „Korff umarł, Noskow, mnie niepokoi. Fomow”.

Urzędnik umilkł, na depeszę patrzył i czekał dalszych rozkazów.

Morduchow potarł czoło i rzekł:

— Głupia, bardzo głupia sprawa. Grinia był na doskonałej drodze i wszystko mogą dyabli wziąć, jeśli nie wyjdzie z tego czysty jak szkło. Naturalnie to jest brudna intryga i zemsta Noskowa. Otóż Winczesław Sewerynowicz, daję wam najwyższy dowód zaufania w waszą zdolność i polecam wam tę sprawę serdecznie. Prawda musi być wyświetlona. Zróbcie to, jak umiecie: prędko, jasno, stanowczo. Będę wam bardzo a bardzo obowiązany!

Młody człowiek na depeszę patrzył i sumował.

— Będę się starał sprawę najciszej i najprędzej załatwić—rzekł wahająco—tylko Fomow musi być do niej wmieszany, jeśli Noskow go oskarżył.

— Noskowa traktuj z góry. Zajedziesz wprost do mieszkania gubernatora—i tam Noskowa wezwiesz. Wy tłumacz mu, czem to pachnie. Zresztą—ciebie uczyć nie trzeba. Papieiry znajdziesz w ministerjum przygotowane. Jedź—i końce w wodę!

Urzędnik wstał, uklonił się i wyszedł.

Na dole czekały jego sanki, ale w drzwiach spotkał się z synem domu, który po dwudniowej hulance wracał do siebie, aby się na bal przebrać.

— Jak się masz! Szukałem ciebie w mieszkaniu. Byłeś u starego? Wróc na górę, opowiem ci awanturę u Pełkina.

— Schowaj ją w pamięci, aż wrócę. Nie mam czasu.

— Co się stało?

— Wyjeżdżam do Moskwy. O której kuryer?

— O trzeciej. Po co jedziesz?

Urzędnik przechylił się do jego ucha i szepnął:

— Z Nataszą Pawłowną.

Maksym Morduchow gwizdnął i śmiechem parsknął.

— No, to szczęśliwej drogi.

Urzędnik do sanek wsiadł i rzucił kacapowi adres. Petersburg szalał i pił, on się otulił w futro i rozmyślał bardzo poważnie.

Sprawa była widocznie krzywa, kiedy Morduchow tak ją zalecał, tyle się o nią troszczył. Przypomniawszy sobie Fomowa, pięknego, rozpustnego chłopca, który grał, pił i hulał na zabój, aż go Morduchow wysłał na prowincję, żeby z oczu zszedł.

Musiał tam się stać nielada skandal, kiedy Noskow był zmuszony telegrafować.

„Końce w wodę” — łatwo było Morduchowowi tak rzec—trudniej uczynić—na miejscu!

Ha—służba—ostatecznie Fomow miał plecy. Zawsze się wykręci, tamten umarł. Noskow był głupi, bo przepadnie jego karyera — a on—miał instrukcyę—był maszyną!

Sprawiedliwość, prawda! Ironicznie się uśmiechnął...

Ruszył ramionami. Potruli się czy nie potruli, nikt tego bardzo do serca nie weźmie, on najmniej. Polecono mu ratować żywego — bardzo słusznie, — bo tego martwego żadne ratowanie nie wskrzesi!

Wstąpił do ministeryum, odebrał papiery, potem zajechał do mieszkania, przebrał się do drogi, kazał służącemu spakować rzeczy, napi-

sał parę bilecików i gwiżdżąc, pojechał na dworzec, kląć w duchu Penzę, kryminały i Formowa, który mu nie dał odbyć „maślanicy” po ludzku.

W przedziale pierwszej klasy roztasował się na długą drogę i wyciągnął się do snu.

Ale sen nie przychodził, ino chaos myśli.

Od trzech lat, jak skończył instytut „prawowiedów” dobrze mu się działo. Miał posadę, stosunki, wrósł w życie petersburskie, lubiany był powszechnie. Co prawda, pracował usilnie, zawsze gotów każdego wyręczyć, każdemu pomódz i usłużyć. Giętki był, uprzejmy, wesół, dobry kolega, sumienny urzędnik, uważny na każdy krok i słowo. Był bo pod ścisłą obserwacją—jako polak, śledzono go nieufnie. Żeby dostrzeżono najmniejszą nielojalność, zmarniałby na nędznej posadzie. Wiedział to i nielojalności najmniejszej nie popełnił. Nie miał nawet znajomych polaków, nie mówił nigdy po polsku, nie zajmował się polityką, ani razu o urlop do kraju nie poprosił. Duszę swą schował, serce zamknął, usta ułożył, wszystko wymusztrował znakomicie i tak się w swą rolę wcielił, że bał się być sobą samym nawet w czterech ścianach mieszkania, nawet czytając listy z domu, lub na nie odpisując.

No i przecie wysłużył sobie wiarę i zaufanie, przestano go szpiegować i podejrzywać, powiedziano „to nasz”.

Gdy to posłyszał, był już takim wytrawnym aktorem, że odczuł tylko dumę, żadnego bólu!

Teraz Morduchow wspomniał mu „prokuratora”. Było to jego marzenie. Postawę miał piękną. Głos metaliczny, wymowę świetną.



Widział siebie na posiedzeniu sądu, piorunującego występek, porywającego tłumy, sławnego na całą Rosyę. Pociąg pędził, on rozgorączkowany snuł swe plany świetnej przyszłości.

Gdy usnął wreszcie, widział w dalszym ciągu salę sądową, z wielkim portretem w głębi i z małą „ikoną“ gdzieś w kącie, — oświetloną, pełną ludzi, uroczystą. On oskarżał, wszyscy drżeli oburzeniem, kobiety płakały, podsądni chylili do ziemi twarze, a naprzeciw niego, na ścianie, sprawiedliwość, piękna, naga kobieta wyciągała do niego wieniec laurowy.

Pyszna była, smukła, o toczonych członkach, uosobienie pokusy, patrzyła nań rozkosznie, rozchyłała usta, wdzyrnała się jej pierś, wyciągały ramiona z nagrodą.

Wtem dzwonek się rozległ, to sąd szedł z wyrokiem. Posłyszał: „skazany,” oderwał oczy od bogini, spojrzał na podsądnego, którego pogłębił i zimny pot go oblał. Podsądnym był jego brat rodzony: Filip Barcikowski.

Krzyknął i zbudził się. W wagonie późny ranek zimowy szarzał. Był sam, na stoliku obok leżał jego portfel ministeryalny. Oprzytomniał. Aha, Noskow, Fomow, Penza. Wrócił do rzeczywistości, wyjął z torby książkę, ostatnią nowość francuską, romans *quasi* psychologiczny i rozstrojony snem, począł czytać...

Gdy przybył do Penzy, noc była. Postanowił tedy zajechać do hotelu i rano sprawę rozpocząć, lecz zaledwie stanął na platformie, ktoś szybko do niego podszedł i salutując po wojskowemu, rzekł z wybuchem radości:

— Nareszcie doczekałem się pana. Jestem Mikołaj Teodorowicz Noskow.

— Winczesław Sewerynowicz Barcikowski—odparł sztywnie urzędnik.

Spojrzał na policmajstra, którego miał pognać. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, ledwie siwawy, o pocziwej, rzetelnej twarzy.— Prawda i szczerłość patrzyła mu z oczu, a prostota i spokój z całej twarzy. Nie był to intrygant, gorzej dla siebie, nie był to nawet dyplomata.

— Dziwne, że pan mnie dojrzał tak prędko w tłumie — rzekł Barcikowski, mimowoli ujęty powierzchownością.

— A toż ja was wyglądam, jak zbawcy,— stęknął Noskow. Czy pan pozwoli do mnie? Konie czekają.

— Daruje pan. Zajadę do hotelu.

— Jak pan sobie życzy. Zawiozę pana do najlepszego. Ale nie wytrzymam. Dziś jeszcze muszę sprawę opowiedzieć. Dusi mnie to okropność.

— I owszem. I mnie się śpieszy.

— Daruje pan, że nie ofiaruję swego ekwipażu, ale w tej chwili nie mam koni. Sprzedało się jedno, drugie jeszcze nie kupione, jeżdżę dorożką.

Gdy odjeżdżali od dworca, Noskow dodał ze stęknieniem:

— Czort wie! Nie lubią mnie ni ludzie, ni pieniądze. Trzydzieści lat służę, innyby porósł w pierze, ja goły, i dwadzieścia trzy już posady zmieniłem.

Barcikowski pomyślał, że lada dzień czeka go dwudziesta czwarta translokacja, ale milczał.

— Pan familijny?—spytał po chwili.

— Tak jakby — odparł Noskow. — Mam czworo dzieci, bez żony. Jeszcze gorzej.

— Zatem wdowiec?

— Ej nie. Żona została w Petersburgu. Tam jej weselej. I ona mnie nie lubiła.

Barcikowski dalej nie pytał.

Stanęli w hotelu. Barcikowski kazał podać kolację do numeru, zaprosił Noskova.

Mówili o rzeczach potocznych, dopóki służba się kręciła, wreszcie, gdy zostali sami, Noskow rzekł:

— Teraz możemy gadać śmiało. Numer ten nie ma sąsiadów, znam go.

— Zatem, niech pan opowiada, na mocy jakich danych wysłał pan depeszę? Powinien pan mieć nie poszlaki, ale fakta, bo to sprawa zbyt groźna, żeby ją lekkomyślnie wszczynać.

— Czy pan znał Korffa?

— Skądże?

— Był to człowiek siedemdziesięcioletni, suchy, zawiedły, pedant i służbista, jak tylko Niemiec być potrafi. Nie pił, w karty nie grał, mało się odzywał, ostry był dla podwładnych, szorstki w obejściu. Uczciwy człowiek, podobał mi się, gdym tu przybył zeszłego roku z Jarosławia.

— Żonaty był?

— A jakże! Żeby nie to, żyłby sto lat. Przecie to ona go otrula, ona i Fomow. Fomow—to prosta kanalia, był na jej utrzymaniu, ale ona to szatan, to gorzej jak szatan! Gdym tu przybył, wnet wiedziałem jak rzeczy stoją. Fomow nie był pierwszy—przed nim była cała Penza: Arapowy obydwaj, Panczulizew, Muchin. Fomow ich wszystkich odbił od pół roku. Ha, to do mnie nie należało, ja nie pop, anibym

pisnął, ale Fomow pewny protekcyi i pleców, broił bez opamiętania! Gdzie się popili w nocy i wybili szyby, a poturbowali policyantów—Fomow. Gdzie się pobili lichtarzami przy kartach—Fomow. Gdzie gwałt uliczny — Fomow. Codzienną awantura, protokoły, sprawy policyjne. Takie się co nocy działy skandale, że nikt snu i całości swej skóry nie był pewny. Wziąłem się tedy po porządku i zacząłem panicza brać w ryzy. Raz i drugi poszła sprawa do sądu, zapłacił karę, ale nazajutrz znowu broił i drwił mi w oczy...

— Poszedłem tedy do niego, niedawno to było, w listopadzie i powiadam mu: Czy to za pańską wiedzą i aprobatą Fomow depce prawa, obyczajność i powagę urzędu, który piastuje? Pański szef kancelaryi sprawuje się jak zbójca, a znajduje wszędzie opiekę, sędziowie go nawet oszczędzają. Jeśli pan w tę sprawę nie wejrzy, będę musiał skarżyć wyżej. Byłem zły, bo tegoż dnia sędzia uniewinnił Fomowa za napad uliczny w nocy. A on popatrzył na mnie swemi blademi oczami, od których mróz szedł na człowieka i powiada: „Jeśli pan przez tyle lat służby w policyi jeszcze się nie nauczył, kiedy oczy i uszy otwierać, a kiedy zamykać, to każ się pan postrzydz w monachy, jeśli nie chcesz umrzeć z głodu, albo i gorzej jeszcze”. We mnie krew się burzyła, więc wołam:

— Zatem pan rad z Fomowa. I pan go ochrania?

— Ja jestem cierpliwy. Lubię porządne rachunki i czekam z sumą do końca!

I znowu popatrzał na mnie swemi straszonymi oczami, a mnie nagle złość odeszła

i odszedłem. A przed Nowym Rokiem niespodziewanie przyszedł do mnie znów i po różnych nibyto sprawach i interesach urzędowych rzecze:

— Niezdrów się czuję, a w mojej rodzinie nagle umierają. Żebym kiedy tak zmarł, proszę was, weźcie w opiekę moje papiery, nie urzędowe, ale prywatne, złożone w małym biurku w gabinecie. Dobrze?

— Żyście sto lat Oskar Pawłowicz!—rzekę, a on się zaśmiał, jakby inny się skrzywił i powiada:

— Sto lat! Widać, że zdrów jesteście. Ja już od dziesięciu chciałbym być w ziemi!

— Wtedy mnie znowu coś tknęło, że ten człowiek wszystko wie i umyślnie milczy. A wie pan, co to było: teraz wszystko rozumiem. I on był przez tę kobietę opętany, on ją kochał, a przytem, on nie chciał skandalu, dumny był, okropnie dumny, jak tylko być może kurlandzki baron! Tymczasem w kilka dni potem Fomow się zgrał na kilkanaście tysięcy. Myśleli wszyscy, że teraz będzie mu koniec, aha, zapłacił. Zaczęli szperać, gdzie, jak? doszli, że pofałszował on weksle i że mu na nie dał pieniędzy Chareńko, lichwiarz! W klubie spotkałem Chareńkę i pytam, jak jest. Powiada — prawda — przyniósł Fomow weksle, ale drugiego dnia już je baron wykupił. Rozumie pan, wykupił i schował. Znajdzie je pan w tem biurku, dopilnowałem, żeby ich nie wykradli!

Noskow spojrzał tryumfująco. Barcikowski słuchał uważnie, żadnem słowem nie przerywając.

— Ja wszystko wiem, co pan znajdzie

w biurku? Znajdzie pan te weksle i listy Fomowa do Zofii Nadiejewej, od której wyłudził klejnoty familijne, które sprzedał, a ona się otrula ze wstydu. Wiem, że tamten listy kupił u jej panny służącej. Znajdzie pan testament i coś pewnego o sprawie małej Tani Wołkow — no, to była też ładna sprawa! Ha, ha — a ja biurka dopilnowałem!

Było to tak. Wieczorem onegdaj wpada do mnie kamerdyner barona i woła: „Pan umiera!” Rzuciłem wszystko — lecę. W pałacu popłoch — nikogo nie puszczają — pani nie pozwala. Kopnąłem jednego i drugiego draba — dostałem się przebojem do gabinetu. We drzwiach zatrzymuje mnie sama pani. Ale był na wszystko zdecydowany: „Oskar Pawłowicz mnie wezwał!” — powiedziałam i usuwam ją na bok. — Jak ona na mnie popatrzała, ale w tem baron się odzywa: „Wejdźcie, wejdźcie, Mikołaj Fiodorowicz”. Musiała ustąpić, bo i doktor był. Wchodzę — leży na kanapie — trup. Podchodzę, oczami pokazał mi biurko i ledwie językiem obracając, mówi: „Klucz na stole”. Szukam — aha, już klucza niema! Zrozumiał, skrzywił się strasznie i powiada: „Zapieczętuj swoim sygnetem, — niech otworzy śledczy. Doktor świadek? Lak na biurze!” Zrobiłem wszystko porządnie, a on się więcej nie odezwał — i po godzinie nie żył! Mogłemże to darować bezkarnie? Dałem znać do sądu, zarządziłem sekcję — opieczętowałem gabinet — i wysłałem depeszę. Całe miasto podniosło wrzask, gwałt, wszyscy trzymają z nią i z Fomowem. Mniejsza z tem, ja trzymam z Bogiem i na cudowne „moszcze” (relikwie) przysięgnę — oni oboje morderce!

— A sekcyja, co okazała? — spytał Barcikowski.

— Doktor, jej dawny kochanek. Podobno napisał, że umarł na serce. Pochowali go dzisiaj — po protokóle! Ach, co wart protokół taki!

— Panie pułkowniku!—ozwał się teraz Barcikowski.—Wierzę w szczerość pańską i dobre chęci, ale to, co pan opowiada, grzeszy przede wszystkim brakiem logiki. Roztrząśnijmy sprawę porządnie. Powiada pan tedy, że baron cierpiał wszystko przez miłość dla żony, z obawy skandalu znosił Fomowa. Ależ przecie mógł go łatwo się pozbyć, usunąć, przemieścić—bez żadnej awantury, a właśnie na mocy jego awantur. Nie uczynił tego, ale zbierał różne jego kryminały i zamykał do biurka — dlatego nie ogłaszał, ale czekał, aż go otrują. Miał wroga w ręku i milczał! Dlaczego? Jeżeli zaś był otruty i czuł, że umiera z ich ręki, zostawiając zemstę niedokonaną — dlaczego nie oskarżył Fomowa, gdy był przy mowie i zmysłach?

— Bo jej—jej nie chciał gubić!—krzyknął Noskow, jedyny swój argument.

— Nareszcie rzuca pan i na doktora podejrzenie. Dawny kochanek, odrzucony, zamiast się zemścić, także jej służy—ochrania zbrodnię rywala! Cóż to wreszcie za kobieta: nierządnicą, a całe miasto jej broni—wiarołomna żona, a mąż o tem wiedząc, ubóstwia ją,—zdradliwa kochanka, a zdradzeni ją ochraniają,—trucicielka, żeby uratować Fomowa, o którego ekscesach wie, a stracić byt i społeczną pozycję. Cóż to za anomalia! I gdzie w tem logika?

— Co to za kobieta! Pan sam zobaczy



i oby Bóg pana od niej strzegł! Oby i pana nie opętała—nie odebrała rozumu i duszy. To jest szatan. Ludzie dla niej tracili cześć, sumienie, zdrowie, życie. Ona się urodziła, by piekło zaludnić. Niech się dzieje teraz, co chce, Powiedziałem panu całą prawdę—tak jest, jak mówię! Co rozum i logika zdecyduje, nie moja rzecz. Ale to wiem, że jeśli jej nie zeszlą w katorgi, to prawdy na świecie niema i wiele ludzi jeszcze zginie z jej racyi!

Zerwał się i biegał po pokoju; wtem nagle stanął, jakby raptem rozjaśniło mu się w twardej czaszce i rzekł:

— Czort mnie pierwszego weźmie — aha — naturalnie. Toć Fomow siostrzeniec Morduchowa.

Zwiesił głowę, chwilę sumował — wreszcie otrząsnął się i rzekł:

— Ha—no—to i co! Dzieci żonie odeślę, a sam pójdę w monachy! Jeden czort! Dobranoc, panie!

Nazajutrz rano wysłał Barcikowski bilet do sędziego śledczego, który sprawę prowadził i czekał na niego, gdy mu zameldowano Fomowa, i chwilę potem wszedł do pokoju młody człowiek, barczysty, rodzaj siłacza cyrkowego, o byczym karku, z twarzą czerwoną i zdrową, dość przystojny, ale widocznie niezbyt inteligentny — okazowy typ pięknego młodego bydlęcia.

— No, dzięki Bogu, że was przysłali. W ładny mnie pasztet wsadził ten pijak, ten dureń! Co?

— Bardzo diadia Tertii zły? — spytał, wyciągając rękę do przyjacielskiego uścisku.

Barcikowski się stropił. Był pewny winy

Fomowa, ale za głupi był, żeby tak udawać! Ha, tylko był pewny bezkarności.

— Tertii Wasilicz bardzo strapiony—brzydka sprawa.

— Ma za swoje! — wybuchnął Fomow.— Kiedy go błagam od pół roku—przenieście mnie, ja w tej dziurze nie wytrzymam—odpisał: siedź cicho!

A tu czy można być cicho. Zapalisz w nocy zapałkę, krzyczą: pożar. Wypijesz kieliszek—krzyczą, że się walałeś w rynsztoku; powiesz komplement przachodzącej kucharce — krzyczą, gwałt uliczny. Zaśpiewasz kuplet—prowadzą cię do cyrkułu,—a już broń Boże przegrasz sto rubli i zapłacisz, skąd wzięłeś pieniądze—pewnieś kogo okradł.

A wiecie skąd Noskow tak się zawziął na mnie? On się nie przyzna, ale cała Penza wie. Było to tak.

Kiedyś, jak już nam wszystkiego zabronili, i pić, i palić, i grać, i śpiewać, i kochać, i tańczyć — siedzieliśmy z Panczuliżewym i Arapowem w kabaczku jak mnichy ponure. Siedzieliśmy, a co który ziewnął, to mu drugi zazdrościł i też ziewał. Więc tedy powiadam: Słuchajcie, bracia — trzeba przecie—gdzieś pójść! Chodźmy, zobaczmy, jak Agafija Perfiłówna—pchły pędzi.

Agafija Perfiłówna, to gospodyni Noskowa, baba wiedźma, która nim kręci jak kukłą.

Takie to z rozpacz przychodzą myśli na człowieka. Poszliśmy. Noskow ma dom z ogrodem, przeleźliśmy przez parkan i idziemy na oświetlone... Nie wytrzymałem, parsknąłem śmiechem, Noskow się zerwał, przyskoczył do okna, poznał mnie i szarpnął firankę, klnąc. A ja u-

kłoniłem mu się i krzyknąłem: Pomyślności i dobrej nocy!

Rozumiecie, wtedy mi zgubę poprzy-  
siągnął; od tego dnia ilekroć się spije—bełkoce:  
Ja jego nauczę, ja jemu pokażę! — Ot i po-  
kazał.

Na zakończenie Fomow pokazał dwa rzę-  
dy białych pysznych zębów w uśmiechu łobuza  
i dodał:

— Ale, cośmy śmiechu użyli wtedy, a on  
drwin, tego nikt nie wypowie!

— Jak na szefa kancelaryi gubernator-  
skiej, toście zanadto swawolni, Wasili Petrowicz!  
Że też to wam tolerował baron!

— Ach baron! Tenby dyabła tolerował,  
byle mu robotę załatwił! Toć on tak chory był,  
że mu świat był niemiły. On miał takie wą-  
trobiane bole, że od zmysłów odchodził. Ja za  
niego wszystko załatwiałem — wszystkie jazdy  
i przyjęcia—wyręczał się mną ciągle. A ja wia-  
domo—młody człowiek—był czas na robotę i na  
hulanke. Ale też mi tu obmierzło, obmierzło!  
Nie macie do mnie listu od „diadi”. Mam na-  
dzieję, że mnie tu nie zostawią.

— Spodziewam się. Listu nie mam. Mu-  
sicie zostać, zanim się tej sprawy nie załatwi.

— A potem prosiłem „diadi”, żeby mnie  
wysłał gdzie daleko — do Polszy. Tam i pen-  
sya wyższa, i ruski człowiek może używać.  
Polaki będą milczeć. Tutaj istne gniazdo szer-  
szeni. A przecież młody człowiek musi żyć  
i użyć.

— A jakże dla was była gubernatorowa?—  
spytał znienacka Barcikowski.

— Myż z nią krewni, ona mnie wypada  
ciotka, ale taka tam ciotka, młodsza ode mnie.

Dobra dla mnie była i wdzięczna. Żeby nie ja, toby z nudów umarła, bo stary nie cierpiał ludzi, ni zabaw. A tak zgodziliśmy się we troje. Stołowałem się u nich i mieszkalem, jak trzeba było, to mnie baron z nią na wieczory posyłał. Lubi ona konie i psy, łyżwy i kuligi, tom jej i w tem dogadzał, a baron mnie posyłał, prosił. Sto bilecików mam od niego w tych sprawach. Ona dobra kobieta. Trochę prędka, kapryśna, ale żyć się można.

— Piękna podobno?

— Piękna, młoda, ludzie szaleją za nią.

— A wy?

— Ja z początku tom się też zapalił, ale kto ją codzień widzi, w domu obcuje, ten musi ostygnąć od jej zimna. Wiecie wy, ona kocha jedną istotę, swego doga: Leo, z ludzi nikogo.

— Dlaczegoż poszła za barona?

— Miała macochę, piekło w domu. Poznała barona za granicą, w chwili rozpacz po jakiejś scenie domowej, i poszła. Żyła z nim pięć lat.

— Baron nagle umarł, bardzo nagle?

— Tydzień chorował. Ryczał z bólu. Miał wrzód na wątrobie, jak doktor mówił. To był piekielny tydzień.

— Przyjechali jacy krewni?

— Brat z Kurlandyi. Był wczoraj na pogrzebie i czeka na testament. Stoi tu w hotelu, pewnie się do was zgłosi. Powiedźcie mi: długo myślicie tu bawić? Żebym chociaż na koniec maślanicy był w Pitrze.

— To wątpię. Będziecie musieli zdać kancelaryę następcy. Ja zabawię najwyżej dwa dni.

— I co będziecie robić?

— Co mi instrukcja każe — odparł Barcikowski, zwracając się do służącego, który mu podawał bilet wizytowy. Fomow wstał.

— Macie gościa. Wynoszę się.

— Sędzia śledczy.

— Tembardziej zmykam! Do widzenia. Kiedy przyjdziecie do gubernatorskiego dworca? A może tu sprowadzicie Aleksandrę Dmitriewnę.

— Nie. Przybędę do pałacu. Kiedy? Nie wiem.

Pożegnał się, Fomow rozminął się w korytarzu z sędzią śledczym, którego uprzejmie pozdrowił i wyszedł z hotelu, gwiżdżąc cygańską piosenkę. Sędzia śledczy przedstawił się Barcikowskiemu i zasiedli do urzędowej rozmowy.

Od pierwszego słowa zrozumieć było łatwo, że sędzia wie, co jest dyplomacya, i że ten w Rosyi nie zginie, ale właśnie z jego rozmowy wynioskował Barcikowski, że sprawa nie była tak niewinna, jak ją Fomow przedstawił. Wprawdzie rezultat sekcji wykazał tylko pęknięcie wrzodu w kiszkaach, ale pożycie baronostwa było bardzo złe, charakter pani zimny i gwałtowny zarazem, stanowisko Fomowa, bardziej niż dwuznaczne.

— Dowodów niema żadnych dotychczas, a bez dowodów niema sprawy—zakończył sędzia, rzucając badawcze spojrzenie na Barcikowskiego.

— Papierów nieboszczyka pan nie przeglądał?

— Nie. Depesza z ministerium kazała mi czekać na pana i w pańskie ręce oddać śledztwo.

— Dobrze, zostawi mi pan papiery. Jeśli bym pańskiej pomocy potrzebował, zawiadomię. Jeszcze jedno: czy Fomow jest pijakiem?

— Nie — powiedzieć pijak, to nie. Wypije — nie odmówi, ale pijanica nie jest — tak ostateczny. Tylko — to prosty człowiek!

— To i wszystko, o com pana miał pytać. Dziękuję.

Sędzia śleczy rad, że się pozbył sprawy — prędko się ulotnił.

Wtedy Barcikowski kazał sobie podać śniadanie i chodził wzdłuż pokoju zamyślony, gdy mu oznajmiono jeszcze jednego gościa:

— Baron Karl von Korff.

Kazał go prosić i po chwili wszedł mężczyzna pięćdziesięcioletni, rudy, z germańską brodą i szyderczym wyrazem na mądrej, pięknej twarzy.

— Pan daruje, że śmiem utrudzać, ale ta sprawa mnie tak blisko obchodzi, że nie mogłem się powstrzymać, aby pana nie poznać i nie spytać — jak stoi.

— Rozumiem pański niepokój, ale nic jeszcze decydującego nie mogę powiedzieć. Jedno dotychczas jest tylko pewne: sekcyja wykazała śmierć naturalną. Pozostaje mi zbadanie domowników i przegląd papierów prywatnych. Brat pana był starszym w rodzie?

— Tak! Przepraszam — czy pan jest rodowity rosyjanin?

— Jestem urzędnik ministerstwa justitii.

*Barcikowscy.*

Baron jakby się zawahał, — zastanowił i cofnął.

Nastała chwila milczenia.

— Dlaczego pan mnie pytał o pochodzenie?—rzekł Barcikowski.

— Dlatego, że w Rosyi trzeba wiedzieć, z kim się mówi, aby wiedzieć, jak mówić, żeby być zrozumianym. Każdy szczep inaczej myśli, czuje i rezonuje, a szczepów jest w Rosyi legion. Dlatego byłem i jestem przeciwny urzędowaniu w tym kraju; czułbym się do tego niezdolny. Zresztą, my, kurlandczycy, jeszcze mniej, niż inni, możemy się w tem aklimatyzować. Dwie odrębne kultury: zachodnia i wschodnia! Oskar spróbował — no i przepadł. Nic nie zdziałał, sam się zmarnował i marnie zginął. Był dziedzicem majoratu, ale go coś opętało—poszedł na rządową służbę—mnie zostawił zarząd majoratu. Marzyło mu się zostać ministrem i Rosyę zreformować. Długi czas służył w Kurlandyi, zestarzał, stetryczał, ale Rosya, jaka była, taka została. Nareszcie przyszło to nieszczęsne małżeństwo! Jakżem mu perswadował, zaklinał. Nic nie pomogło. Wziął tedy on, starzec—młodą dziewczynę. Niemiec rosyankę. I znowu zetknęły się dwa szczepy—dwie kultury—pod jednym dachem.

— Pan dobrze znał swoją bratową?

— Dosyć, aby się jej lękać — nie dosyć, aby znienawidzić. Byli u nas w Kurlandyi parę tygodni, a tej jesieni gościłem dni dziesięć tutaj, wezwany przez brata. To jest kobieta najrozumniejsza, jaką znam. Wykształcona gruntownie, utalentowana, piękna i pociągająca czarem. I jest to zarazem kobieta nie posiadająca niczego, co jest własnością kobiety. Nie



ma wiary, nie ma zasad, nie ma serca. Niczem jej nie zjednać, niczem jej nie zwalczyć, niczem jej nie powstrzymać. Kocha tylko siebie, szanuje tylko zbytek, boi się tylko ubóstwa i śmieszności, zresztą depce po wszystkim. Stało się. Oskar w grobie, przepowiadałem mu, że umrze zapoznany, zamęczony i nie pomszczony. Dowodów nie znalazł pan i nie znajdzie—tej kobiety nikt nie pokona. Tryumfalnym pochodem przejdzie świat. Powiem panu tylko jeszcze jedno:

Kiedym tu był jesienią, Oskar przy niej rzekł do mnie: Moją żonę wzięłem w jednej sukience, dałem jej dobrobyt i zbytek, co tylko zamarzyła, miała. Żebym jej i nadal to zostawił, po mojej śmierci, rychłoby zapomniała, kto ją obdarzył. Chcę, żeby wspomniała nieraz, że starzec był wspaniałomyślny. Otóż w testamencie nie zapisuję jej nic. Kapitały twoim dzieciom zostawiam, trzymaj chłopców w kraju, niech będą zdrowi i swobodni.

Uważa pan, jeśli się ten testament w papierach nie znajdzie, to śmierć mego brata była naturalną, a chodzi jej tylko o pieniądze. Testamentu pan nie znajdzie i pieniędzy. Jeśli zaś będzie ten testament i pieniądze, to brat mój został usunięty, bo jej w czymś innem zawadzał, w czymś stokroć gorszem, kiedy nawet zaryzykowała ubóstwo. Rozumie pan?

— Mam nadzieję, że zrozumiem wszystko, gdy przejrzę papiery nieboszczyka. Dziś popołudniu przystąpię do tego zajęcia.

— Nie będę pana dłużej utrudniać. Kiedy mam się zgłosić po wiadomości?

— Jutro rano.

Baron wyszedł, a Barcikowski spożywszy śniadanie, kazał podać sanki. Gdy wsiadał i wymawiał: „do gubernatorskiego dworca,” serce mu biło dziwnym niepokojem. Miał przed sobą najcięższe śledztwo. Miał badać główną osobę sprawy. Strach czuł. W dworcu kazał się meldować pani i czekając na nią w salonie, bardzo gustownie i elegancko umeblowanym, przedstawiał sobie, jaką ona jest. Zapewne majestatyczna piękność lady Macbeth, wyzywająca, zuchwała, rozdrażniona, hoża. Nagle cicho otworzyły się drzwi i ujrzał przed sobą... Madonnę. Złotowłosa, smukła, rzekłbyś dziewczynką, gdyby nie smutek w głębokich oczach i kurecz bólu w ustach. Zresztą spokojna, pełna taktu, zrezygnowana na najgorsze.

Stała w drzwiach, cała w czerni, zachwycająco urocza, zbiedzona i łagodna, trzymając rękę na głowie olbrzymiego doga, i głosem, który był najmelodyjniejszą muzyką, rzekła z cicha:

— Dziękuję panu, że pan tutaj przyszedł.

Wyciągnęła doń rękę, bez żadnego klejnotu, nawet bez obrączki i spojrzała mu żałobnie w oczy.

— Myślałam, że mnie pan będzie wzywał na śledztwo.

— Co za myśl!— zawołał. — Ja tu jestem przysłany, żeby sprawę umorzyć. Pani jest ofiarą jakiejś intrygi, żadnych dowodów niema. Noskow sobie coś potwornego uroił.

Wskazała mu fotel i usiadła naprzeciw. Potrząsnęła głową i westchnęła.

— Nie jest to tak niedorzeczne, jak się panu zdaje!— rzekła zmęczonym, smutnym głosem.—Mój mąż był Spartanin. Nikt go nie wi-

dział nigdy chorym, nie zdradził się nigdy, jak cierpiał strasznie, nie pozwolił sobie na chwilę wypoczynku i wytchnienia w spokoju. Pracował, rozmawiał, przyjmował i oddawał wizyty bez drgnienia, bez znaku, jak się męczył. To był bohater siły i woli! Więc, gdy przyszedł kres, wszyscy się zdumieli. Rano pracował w kancelaryi, w południe oddawał wizyty, a o czwartej umarł. Nietylko Noskow powziął podejrzenie, całe miasto! Teraz sekcya wyjaśniła śmierć, ale ja, w opinii ludzkiej, na zawsze zostanę trucicielką. Stało się!

Spuściła głowę, zaplotła dłonie o kolana i umilkła zgnębiona.

Barcikowski był jak odurzony. Wszystko co był słyszał o niej, wydało mu się bezmiernym absurdem—zdaniem kretynów. Uczuł ogromne współczucie dla niej, tak okropnie pokrzywdzonej, tak łagodnej i względnej dla oszczerców.

Po chwili zadumy podniosła oczy swe przepaściste i zapytała nieśmiało:

— Pan zapewne będziesz mnie badać—zraz?

— Ależ nie!—zawołał żywo. — Niechże mi pani uczyni łaskę i uważa za gościa i sługę. Badanie to tylko pusta forma.

— O dziękuję panu! Więc mi wolno ugościć pana. Ja się tak pana bałam, boć przecie mam coś na sumieniu!

Dotknęła dzwonnka, i po chwili weszła do salonu kobieta, lat pięćdziesięciu, dość otyła, śniada, ze skośnymi tatarskimi oczami i wyrazem głupowatej dobroduszości na płaskiej twarzy.

— To moja opiekunka, towarzyszka, niań-

ka—jedyna dusza wierna i kochająca. Krewna mojej matki Pałagieja Fokowna Wołkow! Niani, pan będzie gościem naszym — i dobry dla twojej Saszeńki. Daj nam herbaty.

Stara uśmiechnęła się, i prędko, parę razy się przeżegnała.

— Sława Tiebia Hospodi, sława! — wymamrotała, wychodząc.

— Uboga nasza krewna!—dodała gubernatorowa.—Matka mnie odumarła przy urodzeniu wtedy ją ojciec sprowadził, do chrztu mnie trzymała i kocha jak własne dziecko. Przez całe życie nie rozstałyśmy się nigdy — i do śmierci razem będziemy.

Była tak serdeczna, to mówiąc, że Barcikowski uczuł rozrzewnienie. Trucicielką—miała być—ona?

— Cóż takiego ma pani na sumieniu? — spytał.—A może jestem niedyskretny?

— O nie. Panu powiem wszystko. Pan tak nie podobny do ludzi, których znam. Nie wiem, co to jest, ale panu bym wszystko wyznała.—Mam na sumieniu ciężki grzech—moje małżeństwo. Przysięgłam miłość, a nie kochałam tego człowieka. Przed ołtarzem skłamałam. Za to teraz słusznie pokutuję. Byłam złą żoną — za to na mnie ciśnięto taką obelgę—słusznie cierpię.

— Pani była dzieckiem wtedy.

— Miałam osiemnaście lat. Było mi bardzo źle w domu. Młococha odebrała mi ojca, ludzi się bałam, nie miałam nawet przyjaciółki, bo mi rówieśnice i koleżanki zazdrościły tej przekłętej urody. Pałagieja Fokowna nie do rady — ona umie tylko mnie pieścić i dogadzać. Wtedy Korff się oświadczył — był wy-

kształcony, bardzo miły w towarzystwie, zdał mi się zbawcą z ciężkiego życia w domu. Wdzięczna mu byłam — przyjął. Mój Boże, to pięć lat!

Wstała i przeszła się parę razy przez pokój, żeby się uspokoić.

Gdy usiadła znowu, usta jej drżały. Spojrzała rozpacznie na Barcikowskiego.

— Byłam złą żoną — winnam — ale Bóg świadkiem nie miałam siły być inną! Nie mogłam — nie mogłam.

Ogromnem współczuciem zdjęty, pochylił się do niej i rzekł serdecznie:

— Niechże się pani tyłkonie trapi skrupułami. Pani mogła nie zdawać sobie sprawy, przyjmując jego oświadczyzny — co jest życie—ale on powinien się być rozmyśleć i za stanowić.

— Niech go pan nie sądzi — on umarł. Żebym ja mogła zapomnieć te pięć lat — z życia je wymazać.

— Kiedyś — będą się pani wydawały dalekim, niewyraźnym snem! Życie jeszcze przed panią.

Potrząsnęła głową.

— Te pięć lat byłam pod pręgierzem. Napiętnowano mnie wszystkimi hańbami. Słyszał pan zapewne. Cała Penza — to moi kochankowie, zmieniam ich, jak rękawiczki. Kiedyś wreszcie znudzona plotkami i oszczerstwami, przestała bywać i przyjmować, przyczepiono mi tego nieszczęsnego Fomowa, tego ciółka, z którego nawet drwią szanujące się kucharki. Na wspólkę mieliśmy otruć Korffa! Nienawidzą mnie i szkalują kobiety przez zazdrość, nienawidzą i szkalują mężczyźni, którym nie

pozwalam sobie poniewierać, jestem nienawicią całej Penzy! Przeznaczenie moje być zawsze samą i otoczoną wrogami. Czy pan uwierzy. Pan jest pierwszym mężczyzną, który mnie nie obraził bezczelnością i odezwał się z przyjaźnią i szacunkiem. Tego panu nigdy nie zapomnę. Chyba pan nie rosyjanin?

— Pani przecie rosyjanka?

— Niestety, bo nienawidzę tutejszego społeczeństwa. Te tatary z maskami nibyto cywilizacyi, te kobiety samice, w maskach matron, lub naiwnych. Ta ordynarność popędów, bo uczuć nie pojmują, ten brak wychowania i form wykształcenia. Ta dzikość i głupota, to straszne, to zabijające myślącego człowieka. Nie, to niepodobna, pan nie wyrósł w tej tundrze! Zkąd pan rodem?

— Z Polski! — odparł z przymusem.

— O chwała Bogu! Dlaczegoż tedy rozmawiamy po rosyjsku. Zaczniemy po francusku. Będzie i mnie swobodniej. Chowałam się za granicą, z Korffem mówiliśmy po niemiecku, mnie i ruski język razi, za gruby.

— A jednak śliczny jest w muzyce i poezyi.

— Może być, chociaż ja przepadam za niemiecką muzyką i poezją.

— Pani gra i śpiewa?

— Tak i lubię to nadzwyczaj, ale zaniedbałam ostatnimi czasy, bo Korffa wszelki hałas drażnił.

W tej chwili lokaj wniósł tacę z herbatą, a za nim wtoczyła się Pałagieja Fokowna, niosąc drugą tacę pełną konfitur, ciastek i nalewek. Rozsiadła się też naprzeciw nich, zapa-

liła papieros i poczęła gościa wszystkim po kolei traktować.

— Jedzcie, gołubczyk, jedzcie, niech wam smakuje. Mojej roboty konfitury. Jedliście takie w Petersburgu? Takich konfitur nie dostaniesz w sklepie, chyba w domu zrobić. A wy, gołubczyk, żonaty.

— Nie.

Splasnęła rękami.

— Boh Spasitiel. Taki śliczny chłopiec i jeszcze nie żonaty.

— Nie czuję się nieszczęśliwy! — odparł z uśmiechem.

— Nu, ja wam karty postawię wieczorem. Zaraz się dowiemy, kto i kiedy sądzony.

— Ciociu — przerwała gubernatorowa — pan obiad z nami zje. A będzie też co dobrego.

— Ja ci mówię, że nie pożałuje! — uśmiechnęła się z dumą i zaraz zabrała swe klucze i wyszła.

Popijając doskonałą herbatę i paląc aromatyczne papierosy, oni pozostali, gwarząc, jak dawni znajomi. Ani się spostrzegł Barcikowski, jak zmierzchnęło, jak zapalono światło. Rozmowa go pochłaniała, przenosiła w inne światy, otwierała dalekie horyzonty. Nie było dla tej kobiety nieznanej książki lub tematu. Mówiła z zapalem o sztuce, o wynalazkach, o polityce, dysputowała ze znajomością rzeczy o najsuchszych przedmiotach, zajmowała się żywo wszystkim, co się działo na świecie.

Głos był jak muzyka, ruchy dystygowane; postać i twarz prześliczna, a gdy się zaśmiała czasem, śmiała się jak dziecko szczerze.

Obiad przerwał rozmowę—był wykwinny,



wina wyśmienite, służba wystylowana. Na kawę i likiery przeszli znowu do salonu i znowu rozmawiali, nie zdając sobie sprawy z czasu. Przeraził się Barcikowski, gdy weszła Pałagiej Fokowna i rzekła dobrodusznie.

— Przesiedzieli wy nockę, idźcie spać. Zostawcie trochę gawędy na jutro.

Zerwał się, spojrzął na zegarek. Była trzecia po północy.

Zaczął tedy panią przeproszać, ale uśmiechnęła się smutno.

— Wdzięczna panu jestem. Oddawna raz pierwszy nie rachowałam godzin i zapomniałam troski! Powstała i podała mu rękę, zamyślona, jakby z żalem.

— Przyjdź pan wcześniej jutro! — dodała prosząco.

Pochylił się nad ręką i pocałował.

Wzdrygnęła się—i zbladła. Jego też dreszcz rozkoszny wstrząsnął.

Wysunęła rękę i odwróciła się.

— Idź pan już! — szepnęła przez zęby, głucho.

Wyszedł upojony, nieprzytomny.

Nazajutrz zgłosił się Noskow i Korff—nie przyjął ich, tłómacząc się zajęciem. O południu pojechał do dworca, wrócił do hotelu późno w nocy i wcale spać się nie położył. Chodził po pokoju tu i tam, jak błędny, aż do rana.

Rano wziął sanki i kazał się wieźć precz daleko, aż za miasto i co koń wyskoczy.

Mróz był duży — orzeźwiło go to, wróciło zastanowienie i przytomność. Gdy kazał wracać, miał już plan gotów.

— Dziś przejrze te nieszczęsne papiery

i rano wyjeżdżam! Oszalałem!—trzeba zmykać, nie chce zginać!

Z tem postanowieniem pojechał o zmroku do dworca. Zastał gubernatorową w salonie nad książką.

Spojrzała nań i zrozumiała, co powie.

— Chce pan już wyjeżdżać!—rzekła zmęczonym głosem, opierając głowę o poręcz fotelu i patrząc zamglonemi oczami w próżnię.

— Muszę wracać do służby! — odparł głucho.

— A ja do rzeczywistości! Szkoda—przemarzyłam parę dni. Dziękuję panu!

Otrząsnęła się, znowu ją dreszcz wstrząsnął i jakby obudziła się z jakiegoś snu—rzekła żywo:

— Ale to dobrze. Jedź pan—i tak bawiłeś za długo.

Zacisnął zęby, by w postanowieniu wytrwać.

Ona wstała, przeszła się parę razy przez salon i stanęła przed nim.

— Ma pan zapewne to biurko przejrzeć tylko! Chwila czasu. Uczyni pan to później, odchodząc, a teraz przepędzimy razem ten ostatni wieczór. Nie zobaczymy się może więcej—chcę pana jeszcze mieć kilka godzin! Dobrze? Żadzwo nie o herbatę.

Pozostał, nie próbując już nawet się opierać.

Ale ten wieczór był chybiony. Jakiś duch niespokojny opętał Pałagieję Fokownę - wchodziła i wychodziła co chwila, chociaż do rozmowy się nie wtrącała. Krępowała nieznośnie. Nareszcie Barcikowski wstał rozdrażniony i począł się żegnać.

Stara tkwiła nad nimi, błogosławiąc, dziękując, zasypując go życzeniami — zawołała też lokaja, by go przeprowadził i zapalił światło w gabinecie, nie dała sekundy swobody.

Piękna pani milczała, blada, roznerwowana, z zębami zaciśniętymi—ręka, którą mu podała, była zimna, jak lód.

— Żegnajcie! — rzekła wreszcie z wysiłkiem.

Uklonił się i wyszedł za lokajem.

Gabinet ów był drugi za salonem. Służący zapalił dwie świece na biurze i spytał o rozkazy.

— Można stąd wyjść, nie przechodząc przez salon?—spytał Barcikowski.

— Te drzwi prowadzą do poczekalni, a potem do przedpokoju.

— To dobrze. Możesz odejść!

Gdy sam został, Barcikowski rzucił się w fotel u biura, rękami oczy zakrył i pasował się z szalem, który go jak pożar objął. Godzinę może to tak trwało, wreszcie się opanował, przetarł ręką czoło i machinalnie—jak automat—sięgnął po leżący przed nim klucz, a potem zerwał pieczęć u biura.

Otworzył potem zamek i wyciągnął szufladę, gdy w tem cichutko drzwi się otwarły i stanęła w progu gubernatorowa.—Zerwał się, poskoczył do niej.

Dyszająca, blada wzruszeniem, zarzuciła mu ręce na ramiona i zapłakała spazmatycznie.

Wtedy on ją w ramiona porwał i dławiąc prawie w uścisku, począł całować szukając ust.

— Miej litość! — wyszeptała, jękając się, broniąc słabo, a drżąc cała, ale on jej pocałun-

kiem zamknął usta! i w objęciach uniósł jak zdobycz—do mrocznego [salonu. W gabinecie zostało biuro otwarte.

Nazajutrz Noskow i Korff znowu się zgłosili do Barcikowskiego i zostali przyjęci.

Urzędnik był już spakowany, na stole leżała teka wypchana. Zwrócił się do Noskowa.

— Zawód was spotkał — rzekł sucho.— Oczerniliście niewinną kobietę. W biurze Korffa nie było nic podejrzanego, a umarł śmiercią naturalną. Należy być ostrożniejszym, nie wprowadzać w błąd sprawiedliwości! Zabrałem wszystkie papiery—są treści rodzinnej lub urzędowej. Jest też testament, zapisujący cały fundusz panu, panie baronie!

Korff się skłonił i szyderczo uśmiechnął.

— Spodziewałem się tego! — rzekł. — Biedny Oskar!

---

## V.

W Gródku przez te lata mało co się zmieniło. Równie krzepko trzymała się pani Anna, zawsze cicha i smutna snuła się pani Barbara. Jadwisia skończyła nauki i po krótkim w domu wypoczynku, poszła w świat za chlebem. Dostała posadę nauczycielki w Kownie u bogatego inżyniera, brata jednej ze swych klasztornych koleżanek i rada była z doli, odsyłając święcie matce prawie całą pensję.

Pomimo krzepkiego wyglądu, ciężko było wydolać pani Annie, to też zabrała Filipa z Ładynia, ku wielkiemu niezadowoleniu Barcikowskiego.

Bardzo praktycznie wykładał:

— Chłopak się zmarnuje w Gródku, siły i życie straci na marne. Gródek potrzebuje wkładu kapitału, bez tego żadna praca nie pomoże. Ma tu zapewnioną karierę i chleb—mógłby wam skuteczniej domódz groszem,—jak tam osobiście się mordując. Sumiennie, nawet nie macie prawa chłopca mi odbierać. Wyrobiłem sobie zastępcę i wyręczyciela, a teraz tak mnie zostawiacie.

Pani Anna nie słuchała żadnych perswazyj, a co gorsza Filip także z nią trzymał.

— Babka ma rację!—odpowiedział poważnie, gdy go Barcikowski buntował. — Mój obowiązek jest w Gródku. Wiemci, że ruiny nie dźwignę, ale choćby kosztem życia, trzeba ją utrzymać. Na tom się hodować! Co robić. Niech pan spyta panny Muszki—ona także tego zdania.

— Doprawdy? — zawołał stary córki.

— A pewnie!—odpowiedziała rezolutnie.— Kto ma ziemię, powinien na niej pracować, a kto ma starą babkę i matkę samotną — musi im służyć...

— To dobrze! Zapamiętaj tę swoją zasadę i co do siebie. Zatem i ty musisz mnie staremu do śmierci służyć.

— I będę! — potwierdziła energicznie.

— A ja też mam nadzieję, że wybrnę! — rzekł Filip. — Wacio coraz wyżej idzie — on pieniądze zbierze i obiecał, że o Gródku pamięta.

Barcikowski pobity, ramionami ruszył i bardzo zimno rozstał się z Filipem.

Objął tedy chłopak zarząd i z wielką energią wziął się do dzieła. Pracował za dziesięciu, niejedno poprawił i zmienił—niejednego lepiej dopilnował i po roku miał uciechę, że i porządek był większy i budżet pomyślny. Zawziął się po swojemu, z kamiennym uporem dążąc do celu—i pokochał ten swój Gródek, że o nim tylko śnił i myślał.

A chłop zeń wyrósł duży i barczysty, zawsze jeszcze szorstki w mowie i ruchu, chociaż go w Ładynie bardzo okrzęsano,—opalony, nieładny, niedbały o strój, o pozory, dziki do obcych, w domu milezący, a pod twardą po-

włoką mający dobre serce i zdrową, prostą duszę.

Małą rozrywkę i przyjemność miały z niego kobiety samotne, ale były pod jego opieką bezpieczne i spokojne, on je kochał po swojemu — głęboko.

Wtedy to niespodzianie zapowiedział swój przyjazd Wacio. Radość zapanowała w Gródku, bo go już pięć lat nie widziano i coraz rzadziej pisywał.

Pani Barbara, która ostatnimi czasy zapadała na zdrowiu, jakby ożyła i odmłodziła. Stary dom wyświeżono, a wkoło lato opiekowało ogród i pola i tak wszystko uśmiechnięte i barwne przyjęło rzadkiego gościa.

Jakże był piękny, promienny, elegancki, jakże serce matki było zachwytem i tryumfem, gdy go tuliła do siebie. Nawet pani Anna się śmiała łaskawie — nawet Filip sianokosów nie pilnował, a siedział w domu i patrzył i słuchał.

A Wacio opowiadał z dumą o swych postępach. Miał już nominację na prokuratora do Kowna i posadę po feryach obejmie. Opowiadał o stosunkach, o łaskach naczelników, o wysoko stojących znajomych i przyjaciół, o świetnych nadziejach. Polszczyznę kaleczył haniebnie, brakło mu zupełnie wielu słów, inne przekręcał, zwroty miał czysto rosyjskie. Ale w pierwszej chwili tak wszyscy byli podnieceni, że tylko go wyśmiewano dobrodusznie, lub poddawano słowa, na których się zaciął. Treścią byli tylko zajęci.

Przegadali dzień cały i pół nocy, a na rozejściu Wacio złożył matce tysiąc rubli — na początek! — rzekł, całując jej ręce — żeby zdro-



wie szanowała, nie żałowała na kuracye i wygody.

Plakała pani Barbara ze szczęścia i modląc się gorąco z dziękczyniem do Boga, że jej dał tego dnia dożyć.

Nazajutrz i cały tydzień potem radość i wesołość nie wychodziły z Gródka. Wacio słońce ze sobą nosił, był serdeczny, zajęty ich sprawami i troskami, o wszystko pytał, wszystko zwiedził, bawił się, nadskakiwał babce, matkę całował i pieścił.

Nareszcie w przeddzień wyjazdu poprosił matkę o spacer do zamczyska i poszli powoli—on nagle spoważniały, ona już znowu smutna myślą rozstania. Usiedli na darniowym wale i on rzekł:

— Teraz ja mamie wypowiadać się muszę. Ja się żenić chcę. Zakochałem się w śmierć.

— W kimże, dziecko? Opowiedz!—zawołała zajęta bardzo.

— Mam fotografię. Niech mama spojrzy i powie, czy można się nie kochać.

Spojrzała uważnie, długo.

Śliczna twarz, klasyczna! Ale czy ona dobra panienka, czy cnotliwa i czy z naszego stanu? Kto ona? Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

— Ja mamie wszystko opowiem! — rzekł zmieszany tym wstępem i już wcale siebie nie pewny.

— Ona wdową jest po baronie Korffie.

— Niemka zatem?—przerwała już niechętnie.

— Ma teraz dwadzieścia trzy lata. Dziecko prawie, a taką już ciężką dolę przeżyła

Mniejsza o piękność, ale jaka rozumna, wykształcona, elegancka, jaka przytem dobra i kochająca. Świat mój, życie, szczęście, to ona!

— Ale kto jest? Jak się nazywa? Jak z domu?—niespokojnie spytała pani Barbara.

— Aleksandra ma na imię.

— Rosyanka! — krzyknęła matka, blednąc i chwytając się za serce swe chore.

Ten okrzyk, ten ton był już dla niego wyrokiem, ale wtedy on się zapalił do walki.

— Nie. Nienawidzi Rosyi, tyle co mama. Języka nawet mało zna, nigdy nie używa. Wychowana za granicą. Kocha Polskę i polaków, uczy się po polsku, marzy, aby tu przyjechać, kraj i rodzinę poznać.

— Waciu, opamiętaj się. Prawosławna!

— Tyle co ja i mama. Nie bywa nigdy w cerkwi, popami pogardza.

— Więc kimże ona jest, bez wiary! I ty, ty mogłeś tak oszaleć. Ty, mój syn, dopuścić do siebie zaparcia kraju i wiary. Ty sam nie możesz wierzyć w to, co twierdzisz. Przecie pop wam ślub da, pop wasze dzieci będzie chrzczył i przeklnie ciebie każdy, jak zdrajcę. Waciu, to być nie może, to nie będzie, to straszne i tyś opętany. Powiedz, kiedyś był u spowiedzi?

Milczał chwilę, bladł, to czerwieniał, wreszcie rzekł cicho:

— Właśnie to być musi. To mój obowiązek i ksiądz mi to każe i honor. Ta kobieta oddała mi swą cześć. Ja matki mego dziecka nie opuszczę!

Pani Barbara przymknęła oczy, zbladła i zemdląła.

Wziął ją na ręce przerażony i poniósł do domu.

Po drodze Filip się nawinał, we dwóch ją wnieśli do sypialni i ułożyli na łóżku. Pani Anna zajęła się ratunkiem, synowie stali stroskani. Po długim czasie odzyskała przytomność, spojrzała na Wacia, załamała ręce i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Wyjdźcie! Niech się uspokoi! — rzekła pani Anna.

Usłuchali w milczeniu. Filip brata na ganek wyprowadził, i rzekł frasobliwie.

— Bieda z matką. Doktór mi mówił, że z sercem źle. Trzeba jej spokoju, żadnych wzruszeń i przykrości. Dobrze mu gadać, jakby był dzień bez troski, Ot i teraz, zgryzła się twoim wyjazdem i już atak jest! Upilnuj tu—niebogę.

Wacław milczał, patrzył w ziemię. W duszy był oburzony na matkę. Cóż on złego zrobił? kochał, był kochany, chciał zakończyć romans uczciwie i moralnie. Buntował się na bezwzględność i fanatyzm, na poglądy zacofane a nie mające żadnej logiki. Jego Szaszeńka—toż istota, będąca szczytem zachodniej kultury, to dusza wolnomyślna i tolerantka!

Ona, co marzyła, by wcielić się do jego rodziny i kraju, co czuła i cierpiała za Polskę, co z nim inaczej jak po polsku nie mówiła! Tak że ją sponiewierano, odtrącono ze zgrozą i wstrętem! I za co? Wzbierał w nim bunt, i upór i bezmierna czułość dla kobiety ukochanej a skrzywdzonej. Zresztą tak rozkochany był, że ani pomyślał ustąpić, nikomu i niczemu, przeciwnie do stóp jej wszystko rzuci, a potem, z czasem przekona się matka, jak ją niesłusznie

osądziła, uzna jej wartość i pokocha. Teraz nie warto walczyć, owszem, należy zmilczeć, by chorej nie rozdrażniać. Powziąwszy to postanowienie uspokoił się, i odparł Filipowi:

— Trzebaby ją do wód wysłać. Ja ci na to pieniędzy przyszlę, jak tylko w Kownie się rozgospodaruję. Zobaczę też Jadwisię i namówię, by z nią pojechała.

— Jadwisię namówisz. Ona dla matki wszystko rzuci. Ale czy mama zechce. Chyba ty uprosisz, bo nas nie posłucha.

Tu pani Anna weszła i spojrzała na Wacława.

— Czemże się ona tak zgryzła? Coś jej powiedział? Płacze i jęczy, uspokoić nie sposób!

— Może po doktora posłać!—zawołał Filip.

— Co to pomoże! Choroba wiadoma: osłabienie, nerwy i serce! Mikstury są i krople. Nie wyjeżdżaj jutro, to ją pocieszysz.

— Zostanę naturalnie, aż się poprawi!—zawołał.

Skinęła głową, i wyszła zanieść chorej tę pociechę. Po godzinie wróciła.

— Zasnęła. Dzięki Bogu minęło na ten raz, ale to niedobrze. Trzeba bardzo na nią uważać.

Znowu spojrzała na Wacława, jakby jego szczególnie ostrzedz chciała. Czyżby domyślała się czego?

Nazajutrz pani Barbara była zdrowsza, ale leżała jeszcze. W ciemnej sypialni siedział nad nią Wacław i usilnie prosił, by dała się namówić na dłuższą, poważną kurację.

— Ja tu mamie przyszlę Jadwisię i pieniądze. Proszę do wód wyjechać! Proszę dla nas to uczynić.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Dziękuję, Waciu, za twoje dobre serce, ale ja przecie zdrowa jestem. Starość tylko się przypomina.

— Starość! Cóż znowu. A babka młodziej od mamy wygląda.

— Naturę ma inną i organizm tęższy. Ja zawsze takie skrzypiące koło byłam. Ale to nic! Wiesz, ręczę, że gdybym stąd wyjechała, to-  
bym się zatęskniła i zagryzła. Ja tu wrosłam jak drzewo—korzeniami. Trzydzieści lat prze-  
żyłam w tym domu, w tym pokoju przemiesz-  
kałam. To nie mała rzecz — życie! A ono mi się całe, z dobrymi i złymi wspomnieniami w tym pokoju skupia. Tutaj wasz ojciec umarł, tam stoją wasze łóżeczka i kołyska, jak gniazdka i zabawki wasze w tej szafie i ołtarzyk domo-  
wy i książki, które kocham, i sprzęty stare zna-  
jome. Jabym i dnia nie przeżyła spokojnie bez tych kątów i pamiątek. Dobrze mi tu o zmro-  
ku dumać, was widzieć w łóżeczkach i dzień po  
dniu nizać wspomnienia dawne! Wam się zdaje,  
że mi smutno i nudno życie zeszło. Ja za nie  
Bogu dziękuję, bom dla was i wami żyła i ile  
mocy, spełniła obowiązek! Teraz wypoczywam,  
mało już wam potrzebna, ot, tylko, by was ko-  
chać i modlić się za was! Cała moja robota.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po schy-  
lonej głowie.

— Już ja wymodłę, by cię złe myśli opu-  
ściły. Nie dam ci się zmarnować!

Westchnął głęboko, ale milczał.

Bał się rozdrażnić ją jakąkolwiek uwagą,  
a czuł, że nie przekona i przynębiało go to!

Postanowił milczeć na wszystko.

A ona mówiła dalej, ręki z jego głowy nie zdejmując:

— Dziecko moje biedne. Wiem, że cię teraz serce boli i dusza się buntuje, ale to szaleństwo, którem cię szatan opętał — nie da — nie może ci dać szczęścia. Błogosławieństwa ci kościół odmówi i mój grób stanie ci na drodze — boć jabym tego nie przeżyła, by cię przekląć — umrę tedy. A potem odtrąca cię swoi jak Judasza, a tamci, choć i przyjmą, nie będą cię szanować. Nie będziesz miał ni kraju, ni domu, ni rodziny, ni dusznego spokoju. Mój Boże! i byłbyś z najnieszczęśliwszych, nieszczęśliwy, ze złoczyńców najpodlejszy.

— Ja wiem, że ty się opamiętasz, pokusę zwyciężysz, ja cię szatanowi nie dam, u Boga odmodłę. Żal mi cię, biedaku, że przecierpisz, ale po tej próbie będziesz silny i szczęśliwy, żeś duszy nie zagubił i starej matce wdzięczny będziesz. Nikt się nawet nie domysli, co było, bo gdzieżbym ja śmiała nawet babce wyznać taką hańbę, mego syna nikt o to nie posądzi. Ot, dzięki Bogu, Petersburg opuścisz, osiedzisz w Kownie, między swymi. Jadwisie mieć będziesz, na pociechę, bliżej ci do domu będzie. Trzeba częściej w domu bywać, Waciu, na każde święta musisz przyjechać, koniecznie. Ty mi to przyrzeknij, jeśli mnie kochasz. Dobrze?

— Dobrze! — potwierdził głucho.

Pochyliła się ku niemu i ucałowała w głowę. Łez kilka spadło mu na włosy.

— Biedne dziecko, biedne! — wyszeptała.

Żeby mogła zajrzeć w tej chwili w głąb jego duszy. Ale ta dusza zamknęła się dla

niej na wieki. Ciężko, posępnie upłynęły te ostatniedni.

Pani Barbara wstała, ale o lata postarzała. Domowi patrzali na nią z troską i niepokojem. Wacław stracił zupełnie humor.

Po jego odjeździe, rzecz dziwna i pani Annie i Filipowi zrobiło się swobodniej i tegoż wieczora staruszka, zostawszy sama z wnukiem, rzekła z cicha:

— Czy nie uważasz, jaki Wacław był nie swój pod koniec. Coś tam być musi nieczystego.

— Albo co? — spytał Filip.

— Ten atak matki po tym spacerze, to wszystko podejrzané. O czémś złém rozmawiali.

— Niech babunia mamy spyta.

— Oj, nie! Powiedziałyby sama! Kiedy mileczy, śnać nie może powtórzyć.

— A cóżby to być mogło?

— Chyba się zakochał w jakiej rosyance i żenić się zamyśla.

— Co też babunia mówi! Gdzieżby on śmiał matce coś podobnego powiedzieć, albo i pomyśleć!

— No, no! — pokiwała głową pani Anna. — Ja jednak jutro do Łowicza napiszę, wybadam delikatnie.

Struty na duszy tą rozmową, pojechał nazajutrz Filip do Ładynia po radę i otuchę.

Barcikowski mrukliwie go przyjął, czem chłopca do reszty pogłębił. Usiadł w kącie i milczał, mnąc czapkę i szpicrutę w rękę, a stary fajkę pykał i sapał gniewny.

— Koniczynę zebrałeś? — spytał wreszcie.

— Zebrałem.



— A u mnie na folwarkach gnoją, szelmy ekonomy!

Był to przytyk do dezercyi Filipa.

— A cóż ten wasz brylant rodziny, już wyjechał?

— Zawczoraj.

— Wielki pan, nie raczył do mnie wstąpić.

— Nie mógł! Matka była znowu chora.

— Co? Kiedy on był? Toć musiała być szczęśliwa.

Filip tylko ramionami ruszył.

— Cóż on? Jeszcze nie minister?

— Będzie od Nowego Roku prokuratorem w Kownie.

— W Kownie, polak? Oj, to źle świadczy o jego polskiej duszy, kiedy go tam naznaczyli!

Coraz większy strach ogarniał Filipa, a tu jeszcze Barcikowski dodał:

— Ja też nie rozumiem ślepej wiary w Opatrzność twojej babki i matki. Chłopak ma trzydzieści już lat, czemu go nie ożenią. Toć on jak nic, zrobi kiedyś siurpryzę i naprowadzi wam obcych do rodziny.

— Co też pan mówi!

— Mówię, com słyszał i widział. Zabięło tak się ożenił, Bosiecki też — obaj dobrzy polacy byli, tylko w Rosyi służyli. Zaraza jest!

— Matka by umarła! — szepnął Filip.

— Te też pilnujcie panicza.—Pogroził fajką Barcikowski.

— Czy pan co słyszał? — wyrwało się Filipowi.

— A ty?

— Ja nie i nie wierzę, ale babka o to nie-spokojna.

— A co? Widzisz! Twoja babka za was wszystkich ma rozum! Żebyż się to skończyło tylko na kochankach, jak u Iłowicza.

— Cóż tedy czynić? — desperacko jęknął Filip i oburącz czuprynę zwichrzył. — Taki wstyd, taka hańba i matka chora. Jezu, Jezu, babka mnie wystraszyła śmiertelnie! Co ja nieszczęsny poradzę?

— Nie traćcie głowy, kiedy jeszcze nic się nie stało. Napiszcie do Iłowicza, jak on żyje, gdzie bywa?

— Babka miała właśnie zaraz pisać!

— No, więc czekajcie odpowiedzi. A potem, weźcie się ostro do panicza i ożeńcie go. Tymczasem pisujcie do niego często i serdecznie.

Niespokojnie odtąd wyglądał Filip pocztę, ale listu od Iłowicza nie było długi czas, nie dawał też o sobie słyhu Wacław. W Gródku do reszty zapomniano się uśmiechać, kryli zgryzotę, ale jej się pozbyć nie mogli.

Filip zapracowany, zmordowany fizycznie, może najmniej się poddawał, ale pani Barbara nikła z dniem każdym, a pani Anna prawie przestała odzywać się, a tu listów nie było.

Na jesieni, przy kopaniu kartofli, dnia pewnego przyjechał na pole do Filipa Barciowski.

— Wacław jest u was? — spytał niespokojnie.

— Nie, skądże?

— Onegdaj był w parafii i brał papiery do ślubu.

Skamieniał Filip.

— Kto panu mówił? To nie może być!

— Ksiądz mi mówił—ten perekińczyk. Spotkałem go podpitego na rynku i śmiejąc się mi gada:

— Zobaczyłem wreszcie i z pańskiej rodziny kogoś u siebie. Pan „Winczesław” Barcikowski metryki brał!

— Łże Judasz!—krzyknął Filip.

— Nie łże, bom się rozpytywał na poczcie i w policyi. Był—papiery wziął, i pojechał. Myślałem, że was okłamuje, chciałem ostrzedz, żebyście bronili. Ano—teraz już po wszystkim. Zapaskudził nam nazwisko — bodajże był przekłety!

— Panie, co pan mówi! Ja zaraz polecę do niego.

— A wiesz, gdzie jest?

— W Kownie. Zaraz po feryach miał się przenieść.

— Ano—to leć!

— A co ja w domu powiem?

— Babce gadaj prawdę, a matce ja powiem, że cię poprosiłem, byś mnie zastąpił w interesie. Leć, ja ci pieniądze na drogę dam.

Filip, napół przytomny, wskoczył na jego wózek i pojechali do dworu.

Tej samej nocy jechał Filip do Kowna, w gorączce, ale pełen złych przeczuc.

Babka, gdy jej powiedział, co się stało, milczała długą chwilę ponura, wreszcie oburącz chwyciła siwą głowę i rzekła:

— Zabił matkę.

Zabił matkę, zabił matkę — huczało mu w głowie.

Gdy dojechał do Kowna, ruszył wprost do Jadwini. Nie wierzyła oczom, gdy go ujrzała przed sobą, i rzuciła mu się radośnie na szyję,

ale wnet spostrzegła jego zmienioną twarz, i spytała:

— Co się stało? Nieszczęście u nas?

— Gdzie Wacław? Dawnoś go widziała?

— Kilka tygodni temu. Niema go tutaj! Wyjechał do Petersburga. Masz do niego interes?

— On się żeni!

I gorączkowo, beładnie opowiedział rzecz całą. Dziewczyna słuchała, blada, jak ściana, wreszcie rzuciła się do drzwi, wołając:

— Chodźmy do jego mieszkania—spytamy o adres służbę—i ty goń za nim.

Polecieli. Pan prokurator miał pyszny apartament, ale służba nie знаła petersburskiego adresu—musieli iść do sekretarza. Ten musiał być dobrze poinformowany, bo dając adres, dodał z dziwnym uśmieszkiem na bladej brzydkiej twarzy tatara:

— Wątpię, czy on tam jeszcze będzie. We środe go już tu oczekujemy z żoną!

Zacisnęli zęby, żeby nie zawyć, i wprost pojechali na dworzec. Jeszcze ostatniej czepiała się nadziei Jadwinia i szeptała, dwsząc:

— Nie może być po ślubie! To za prędko. Przecie zapowiedzi trzy tygodnie. Jeszcze w porę przyjedziesz i nie dopuścisz. W ostateczności matkę trzeba sprowadzić. Mój Boże! To się nie stanie! To niepodobna!

Zabił matkę, zabił matkę! poczęło znowu wiercić w mózgu Filipa. Nie czuł zmęczenia, jechał, jechał—nie jedząc, nie śpiąc i tylko ścisnął pięści na lokomotywę, że się za wolno posuwa. Nareszcie dojechał. Wprost z dworca kazał się wieźć do mieszkania, które mu wskazano. Dzwonił, stukał, nadaremnie. Tedy bez-

radny, zrozpaczony, osłabły, usunął się u tych drzwi na schody, i już nie wiedział, co z nim się działo.

Po długiej chwili posłyszał na schodach ciężkie kroki i sapanie, ale był zanadto zmęczony, żeby się podnieść, żeby spojrzeć, kto idzie, i dopiero poruszył go przerażony okrzyk kobiety.

— Kto? Czego chcesz? Co tu robisz?

Dźwignął się i rzekł głucho:

— Szukam pana Barcikowskiego.

Stara otyła jejmość roześmiała się dobroduszenie.

— Nie znajdziesz. Wyjechali. Ja ich na Bahnhof odprowadziła, pobłogosławiła, i idę rzeczy zbierać i pakować. Pojutrze za nimi pojedę. Nie szukaj jego—daj się szczęściem nacieszyć—on teraz nie do interesów!

I mrugała oczkami, cała rozpromieniona.

Oparł się o ścianę i machinalnie wyszeptał.

— Jak ja do domu wrócę. Jak ja to powiem.

Stara przyglądała mu się uważnie, i zrozumiała, że był to interesant bardzo ubogi—może nędzarz i głodny, więc rzekła.

— No—ale wstąpić i odpocząć możecie. Śnać wy z daleka. Chodźcie do kwatery, ja was goszczę. Powiedźcie „familiu”—ja powtórzę „Winczesławu Sewerynowiczu”. A interes możecie napisać!

Ocknął się z rozpacz i wybuchnął.

— Ja już żadnego interesu do niego i z nim mieć nie będę, i dajże Boże się nie spotkać. Bodajby był przeklęty!

I z tem pożegnaniem odszedł.

Na ulicy zatrzymał się chwilę. Chciał

zrazu jeszcze Iłowicza odszukać, ale poco? Rantunku już nie było, skarżyć się — komu? Tamten nawet nie zrozumie. Trzeba wracać co rychlej, zabrać Jadwinę, razem strzedz matki, by się nie dowiedziała ze strony, przygotować ją, a potem... Już i myśleć się bał; co potem będzie.

Gdy stanął w Kownie, odetchnął, że przecie nie sam cierpieć i bić się z myślami będzie, że z siostrą już razem troskę podzielią, obmyślą, co dalej robić. Zastał Jadwinę, zajętą pakowaniem rzeczy — spojrzała na niego, i łzy jej się rzuciły do oczu.

— Ach Filip, co my Bogu zawinili! — zawołała łkając.

— Co matce powiemy! — odparł: ręce łamiąc.

— Matce! Matce! — jęknęła. — Już jej nie powiemy! Nic, nic!

I podała mu leżącą na stole depeszę.

Zanim przeczytał, już wiedział, i rozpacznie, głośno już wymówił to, co go całą drogę męczyło.

— Zabił matkę! Zabił matkę!

Depesza była do Jadwini od Muszki.

„Przyjeżdżaj — matka nie żyje, uwiadom Filipa”.

Filip płakać nie mógł. Patrzył ponuro na litery, i dyszał w męce.

— Kto jej powiedział tak prędko — szepnął.

— Kto! Ktoś „z nich”! — odparła z dziką zaciętością Jadwinia.

Oschły jej oczy i świeciły gorączką.

— My jedźmy! A jemu posłę tę depeszę.

Niech zbiera, co zasiał! Niech ma wtór do swej miłości!

Myliła się Jadwinia. Pan prokurator w swym miodowym miesiącu żadnych nie otwierał kopert. Depesza leżała ze stosem innych papierów, czekając, aż nowożeńcy zstąpią z raju na ziemię. A w Gródku zastały sieroty matkę na katafalku, babkę pod opieką Muszki.

Tak się stało, jak przeczuwała Jadwinia. Urzędnik przyjechał za interesem i przyjęty przez panią Barbarę—powinszował jej małżeństwa i świetnej pozycyi syna. Kobieta zbladła, chwyciła się za serce i bez jęku, bez łez zmar-twiała.

— Nawet przekląć go nie miała czasu! — mówiła ponuro pani Anna. Niechże teraz po matczynym trupie ściele swą dolę.

I ona nie płakała, jak Filip. Oboje jednaką mieli naturę, ich już nic nie przejedna.

Gdy panią Barbarę chowano w grobach rodzinnych, staruszka porachowała wzrokiem miejsca wolne i rzekła z cicha.

— Niewiele nas już tu będzie. Pod cerkiew tamci pójdą — a on tam!

I wskazała za murem cmentarz cholerycznych, gdzie w rowie grzebano samobójców.

Muszka słuchając, wzdrygnęła się zgrozą, a pani Anna to spostrzegła, i dodała surowo:

— Przecie mu nie leżeć tutaj, obok matki, nie rozumiesz! Zresztą, niech go cerkiew bierze! I żyw i umarli, on nie nasz już!... skończone.

Wróciwszy z pogrzebu, zebrała oboje wnuków.

— Cóż tedy myślicie dalej czynić? — spytała.



— Co babcia każe! — odparła Jadwinia.—  
My teraz babci i dzieci i wnuki.

— Ty wracaj do Kowna i na chleb pracuj, bo ci go Gródek nie da. Ty szczęśliwsza od Filipa, możesz go nie znać, nie widzieć nigdy. Ale Filip z ziemią związany, która ich dwóch jest wspólna. Matka dożywotnią była—teraz on po niej będzie dziedziczył—będziecie się tą spuścizną niebogiej dzielić.

— Niech on wszystko bierze. Ja dla babci i siebie na chleb zapracuję, byle go nie widzieć!—wybuchnął Filip.

— A Gródek tak bez boju i zgryzoły oddasz tym, tym—jemu i jego dzieciom!—oburzyła się.

— Nie. Gródek nasz, on go nie powinien mieć! — zawołała Jadwinia! — Spłacić go. Ile trzeba? Ja ci będę oddawała wszystko, co zarobię. We dwoje pracując, utrzymamy przecie ten szmatek ziemi, i obcych doń nie wpuszczmy! Ile trzeba, Filipie?

— Albo ja wiem—odparł markotnie. Trzeba się z panem Barcikowskim poradzić, on to w mig obrachuje.

— No, to jedź zaraz. Za ich dobroć w ostatnich dniach podziękuj, i poradź się, co robić.

Filip rzadko bywał teraz u dawnego opiekuna. Odkąd Muszka dorosła i była panną na wydaniu, ładną, wesołą, i jak utrzymywano, posażną, chłopak usunął się, unikał odwiedzin, z dziewczyną nigdy nie rozmawiał prawie, nie patrzył na nią, a zaczepiony, odpowiadał lakonicznie, niechętnie.

Na rozkaz babki pojechał posłuszny, jak maszyna, rachując, że Barcikowskiego zastanie w biurze i tam się rozmówi o interesie.

Ale powiedziano mu, że pan administrator jest już u siebie w domu, więc musiał rad nie rad spotkać i kobiety.

Powitano go serdecznie, choć bez wielu słów, a Muszka tak spojrzała pocziwie, że go nagle łyzy zdusiły w gardle i długą chwilę głosu nie mógł wydobyć.

Usiadł u stołu, i zwiesiwszy głowę, milczał. Tym ludziom skarżyć się nie potrzebował, bo oni rozumieli i znali jego ból.

Wreszcie Barcikowski głośno westchnął i rzekł:

— Ha, no. Dwie śmierci mieliście — tylko, że jedno w niebie spoczęło, a dla drugiego piekło się rozpocznie.

— Jakie znów piekło! — zachnął się Filip. — Jemu będzie dobrze. Taki wielki pan, dygnitarz, zakochany w żonie, pewny awansów i czynów, będzie miał jedwabne życie.

— A wyrzuty sumienia? — wtrąciła ciocia Barcikowska.

— Ech, on od tego ubezpieczony swą grubą skórą. Ba, żeby babka naprawdę mu wyprorokowała ten dół za płotem cmentarza.

— I panby mu tego życzył? — rzekła Muszka.

— Uwierzyłbym, że Bóg jest sprawiedliwy — odparł, podnosząc na nią zacięte oczy.

— Jest Bóg i sprawiedliwy. O tem nie wątpij! — rzekł uroczyście Barcikowski. — Nie było żadnej wieści od niego, na tę depeszę, coście mu zostawili?

— Nie. Jego to już nic nie obchodzi. Może chyba po spadek po matce się zgłosi.

— Prawda, toć się dzielić musicie. Jakże to będzie?

— Babka mi kazała do Gródka go nie dopuścić.

— Ba, ma rację w zasadzie, ale jakże to w praktyce wygląda. Zdążysz go spłacić i utrzymać się?

— Ha, no, kiedy muszę!

— Pewnie musisz! To prawda.

Zamyślił się stary i po chwili zamruczał:

— Budowali, stróżowali, bronili i ot na co zeszło.

Filip patrzył przed siebie tępym, upartym wzrokiem. Nic nie mówił i twarz jego o rysach ostrych miała zamiast entuzjazmu i zapału, wyraz zaciętej, dzikiej rezygnacji.

— Jak trzeba zostać, to trzeba. Ja sam to wiem. Ale od jego łaski teraz zależy. On bogaty, powiadają. Jak zechcą, to oni nas wygonią.

— A jak zostaniesz, może cię wygonić la-da klęska. Żeby go spłacić, zadłużysz się po uszy i na to się przygotuj, że w najlepszym razie, życia ci nie starczy, aby z długów wyjść, a w najgorszym, jeden zły rok, jeden pożar, a przepadłeś.

— Co tam ja, Gródek przepadł!

— Jeśli Bóg jest sprawiedliwy dla niego, dlaczego nie ma być litościwy dla pana?—szepnęła życzliwie Muszka.

— To co innego. Złego Bóg musi ukarać, ale dobrego wynagrodzić może po śmierci. Ja nie święty, żeby mi dał moc cuda czynić, a bez cudu to się utrzymać w Gródku nie sposób. Ale, jak trzeba zostać, to trzeba.

Muszka oparła głowę na dłoń, i zamyśliła się. Milczeli wszyscy.

— Byle on się nie uparł nas spłacić!— zakończył swą myśl Filip.

Po twarzy Muszki poczęły biedz jedna za drugą łzy. Nikt tego nie uważał, bo każdy był stroskany. Barcikowski ogromne swe wąsy motał, Filip patrzył w ziemię — panna Karolina, opuściwszy ręce z robotą na kolana, poruszała ustami, jakby się modliła, za ścianą jesienny wiatr posępnie szumiał. I znajdowali wszyscy, że jednakże trzeba pragnąć i starać się wszystkimi siłami, żeby ten chłopak pozostał na stanowisku, które będzie dlań galerami na całe życie, lub ruiną i zatrutą w krótkim lub dłuższym, a zawsze niespodziewanym czasie — a w każdym razie pracą bez nadziei, przyszłości — i tryumfu. Muszka zerwała się i wyszła z pokoju. Na szelest odsuwanego krzesła Filip oczy podniósł, ujrzał, że płacze i zadrżał. Otworzył usta, poruszył się, i znowu się skulił, zgarbił, tylko jeszcze chwilę oddychał jak po zmęczeniu.

Ocknął się też Barcikowski, wydobył z kieszeni notatnik i rzekł:

— Rachujmy. Ja ci pomódz pieniędzmi nie mogę. Ludzie bają, żem coś zebrał, ale to fałsz. Asekuruję siebie w dziesięciu tysiącach. Tyle po mnie Muszce zostanie. A zresztą nie mam nic, tylko pensyę—a na starość emeryturę u hrabiego. Jedno ci zdejmę z głowy. Pojadę w twojem imieniu do tego gałgana, i sprawę załatwię. Jużbym więcej i dla rodzonego dziecka nie zrobił.

— O, panie, ja prosić nawet o to nie śmiałem. Ja panu, ja panu... do śmierci nie zapomnę—wyjąkał Filip.

— No, no! Nie dziękuj. Taką łaskę i katy

czynią gdzieindziej. Ano, kiedyś skazany, to idź na stracenie. Musi tak być. Obrachujemy tylko, czy choć w najlepszych warunkach będziesz mógł wytrzymać.

Wyszła też panna Karolina, a oni poczęli rachować, pisać, mazać, kombinować, i siedzieli nad tą robotą parę godzin.

Pod koniec już wsunęła się do pokoju Muszka, usiadła w kącie, i słuchała uważnie.

Wreszcie Barcikowski wstał i począł chodzić po pokoju, mówiąc burkliwie:

— Zbierzesz mi wszystkie rachunki, wykaz ciężarów, kwity bankowe i podatkowe, i ja z tem do niego pojedę. Zaproponuję mu spłatę jego połowy; zobaczymy, ile zażąda. Jeśli trzydzieści tysięcy, to może, może wytrzymasz, jeśli więcej, to się dzielcie ziemią i długami, a całości nie utrzymasz. Pojedziesz ze mną do rejenta i dasz mi plenipotencję, a potem wracaj i czekaj, co Bóg da.

Spojrzał na Filipa, który siedział zgarbiony, od cyfr oczu nie odrywając, i dodał, siłąc się na żart, by chłopaka rozruszać.

— No, łeb do góry. Jeszcze się ożenisz bogato i będziesz potentatem w okolicy.

Filip drgnął, i z takim wyrzutem i żalem na niego spojrzał, że stary pożałował konceptu.

— Toć żartuję, ośle! — rzekł. — Przecież znam ciebie i wiem, że się nie sprzedasz. No, dość trosk i cyfr, chodźmy na kolację i mówmy o czem innem. Przenocujesz u nas, a że się Muszka do Jadwini napiera, więc zabierz ją jutro rano, a ja wieczorem po nią do was wstąpię i jeszcze z babką się rozmówię.

Sankeyę pani Anny otrzymał łatwo Barcikowski, a że interesów nie lubił odkładać,

w parę dni potem ruszył do Kowna. Filip pozostał w powiatowem mieście, w brudnym żydowskim zajeździe, w beczynności nieznośnej i w niepokoju, czekając rezultatu.

Barcikowski odnalazł łatwo mieszkanie prokuratora i zameldował się w urzędowym gabinecie, kładąc tem nacisk, że przybywa tylko jako interesant, a nie jako krewny i gość.

Zastał Wacława u biura, w mundurze, przywitali się sztywno, jak obcy.

— Czem mogę panu służyć?—spytał młody człowiek, wskazując gościowi fotel.

— Przyjechałem z upoważnienia rodzeństwa pana w sprawie uregulowania spadku. Mam ze sobą potrzebne papiery i...

— Jakiego spadku? — spytał Wacław niepokojnie.

— Po świętej pamięci matce waszej, która na Gródku miała dożywocie.

Prokurator zerwał się z fotelu, zbladł...

— Matka umarła...—wyszeptał, podnosząc dłoń do czoła i oczu.

— Dwudziestego siódmego września!

— Dwudziestego siódmego! — powtórzył machinalnie Wacław, stał długą chwilę, jak ogłuszony ciosem, potem zwrócił się do Barcikowskiego, a rozpacz miał w oczach.

— Dlaczegoż mnie nie uwiadomiono. Więc ja już nie syn — nie brat!

— Siostra pańska odesłała depeszę do mieszkania tutaj!

— Nie otrzymałem. Dwudziestego siódmego! — zamruczał. Upadł w fotel, objął głowę w dłonie, i zapanowało długie, ciężkie milczenie.

Przerwał je Barcikowski. On teraz mówił sztywno i sucho.

— Gródek tedy przeszedł w posiadanie dwóch synów i córki i spadek ten trzeba podzielić.

Wacław się zachnął, odjął ręce od oczu i odparł gwałtownie:

— Ja im mam część ustępuję. Nie nie wezmę. Zrzekam się.

— Oni tego nie przyjmą od pana. Polecił mi załatwić interes ściśle i prawnie, radzi są zatrzymać Gródek, a proponują panu spłatę w pieniądzach.

— Uczynię, co tylko zechcą i na wszelkie warunki się zgodzę. Czy brat mój przyjechał z panem?

— Nie. Mam od nich obojga plenipotentę.

Wacław głowę spuścił i ponuro się zamyslił.

Barcikowski otworzył tekę i począł z niej wydobywać papiery. Szelest obudził młodego człowieka.

— Pan daruje — rzekł zmęczonym głosem — ale dzisiaj nie jestem w stanie niczego załatwić. Proszę odłożyć to do jutra. Muszę oprzytomnieć!

Miał istotnie prawie obłąd w oczach. Barcikowski w milczeniu zebrał napowrót papiery i wstał. Ani współczucia, ani sympatii nie było na jego twarzy. Spytał lakonicznie:

— O której mam przyjść jutro?

— Proszę o adres hotelu. Ja do pana przyjdę rano.

— Będę czekał. Mieszkam w Europejskim.



Skłonił się sztywno i wyszedł.

Wtedy Wacław zerwał się z miejsca, parę razy przeszedł się po pokoju, przystąpił do okna i bezmyślnie wpatrywał się w szare chmury. Po twarzy chodziły mu drżenia i spazmy.

Nie słyszał otwarcia drzwi i lekkich kroków żony — dopiero, gdy stanęła tuż za nim i dotknęła jego ramienia, obejrzał się.

— Co ci jest? — zawołała przerażona wyrazem twarzy.

— Matka umarła! — rzekł głucho.

— *Mon Dieu!* — szepnęła żałośnie, obejmując go za szyję. I siedzisz tu sam, zamiast do mnie przyjść. Chodź — skąd wiesz! Miałeś depeszę?

— Umarła dwudziestego siódmego września!

— To okropne! W dzień naszego ślubu! Jakże to? Nie dali ci wiedzieć o chorobie.

— Może nie chorowała — szepnął.

— Nagle umarła. Więc czemu nie wezwano na pogrzeb. Pojechałabym z tobą na jej grób! Co za nieszczęście. Któż ci doniósł o tem?

— Przyjechał krewny w sprawie spadku. Mój Boże, umarła, umarła. Wszystko skończone.

— Winia, Winia, nie rozpaczaj! — poczęła go pieścić i całować, tuląc do siebie. Boża wola — nic nie poradzisz. Chodźże, chodź, pomodlimy się za nią.

On się wzdrygnął.

— Nie, nie, zostańmy tutaj! — zawołał przerażony na myśl „ikony” w kącie sypialni, do którego chciała go zaprowadzić, żeby się

modlić za matkę. Pociągnął ją na kanapę i usiadł, mówiąc gorączkowo.

— Wszystko skończone. Umarła, nie rozumiejąc mnie, nie poznawszy ciebie, nieprzejednana. Gdyby żyła, przebłagałbym ją — musiałaby ciebie pokochać, pobłogosławiłaby nas wreszcie. A teraz — wszystko skończone.

— Przejednamy wszystkich! — mówiła słodko — nie desperuj Winia. Pojedziemy tam, na jej grób, pozna mnie twoja rodzina, ja ich kochać będę i dogadzać, zobaczysz, że się wszystko ułagodzi. Czegóż ten krewny chciał od ciebie?

— Mamy się dzielić majątkiem. Chcą mnie spłacić.

— A ty, coś powiedział?

— Że zrobię, co zechcę.

— Tak dobrze. Pokaż im, żeś życzliwy i bezinteresowny — ile ocenią, to przyjmij i gotówki nie żądaj, żeby im ciężko nie było. Zostaw tę sumę na majątku, a zrzeczenie daj ze swej części! A tego krewnego do nas zaproś, ugość, i powiedz, że ich odwiedzimy na przyszłe lato. Tak trzeba, żeby nas za rodzinę i przyjaciół mieli. Rozumiesz.

Skinął głową, uradowany jej życzliwością i sercem, a ona mówiła dalej:

— Stary rodowy majątek trzeba utrzymać. Jużci, że go w rodzie utrzymamy. Jeśliby nawet twój brat zachować nie mógł, to ja ostatni mój grosz dam, a jego uratuję. Bądź spokojny o tę ziemię! Ja wiem, jak ci jest droga!

Spojrzał na nią.

— Ale ja ją chętnie bratu ustąpię.

— A jakże! Niech ją trzyma, a my go w ra-

zie biedy zawsze poratujemy, byle nas za blizkich mieli! Ja chcę z nimi dobrze żyć, i zwyciężę ich uprzedzenia.

Gdy milczał, potrząsnęła go za ramię.

— Nie wierzysz temu?

Ocknął się z ciężkich myśli, których jej powtórzyć nawet nie mógł i rzekł:

— Wierzę. Kto się oprze twej piękności i urokowi.—Był zachwyt w tych słowach, ale była gdzieś na dnie pierwsza gorycz.

Zarzuciła mu ręce na szyję i w pocałunkach namiętnych gorycz ustąpiła, zapomniał—był szalenie rozkochany, pijany uczuciem.

Barcikowski nie znał nikogo w Kownie, oprócz adwokata Ancuty, u którego była nauczycielką Jadwinia. Tam poszedł wieczorem, by zasięgnąć wieści o Wacławie.

Ancutowie, zacięci litwini i katolicy, najgorsze mieli o nim zdanie.

— Mój dobrodzieju — mówił adwokat—cóż się po nim spodziewać można, kiedy go tu do nas na taki wysoki urząd przysłali. Toć, żeby został uczciwym i wiernym ojczyźnie, w Orenburguby urzędował, a nie tutaj. Jeszczem go w sądzie nie widział i nie słyszał, ale, żeby nie wiedzieć co, to już mu nie uwierzę. Perekińczyk jest, to gorzej, niż dziesięciu rzetelnych rosyjan.

— A o żonie jego co mówią?

— Cudownie jest piękna — tom widział. Wdowa podobno. Zakochał się—był romans—musiał się żenić. Toć tam chrzciny rychło. One tak zawsze łapią naszych—na honor! Ona ma wielkie stosunki, krewna Morduchowa podobno, oplątali chłopaka. W każdym razie pilnujcie się,

i dział formalnie, mocno przeprowadźcie. To już nie nasi.

Barcikowski ciężko westchnął, a Ancutowa dodała:

— Biedna panna Jadwiga, co uczyni, jak oni zechcą u niej bywać, tutaj—u nas!

— Ucieknie — na kraj ziemi! Nikt z nas ich nie przyjmie. Za najcięższą pokutę mam tę sprawę, której się dla Filipa podjąłem. Muszę—więc cierpieć, ale niechno załatwiona będzie—wtedy mu powiem, czego się od nas ma spodziewać. Ale mnie męczy nieznośnie udawanie i milczenie,—to podłe.

— A cóż—rzekł ponuro Ancuta.—Spodleliśmy, boć nas tego uczą prawie od stu lat. Jakie guwernery, tacy i uczniowie.

I umilkli obadwa, posiwiałe w troskę głowy chyląc do ziemi, aż Ancuta znowu się odezwał:

— A wiesz pan, jaką pierwszą sprawę będzie nasz prokurator oskarżać—sprawę księdza Dranżejki z Konar.

— Nie słyszałem, o co chodzi.

— A no, ksiądz nie dał dziewczynie rozgrzeszenia na spowiedzi przed ślubem z prawosławnym żołdatem. Odesłał ją do popa. Dziewczyna powiedziała to narzeczonemu, a ten doniósł do żandarmów. Ksiądz będzie pewnie zesłany.

Barcikowski zerwał się z miejsca, i oburzony chodził po pokoju.

— Nie mów mi pan więcej, bo nie będę mógł spojrzeć na tego człowieka, a toć muszę być spokojny, bo tu chodzi o kawał ziemi naszej, by jej im nie dać! Żegnam państwa—jutro przyjdę jeszcze przed wyjazdem.

I uciekł prawie, żeby reszty mocy nad sobą nie stracić.

Przez noc ochłonał, ukrył swe uczucia, i Wacław zastał go zupełnie chłodnym i spokojnym, gdy nazajutrz stawiał się w hotelu.

— Jestem na pańskie rozkazy. Proszę określić sumę spłaty, ja z góry na wszystko przystaję. Słusznie i sprawiedliwie Filip w Gródku zostaje jako młodszy, a mojem i mojej żony życzeniem jest, by mu to na jak najdogodniejszych warunkach ustąpić. Zrobimy ze swej strony wszystko, aby babka miała spokojną starość, a oni oboje byt zapewniony. Jesteśmy oboje całem sercem oddani rodzinie, gotowi zawsze z pomocą w potrzebie im pospieszyć, a jesteśmy dzięki Bogu w możności to uczynić, i mielibyśmy im bardzo za złe, gdyby naszego serca i dobrych chęci nie przyjęli.

Tak mówił gorąco, z zapałem, ale nie poruszył Barcikowskiego.

— Powtórzę w Gródku pana słowa—rzekł krótko, i zaraz do papierów się zabrał.

Pojechali do rejenta, i tam spisano potrzebne akta. Wacław był zgodny, uprzedzał wszelkie kwestye sporne, ustępował, zanim mowa była o ustępstwie, interes załatwiał się nadspodziewanie pomyślnie. Skończono na dwudziestu tysiącach rubli—na które Filip miał wystawić weksle pięcioprocentowe, płatne ratami, na najdogodniejszych warunkach.

Nawet wydania tych weksli nie żądał Wacław, i z góry, na słowo Barcikowskiego, że je otrzyma—dał i zrzeczenie podpisał.

Gdy wychodzili od rejenta, pod wieczór już, rzekł do starego:

— Mam nadzieję, że mi pan nie odmówi

teraz przyjęcia obiadu, u mnie w domu. Załatwiliśmy interes, bądźmi krewnymi.

Barcikowski chwili tej spodziewał się, był na nią przygotowany, ale po takiej bezinteresowności i ofiarności w interesie ze strony Wacława, mocy nie miał szorstko odmówić.

— Dziękuję panu! odparł. — Ale nie jestem stosownie ubrany i zbyt zmęczony do gościny! Proszę mi wybaczyć, że z zaproszenia nie skorzystam.

Wacław poczerwieniał, ścisnęło mu się serce.

— Dla tak błahego powodu, nie godzi się odmawiać — rzekł zmienionym głosem. — Będę myślał, że pan nie chce być, a sędzę, że na to nie zasłużył.

Stary z odpowiedzią zwlekał, wreszcie zdecydował się i rzekł:

— Panie Wacławie, odpowiem tedy szczerze. Był pan dziś w interesie człowiekiem delikatnym i honorowym. Uznaję to i dziękuję panu, żeś ich nie wyzyskał i nie skrzywdził materyalnie. Każdemu to powtórzę, żeś pan postąpił z rzadką szlachetnością. Ale do domu pańskiego ja nie pójdę i gościem pana nie będę, bo bym w takim razie politykował z zasadami, od których nam na włos ustąpić nie wolno. Materyalnie usłużyłeś rodzinie, jak najlepszy brat, ale moralnie skrzywdziłeś ją i sporniewierałeś nazwisko—jak najgorszy syn i człowiek. Ani do rodziny, ani do społeczeństwa już nie należysz: twój dom — nie nasz dom, twoje drogi — nie nasze drogi. Muszę panu to rzec dobitnie, jako stary człowiek i imiennik wasz. Odstąpiłeś ty od nas dla szalu i kariery—odstępujemy my ciebie dla zachowania

naszych tradycyi i wiary. Nie może inaczej być. Ślub twój nie jest naszym ślubem, żona twoja może jest córką lub wnuczką—takiego, co naszych po turmach badał, na Sybir gnał, lub po lasach strzelał. U twego stołu z różnymi czynownikami, co nas gnębią, spotkać się można i chleb z nimi łamać. Na to nikt z nas się nie narazi. Idź pan swoją drogą, o nas zapomnij. Między nami już morze płynie—nie do przebycia! Dobrze, że pan już matki nie ma! Żegnam pana!

I odszedł prędko, nie podając ręki nawet, a Wacław sam pozostał na ulicy, blady, zmieniony, słysząc w głowie szum i wrzenie krwi i uczucie, jakby dostał policzek—bez możności żądania satysfakcyi. Szedł dalej machinalnie, na pół przytomny. Tysiąc bezładnych myśli latało mu po głowie. Gniew i oburzenie, wściekłość i mściwość, i poczucie krzywdy, i wstyd, i rozpacz. Byłby gonił go, tłómaczył się, ciskał obelgi, ale do ziemi go tłoczyło, zabijało wspomnienie matki. Jak ówiek w mózgu tkwiła data śmierci i usta pełne goryczy i beznadziejnego żalu, powtarzał półgłosem:

— Dwudziesty siódmy wrzesień. Dwudziesty siódmy. I szedł, szedł przed siebie, bez celu. To tylko czuł i wiedział, że nie mógłby teraz być w domu, spojrzeć na żonę—znieść jej pieszczoty.

---



## V.

Pełagieja Fokowna, która w domu Wacławów zajęła swe dawne obowiązki gospodyni, niańki i powiernicy, z wielkim zachwytem i niecierpliwością czekała przyjscia na świat pierworodnego swej Saszeńki.

Sama pani miernie się tem cieszyła, bała się o swą piękność, godzinami wysiadywała przed lustrem, stała się rozdrażnioną, karpysną, opryskliwą dla męża i dobrodusznej Pełagiei.

Wacław, który objął urząd i bardzo był zajęty, mniej cierpiał grymasów, ale stara niania była męczennicą, pastwą złych humorów i narzekań.

Starowina znosiła to wszystko cierpliwie, kult jej dla Saszeńki był bałwochwaltwem, wszystko, co zrobiła, było dobrem i pięknem.

Przez Saszeńkę kochała też Wacława, dogadzała mu i służyła, a że był dla niej zawsze grzeczny i uprzejmy—niewolniczo była mu oddana.

Szczytem jej marzeń i pragnień było teraz dziecko.

Zamadlała się w cerkwi i rujnowała się na świece, aby ubłagać Boga o szczęśliwe rozwią-

zanie, dogadzała i strzegła Saszeńki, a Wacławowi opowiadała swe sny i różne prognostyki, stosujące się zawsze do owego dziecka.

On słuchał jej i milczał, niezdolny do radości — ani do udawania szczęścia. Fatalny termin się zbliżał, gdy drugi raz — w dziecku zaprze się wiary matczynej — drugi sakrament pop będzie spełniał.

Wzdrygał się w głębi duszy, cierpiał — nie było już na świecie człowieka, komuby cierpienia swe wyznać mógł — i nie było na cierpienia te ratunku.

W kościele nie bywał nigdy — zdawało mu się, że gdyby tam wszedł — nie mógłby przemówić do Boga, którego odstąpił — pacierzy nie odmawiał, bo mu wyglądały na fałsz i urągawisko; żona jego, jak większość arystokracji rosyjskiej, była zupełną indyferentką — nie rozumiała by jego skrupułów i męki. — Pałagiejka Fokowna była fanatyczką prawosławną.

W tem otoczeniu miał życie przeżyć.

Razu pewnego, żona spokojniejsza, niż zwykle, zagadnęła go, jakieby imię chciał dać synowi, czy córce, kogo na chrzestnych rodziców zaprosi, i zaproponowała mu, żeby napisał do brata — w kumy go prosił.

— On — ruszył ramionami — on nie zechce.

— Dlaczego? — zdziwiła się zupełnie szczerze.

Nie odpowiedział, co myślał, ale odparł:

— Daleka droga, on zdziczały na wsi. Nie przyjedzie.

— Więc kogóż myślisz?

— Nikogo. Z mojej rodziny nikogo nie będzie. Wybierz ty ze swojej — rzekł zmęczony.

nym tonem. — Pałagiejka niech trzyma! — dodał po chwili.

— Dziękuję ci. Znajdę trochę lepszych! — obraziła się. — A imię, jakie damy?

— I to zostawiam do twojej woli.

— W takim razie nazwiemy go Winia!

— A jeśli dziewczyna, Saszeńką!

— Dobrze i sprowadzimy ojca Joana, żeby go chrzcił.

Ojciec Joan, archirej, ślub im dawał w Petersburgu. Wacław nie protestował. Było mu zupełnie obojętne, kto będzie chrzczył, ten, lub ów pop. Ojciec Joan był bardzo w Petersburgu modny, bywał u Dworu, to pochlebiało Saszeńce...

W lutym wreszcie nastąpił ten wielki dzień — marzenia Pałagei Fokowny były spełnione, urodził się syn. Cały zastęp urzędników składał Wacławowi życzenia, otrzymał masę depeesz z Petersburga, a między nimi jedną od ministra Morduchowa, długą i uprzejmą, w której się sam na kuma zapraszał. Był to honor i zaszczyt niełada, pani Saszeńka była rozpromieniona, Pałagiejka wniebowzięta ze szczęścia.

Zamieniono listy, Morduchow zapowiedział swą bytność w czasie Wielkanocy, ojciec Joan przybyć obiecał, ciotka Saszeńki, frejlina Dworu, przyjęła zaproszenie na matkę chrzestną — noworadzony rozpoczynał życie bardzo świetnie.

Tymczasem był wielki post i codzień, udając się do sądu, przechodził Wacław przed starą, chrzest Litwy pamiętającą katedrą, i widział tłumy, idące do wielkanocnej spowiedzi, i słyszał rozkołysane dzwony i dźwięk orga-

nów. Cały dzień potem w sądzie, gdy potępiał występki i piętnował winy ludzkie i żądał kary na przestępców, słyszał te dzwony i organy, i gdzieś w głębi duszy powtarzał z bezna-  
dzijnym smutkiem:

— Memu dziecku już one nigdy nie zadzwonią i nie zagrają. Nie jego wołają, ani mnie!

Gdy po takich myślach wracał do domu i stawał nad kołyską syna, nie miał dla niego uśmiechu, ani pieszczoty i milczący odchodził.

Pani Saszeńka nie karmiła syna. Pałagiejka Fokowna już naprzód zamówiła i sprowadziła mamkę z tulskiej gubernii, zdrową chłopkę, z zadartym nosem i skośnemi oczami, Marfę Jakimownę, która ustrojona w kokosznik i sarafan narodowy, objęła pieczę nad dzieckiem, i od razu nadała całemu domowi charakter czysto rosyjski. Z powodu mamki zaczęła i Saszeńka więcej się po rosyjsku odzywać, gdy zwykle dotąd prawie nie mówiono inaczej, jak po francusku.

Wacław, żyjąc i urzędując w sercu Litwy, rodzinnej mowy nigdy nie używał, żona jej nie rozumiała, z polaków nikt u nich nie bywał, oprócz doktora, służbę sprowadzała Pałagiejka obcą, z Moskwy lub Tuły, skąd była sama rodem.

Do doktora, gdy przybył raz pierwszy, przemówił Wacław po polsku, ten mu po rosyjsku odpowiedział, jakoś dziwnie, zimno na niego patrząc. Zrozumiał nieszczęsny, że mu dawał do poznania: „Nie mam cię za brata i rodzinnej, prześladowanej mowy nie będę tu poniewierał.”

Co mógł na to rzec! pobladł, czarno mu się zrobiło w oczach — i nie ośmielił się drugi

raz eksperymentu spróbować, ani nawet kwestyi poruszyć.

Ale wtedy postanowił skorzystać z bytności Morduchowa—prosić o zmianę miejsca. Do Tuły niech go wyślą—tam organów nie będzie i nie spotka się z takim spojrzeniem, jak starego doktora. To mu uczyniło niejaką ulgę—uczeplił się tego projektu z żądzą desperata.

Gdy był jeszcze kawalerem, dostał w Petersburgu lokaja polaka i ten z nim do Kowna przyjechał. Dobry to był sługa — uczciwy, cichy, pracowity, uważny na każde jego skierowanie.

Dogadzał nawet grymaśnej Saszeńce, a Pełagiej Fokowna jedno mu miała do zarzucenia, że był prawie niemy, a ona lubiła ze służbą gawędzić. Bronisław zaś po za lakonicznymi odpowiedziami, nigdy się nie odzywał i z resztą służby nigdy się nie zadawał, wyręczał ich, pracował za trzech, byle nie gadać i nie siedzieć beczynnie w kuchni w ich towarzystwie.

Otóż owego wielkiego postu, bez żadnej przyczyny, Bronisław pewnego wieczora, rozbierając pana do snu, rzekł lakonicznie:

— Ja od Przewód rok kończę i już u pana nie zostanę.

— Dlaczego?—spytał Barcikowski zdziwiony.—Cóż ci się za krzywda stała?

— W swoje strony chcę wrócić, do rodziny. Zażęskniłem po swoich.

— Po co łiesz!—zawołał Wacław. — Gdyś się do mnie godził—mówiłeś, że nie masz rodziny.

— Bo i nie mam dużo. Jedna matka, co przy siostrze zamężnej mieszka, tam u nas,

*Barcikowscy.*

w miasteczku. Pisali do mnie, żebym wracał, bo szwagier służbę stracił, to i w nędzy matka jest.

Głos Bronisława był zmieniony. Głuchy, twardy, z dźwiękiem hamowanej wściekłości, i on sam, zamiast postawy pokornej, stał u drzwi wyprostowany, patrząc ponuro nie w pańskie oczy, ale het—przed siebie.

— To im pošlij zasiłek, a dobrej służby nie rzucaj. Masz—dam ci dla nich dwadzieścia pięć rubli. Lepiej im tem pomożesz,—niż siedząc tam razem. Nigdzie nie dostaniesz tyle, co u mnie — nie bądź głupi i nie trać takiego miejsca. Od roku dodam ci dwadzieścia rubli—bom z ciebie rad.

Ale służący nie ruszył się z miejsca—i odparł:

— Dziękuję panu, ale nie mogę zostać. Pójdę do swoich. Matka każe wracać.

— Cóż u licha. Bab będziesz słuchać.

— Nie bab, ale matki. Jednego mnie ma, bo drugiego już i rachować nie można.

— Jakto? więc miałeś i brata?

— Był, ale go zesłali, bo sprawnika pobił.

— Dlaczego?

— Ano, za ten kościół, co go zabrali u nas w Międzyrzeczu—na samą Gromniczną. Szwagier zakrystyanem był—to i bez miejsca ostał, a brat—z mieszczanami, co nie dawali kościoła zamykać—pod sąd popadł, i teraz ich siedemnastu wywożą. Brat rymarzem był—zostawił żonę i dzieci i warsztat. Trzeba się tem zaopiekować, a i kościoła dalej bronić.

— Bój się Boga, waryacie. Kościoła zabranego masz bronić. A to się lepiej odrazu żandarmom wydaj. Jakto, porywacie się na

rząd—najpotężniejszy w Europie. Czyście poszaleli? A toć na zgubę idziesz. Opamiętaj się.

— Ej, proszę pana!—rzekł Bronisław, w którym grała krew łyków miasteczkowych i zerwała wszelkie tamy, nałożone przez długoletnie służalstwo.—Ej, proszę pana, raz kozie śmierć, a jeśli tam tak postanowili, i mnie wzywają do kompanii, to snąć mnie nie mają za zaprzańca i tchórza. A jako mnie w tym kościele chrzcili, tak i niech mnie w nim ubiją. Jużby mnie matka nie odrywała na złą sprawę. Kiedy jej taka wola, ostatniego dać, to snąć warto. Człowiek sam siebie tak nie kocha, jak matka dziecko, i na zgubę marną go nie da. Matka wie od Boga, gdzie dziecku korzyść, a gdzie strata.

Wacław usiadł w fotelu, i umilkł. Zdało mu się, że i ten sługa policzkuje go i urąga, i z pogardą patrzy na niego. Ciężko odetchnął i ozwał się po chwili głosem nieswoim:

— Mój kochany, i ty i twoja matka, i ci wszyscy kamraci, co przeciw prawej władzy się buntują, jesteście ciemni i szaleńcy, i swojej własnej sprawie najgorzej służycie. Jeśli wam kościół zamknięto, zapewne to słuszna kara. Żaden rząd nie zniesie, by go lekceważono.

Jesteście rosyjskimi poddanymi, musicie pokornie spełniać rozkazy i szanować władzę. Kościół ten lub drugi, czy to nie jedno? Możecie się pomodlić w innym, jeśli waz o modlitwę chodzi. Bóg jest jeden wszędzie. Oporem, buntem nic nie wskóracie, a zmarniejecie wszyscy. Jak się lepiej zastanowisz, mam nadzieję, że się opamiętasz i zamiast tam jechać, napiszesz do nich, i przemówisz do rozsądku. Tymczasem, poślij matce te pieniądze,



i rozważ to, co ci mówię. Życzliwie ci sprzyjam, i szkodaby mi było, żebyś zginął dla jakichś babskich mrzonek i głupiego uporu stada ciemnych mieszczan.

— Dziękuję panu za gościniec, ale mi niepotrzebny. Jużem posłał ze swych oszczędności! — odparł uparcie Bronisław.

Tu się Wacław uniósł oburzeniem i porywając się z miejsca, krzyknął:

— To idź do dyabła. Mogę cię i bez roku uwolnić, kiedy ci tak pilno na Sybir, głupcze. Bydło, które politykuje, zamiast buty czyścić, albo nawóz wywozić, i z motyką porywa na słońce!... Bardzo słusznie was knutują i wywożą, bo innego sposobu na głupotę waszą niema! Oto masz swój rachunek, bierz co ci się należy i wynoś się.

Prędko, drżącemi z gniewu rękami odliczył mu zarobione pieniądze, a gdy służący je w milczeniu zgarnął, i skłoniwszy się, odchodził do drzwi, dodał:

— Świadcetwo ci wydám. Może ci się odechce korony męczeńskiej, a będziesz wolął lokajem pozostać.

Służący odparł prędko:

— Nie, dziękuję panu za świadectwo. Jakbym w swoich stronach służby szukał, to i nie powiem, gdzie przedtem służyłem, bo by się mnie bali.

I wyszedł, tę ostatnią cisnąwszy obelgę, a nazajutrz już go w domu nie było.

Zdziwiło to Pełagieję Fokownę, i przy obiedzie spytała:

— Cóż to, Winczesław Sewerynowicz, wygnaliście Bronisława?

— Wygnałem! — odparł krótko, takim tonem, że żonę to zastanowiło.

— Dlaczego? okradł cię, czy się spił?

— Nie. Hardo mi się stawiał, więc wygnałem.

— On — hardo! Chyba się spił. Toć on ust nie otwierał nigdy. Szkoda. Dobry był służący.

— Znajdzie się lepszy — odparł niechętnie.

Jednakże parę dni minęło, zanim się znalazł następca. Przychodziło kilku amatorów, zaszli do kuchni, popatrzyli na resztę rosyjskiej służby, na Pełagieję Fokownę, i nie mówiąc, wynosili się z domu. Nareszcie jeden pozostał, ale żądał tak wysokiej pensyi, że Pełagieję splasnęła rękami.

— A cóżes ty zwaryował! Toć u nas urzędnicy w ziemstwie tyle nie biorą.

Uśmiechnął się z głupia frant i odparł łamaną ruszczyzną:

— A ja też czynownikiem będę, w rosyjskim domu służąc. Rosyjskie panowie bogatsze od naszych, to i zapłacić mogą drożej.

— A toć „prokurator” polak.

— Ej, jaki tam polak. Wiadomo, wysoki ma czyn. Jak na dwieście rubli, to stanę, a mniej, to nie chcę. Trza wiedzieć, dlaczego człowiek w taką służbę idzie!

— Co on bredzi? Czy ty rozumiesz? — spytała Pełagieję kucharki.

— Nie. Ja tego narodu nie rozumiem, choć i po rusku mówią! — odparła tamta pogardliwie.

Służący błysnął ku niej złemi oczami i za czapkę wziął.

— Wstąp jutro po ostateczną odpowiedź! — pożegnała go Pełagieja.

— Winczesław Sewerynowicz! — zagadła przy obiedzie. — Był lokaj, ale chce dwieście rubli. Coś plótł, że jakby u nas służba ciężka, że wy nie polak, że macie wysoki czyn, nie rozumiałam dobrze.

Ale on zrozumiał i krew mu uderzyła do twarzy, a Saszeńka rzekła:

— Jakto? Ty nie polak! — i roześmiała się.

— Pełagieja Fokowna, wypiszcie lokaja z Tuły, zamiast się z tutejszem bydłem targować — rzekł gwałtownie Wacław.

— Wypiszę, ale tymczasem trzeba tego choć na miesiąc wziąć, bo do Wielkiejnocy tydzień, tamten nie zdąży przyjechać, a goście nadjadą.

— Róbcie jak chcecie! — odparł apatycznie.

Wstał i przeszedł do gabinetu. Po chwili weszła tam Saszeńka i zastała go siedzącego bezczynnie w fotelu z wyrazem wielkiego zmęczenia na twarzy.

— Czy ty chory, Winia! — spytała. — Już trzeci dzień do małego nie zagładasz.

Przezwyćiężył się, ręką przetarł oczy, próbował się uśmiechnąć.

— Głowa mnie boli, miałem masę roboty temi czasy, i takem osowiał,

— Tyś powinien się rozerwać, z ludźmi zacząć żyć. Dotychczas nie złożyliśmy wizyt, nie zawiązali stosunków. Trzeba się do tego wziąć.

— A z kimże tu żyć? — ruszył ramionami.

— Jakto? Trzeba się zapoznać z guber-

natorstwem, z prezesem zjazdu, z zarządzającym akcyznymi zborami, z marszałkiem. Wszystkie domy rodzinne i poważne.

— Jak chcesz. Możemy się zapoznać, ale szczerze ci powiem, że jaby'm wolał stąd całkiem się wynieść.

— Doprawdy? Ja o tem tylko marzę, ale milczałam, bo myślałam, że ci najmilej w swoim kraju. Chociaż z drugiej strony, ty tutaj nigdy nie zrobisz kariery, a tam napewno. Tutaj, zakazana dziura.

— Mam zamiar prosić Morduchowa o przenieszenie.

— Do Tuły! — podchwyciła. — Tambyśmy żyli!

I oczy jej zabłysły radością.

— Tam Natasza Pietrówna jest z mężem, on gubernatorem. Wesoły, kochany dom. Tam ja ciebie wszędzie wprowadzę. Sami krewni i znajomi! Ach, do Tuły! Jak tam się bawią na maslanicę. Już ja się sama z Morduchowem rozmówię. On to musi dla mnie zrobić.

— Wobec tego nie warto tutaj zawiązywać stosunków?

— Chyba nie. Chociaż nudzi mi się samej w domu. Dla ciebie znoszę wygnanie — ty — gałganie!

I poczęła go pieścić.

Co prawda, nudziła się Saszeńka. Cały dzień spędzała beczynn timer, czytając romanse, jedząc konfitury i paląc papierosy. Godzinami leżała na szezlagu, odczytywała jakieś listy i marzyła, uśmiechając się do swych myśli. Parę razy na dzień przynoszono jej dziecko, które dość obojętnie całowała — słuchała kuchennych plotek Pełagiei i gdy mąż wracał z sądu, szła

na obiad. Wieczorem, gdy była w dobrym humorze, odwiedzała go w gabinecie; gdy miała napad grymasów, pędziła służbę i łajała o byle co Pełagieję.

I tak upływało jej życie.

Ostatecznie po za pieśszcotami i szalem, nie jej z mężem nie łączyło—dotąd jeszcze szal istniał i trzymał ich związek, ale już Saszeńka się nudziła, pragnęła ludzi i stosunków.

I oto przyszła Wielkanoc. Dzwony biły na rezurekcyę. Wacław w galowym mundurze, stał w soborze, w gronie innych urzędników i asystował z obowiązku ceremonii. Czuł, że na niego wszyscy uważają, szpiegują, podchwycić radzi jaki cień przymusu lub przykrości. Stał sztywny i urzędowy, postawą swą i twarzą, czyniąc damom nabożnym roztargnienie i słuchał bez drgnienia chóru piewców: *Chrystos woskres! Chrystos woskres!*

Żadna to dla niego nie była nowość. Co roku, od czasu, gdy z Gródka wyjechał, bywał na tej ceremonii, rytuał prawosławny lepiej bodaj znał od katolickiego, nigdy — żadnych wspomnień nie miewał.

Aż dopiero w tym roku — w tym kowieńskim soborze, który mu bliższym powinien być, bo razem z nim jest żona — nagle, nie wiadomo skąd, wypełzła mu z duszy — pamiątka. Parafialny kościółek Gródka, tłum ludzi i ich troje, skupionych około babki i matki.

Procesya wraca od Grobu, brzęczą dzwonki—jakoś inaczej—jak tutaj, pachnie kadzidło—także jakieś inne—i nie dobrany chór piewców, ale tłum cały—ochrypło, nieuczenie, ale z jakimś szalonym zapalem, ochotą i radością śpiewa—glusząc organy.

Co oni śpiewali—zaczyna przypominać, mierzalnie, wysnuwa się melodia, śpiewał przecie i on i Jadwinia, a Filip fałszował okropnie, aż go babka trąciła książką — wszystko—najdrobniejsze szczegóły już pamięta—i oto już słowa nadbiegły:

„Wesoły nam dziś dzień nastał”.

Wtem go ktoś trąca. Wzdryga się, truchleje, przerażony spogląda—czyżby zaśpiewał na głos?

Stojący obok niego pułkownik żandarmów szepcze uprzejmie:

— Co wy tak bladzi, Winczesław Sewerynowicz! Duszno wam! — chcecie może wyjść?

— Nie. — prawda, że duszno, ale wytrzymam. Dziękuję wam. Nic mi nie jest!

Prostuje się i przybiera swobodny wyraz twarzy, a w duszy coś go dławi — i radby na ziemię się rzucić — i wyć — i wyć.

Nie zaśpiewa już nigdy z tamtymi...

. . . . .

Trzeciego dnia świąt przyjechali goście z Petersburga. Wszyscy urzędnicy przyjęli ministra na dworcu i płaszczyli się przed Wacławem, byle zaproszenie zdobyć.

On nie rad temu był, ale Saszeńka chciała zaimponować stosunkami, więc zaproszono, kto tylko czynem był dostojniejszy,—przygotowano świetne przyjęcie.

Morduchow stary kazał sobie malca przynieść, wypalił komplement matce, złożył królewski podarek i rzekł wesoło, zwracając się do frejliny-kumy:

— Cóż, Marfa Ignatiewna! Żeby wam zro-

bić przyjemność, nazwiemy go Aleksiejem! Co? Dobrze?

I śmiał się, mrugając oczami domyślnie.

Syn mu zawtórował, a frejlina pół gniewnie uderzyła go rękawiczką po głowie.

— Wam zawsze głupstwa w głowie. Wstyd!

Ale się uśmiechnęła także, boć wiedział cały Petersburg, a ona tem się szczyciła, że była kiedyś kochanką wysokiego dostojnika.

I temu zaszczytnemu wspomnieniu zawdzięczał pierworodny Barcikowskiego swe imię.

Po pierwszym powitaniu, frejlina zajęła się swą toaletą, młody Morduchow flirtował z Saszeńką w salonie, a minister położył się na otomanie w gabinecie Wacława, na cygaro i gwintę.

— No, cóż—jakże wam się powodzi w ojczyźnie?—zagał.

— Rdzewieję, ekscelencyo—i mchem porastam—odparł Wacław z uśmiechem.

— No, cóż znowu... Musi ci być swojsko—między swoimi. Stosunki znasz, charakter rozumiesz—a przecie i ten dowód zaufania, który ci dałem, także wiele wart.

— Owszem, cenię wysoko, że ekscelencya ma mnie za wiernego sługę ruskiej idei i tronu, ale właśnie to stanowisko odosabnia mnie od tutejszego społeczeństwa.

— To źle—powinieneś z nimi żyć—i dobry wpływ wywierać. Na to tu jesteście—urzędnicy wykształceni—i lojalni. To źle, jeśli—myśli z góry nie rozumiecie.

Wacław głowę spuścił i milczał chwilę, pasując się ze sobą, dobierając wyrazów.



— Myśl ekscelencyi rozumiem. Szczytna jest, ale oni jej ani rozumieć, ani przyjąć nie chcą. Pod tym względem ja tu nie działać nie mogę. Sprawy, które oskarżam bywają natury tak drażliwej, że w żaden sposób stosunków z tutejszem społeczeństwem mieć nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo moje zdanie i punkt widzenia na różne przestępstwa jest tak inne, niż ich sposób myślenia, że jako katolik i polak — mam u nich imię zdrajcy — i wykreślili mnie z pomiedzy siebie. Ja zaś za dumny jestem, żeby się tej ciemnej tłuszczy tłómaczyć i do nich się zbliżać. Jedyne uczucie, które pozostało między mną a nimi, to nienawiść.

Zapalił się, to mówiąc, a Morduchow bystro się w niego wpatrywał.

— Hm — mruknął. — A ciebie to dyabelnie drażni, Więc nie rad jesteś ze stanowiska?

— Myślę, że gdzieindziej dużo więcej mógłbym działać. Żona moja przykrzy sobie tutaj bez towarzysztwa, a ja czuję się równie obcym — i niezrozumianym. W takich warunkach źle się pracuje.

— No, macie przecie i tutaj rosyjan!

Wacław się dyskretnie uśmiechnął.

— Nie znałem podobnych w Petersburgu. Morduchow się roześmiał cynicznie.

— A gdzieżbyśmy ich podziewali, jak nie tutaj? Kto tu porządny zechce służyć.

— A ja, ekscelencyo! — uśmiechnął się Wacław, wzdygając się w głębi duszy — na to zestawienie.

Morduchow się obejrzał, że głupstwo pisał, chciał je gładko zmazać.

— Ciebie właśnie dlatego stąd zabiorę, że do tej kompanii nie pasujesz: myślałem, że rad będziesz w kraju, ale gdy ci niewygodnie, w Rosyi dla zdolnych urzędników zawsze się znajdzie miejsce. Co prawda, i twoja żona za piękna i za wielka dama, żeby się marnowała w takiej dziurze. Bądź cierpliwy, pierwszą wakującą dobrą posadę dostaniesz.

Jednocześnie w salonie pani Saszeńka, leżąc na szezlongu, mówiła do Morduchowa junior, który nad nią pochylony, coś szeptał, o coś się dopraszał:

— Zobaczymy. Jaki pan „nachał.” Jak zostanę prokuratorową w Tule, na pierwszym balu, jeśli zasłuży, a będzie dyskretny, to...— dokończyła uśmiechem i zerwała się z fotelu, usuwając jego ramię, które ku niej wyciągał.

— Pst — bo się pogniewam. Czy pan myśli, że gwardzistom wszystko wolno?

— Pani jest gorzej jak piękna, pani jest...

— Poczekaj pan z zakończeniem, aż doświadczysz! — odparła ze śmiechem zalotnym, czarującym, i wyszła z pokoju.

Nazajutrz w asystencyi całego duchowieństwa kowieńskiego — archirej Joan — ochrzcił Aleksego Barcikowskiego.

Cerkiew pełna była galowych mundurów, a wieczorem mieszkanie prokuratora obleżone było przez gawiedź, gapiącą się na rzęsiście oświetlone okna. Przyjęcie było nadzwyczaj świetne, Morduchow w wyśmienitym humorze. Toasty szły jedne po drugich: ministra, potem sądownictwa całego, miłych gości, rodziców i wreszcie nowonarodzonego.

A w końcu Morduchow sam wstał i kielich szampana wznosząc, rzekł:

— Piję też was wszystkich zdrowie, którzy w tym kraju krzewicie ideę wielkiej, jednej Rosyi. Ciężkie jest wasze zadanie, ale zaszczytne, bowiem apostołami jesteście, i zwyciężycie fałsz wiekowy, upór i złe instynkty i z tych prowincyj dawno straconych, a odzyskanych za Bożą pomocą, uczynicie kraj tak rdzennie ruski, jakim być powinien, dla spełnienia wielkiej idei cywilizacyjnej naszego narodu. Życzę pracy naszej najlepszych owoców!

Wielki zapał, gwar, okrzyki, brzęk szkła ogarnął całe zgromadzenie.

Nadymały się dumą piersi, krwią nabiegały twarze.

Wacława ręka drżała, gdy niósł kieliszek do ust, i zęby zadzwoniły o szkło. Przed oczami miał czarne plamy, w głowie szum i huk.

Wypił wino, i usiadł ciężko na swe miejsce. Poczul w piersi okropny wstręt i obrzydzenie. Zimny pot pokrył mu skronie.

— Winczesław Sewerynowicz, odpowiedzcie w naszym imieniu—szepnął mu gubernator.

— Wy starsi *czynem!*—odparł machinalnie.

— Ale wy krasomówca sławny! Gdzie mnie się porywać.

Certowali się, ale zapal roznosił gubernatora, dał się namówić i powstał.

— Matuszki Rosyi zdrowie, dla której my gotowi dać krew i życie!—ryknął, łkając z rozczulenia.

— Hurra!—wrzasnęli wszyscy.

A wtem instrumenty ozwały się pod oknem. Była to niespodzianka generała. Pułkowa muzyka zagrała.

Gdzieś w głębi mieszkania małeletni powód tej uroczystości, przerażony hałasem, po-

czął płakać i krzyczeć w niebogłosy. Ten jeden miał jeszcze prawo protestu, bezkarnie.

Pelagieja Fokowna wyjęła go z kołyski i uspakajała, nosząc po pokoju.

— Cicho, Alosza, cicho gołubczyk. To twój ojciec ministrów gości! Ucztują i balują, a jak ty dorośniesz, sam ministrem będziesz, a może feldmarszałkiem, a może członkiem rady państwa, a może kanclerzem. Czemże ty by chciał być, Alosza?

A dzieciak zachodził się z płaczu, siniał, cały się wyprężał.

Protestował nieświadomie!

---

## VI.

Była późna jesień. Czwórka mierzynów w bryczce szła ciężko po rozbłoconych poleskich groblach. Na bryczce siedział, oprócz woźnicy, jeden tylko podróżny, otulony w płaszcz urzędniczy i rozglądał się po krajobrazie. Monotonny, szary był widok, jak zwykle o tej porze roku.

Po grobli następowało piaszczyste wzgórze, sośniną zarosłe, lub pusty wygon—potem znowu błota nagie, łożą gdzieniegdzie pokryte, przerzniete kanałami i strugami, potem pole zorane, lub zielone od runi ozimej — i znowu piasek i lasek—i grobelka.

Kilka mil już tak ujechali, konie zmęczone, coraz wolniej wlokły, podróżny ziewał—nad całym krajem wisiał smutek i cisza i martwota.

— Daleko jeszcze? — zagadnął wreszcie podróżny.

— Suchą porą byłoby wiorst dziesięć, ale musimy drogi nakładać, bo na prostki grzązko. Będzie jeszcze półtrzeciej mili — pewno.

— To i na noc nie zdążymy!

— Trochę nocy zarwiemy, ale pan czeka z kolacją.

— Mniejsza o kolacyę, ale czy ty w tej pustce nie zbłądzisz?

— Ja, a toćbym z zawiązanemi oczami trafił. Dwudziesty rok, jak furmanem jestem w Gródku.

Dwudziesty rok. Toż mnie pamiętasz pewnie i widziałeś? A poznałeś mnie?

— Mówił mi pan, po kogo jadę, to i wiem. Poznać, tobym nie poznał. Zmienił się pan.

— Postarzałem się. Dziesięć lat, jak nie byłem.

Nastała chwila milczenia. Potem Wacław spytał wahająco:

— A starsza pani jeszcze zdrowa?

— Dał Bóg świętą starość. Zdrowa, tylko już nie tyle się rusza. Domu pilnuje. Ma się kim wyręczyć, to i wypoczywa.

Nie wiedział wcale Wacław, kto ją wyręcza, a pytać nie chciał, aby się nieświadomością nie zdradzić. Więc rzekł po chwili:

— Może i panienkę zastanę?

— O, nie. Wyjechała, jak co roku, na Wniebowzięcie do Warszawy podobno. Tylko naszą malutką panienkę mamy. Także Jadwisia—dodał z uśmiechem.

A zatem to Filip się ożenił. Nikt mu o tem nie doniósł. Listów z domu wcale nie odbierał i on nie pisywał. Aż ostatnimi czasy napisał do brata w interesie. Dla interesu też jechał teraz.

W tej chwili wyjechali na wzgórze, na którym wielki wiatrak stał. Woźnica konie popędził.

— Ot, i młyn, pewnie wieś niedaleko — zauważył Wacław.

— A to przekłety młyn. Wsi tu na dzie-

sięć wiorst niema. Otóż straszycło, Bóg wie, jakim cudem — ze sto chyba lat.

— Ach! To ten, o którym jest jakaś bajka?

— Nie żadna bajka, panie, nie żadna bajka. Ja sam widział, jak on mleł — własnymi oczami widział — w tę noc, kiedy nieboszczka pani umarła. Ja wtedy z telegrafu wracał.

Głos zniżył i biczem przeżegnawszy konie i drogę przed sobą, mówił:

— Wracam, i ledwiem z lasu wyjrzał, patrzę, śmigi się kręcą—a nawet i liść się nie ruszał, taka pogoda cicha była. Strach mnie taki zdjął, żem stanął — za majątek nie ośmieliłbym się około tego straszycła jechać. I patrzę i patrzę, a te śmigi powolutku się obracają, bez szelestu i skrzypu, jak nietoperze skrzydła. Począłem pacierze odmawiać, trzy minęło — aż coraz wolniejając, stanęły śmigi! Tedym przejechał.

— A że to ludzie cierpią takie baśnie, zamiast poprostu podpalić tę rudere. Byłby koniec! — rzekł niecierpliwym, rozdrażnionym tonem Wacław, oglądając się na szkielet młyna, który właśnie mijali.

— Uchowaj Boże! Toć póki on stoi—póty w Gródku ród pański będzie. Takie jest zaklęcie przy założeniu.

— A jakby się spalił, tobyśmy wszyscy pomarli—roześmiał się Wacław.—Toby trzeba nielada epidemii. Ja mam dwóch synów, nas dwóch braci...

— Nie daj Boże złe zaczepiać! — mruknął furman.

Umilkli zupełnie. Dzień się kończył — z łąk wstawały chłodne opary i przysłaniały



okolice. Wacław się szczelniej otulił płaszczem i od zimnej wilgoci się wstrząsnął.

— Poganiaj!—mruknął do furmana.

Ale ten i bez rozkazu śpieszył do domu. Konie poczuły już stajnię i wyciągały co sił z błota—i rychło daleko za nimi został młyn—upiór.

Wreszcie wjechali między uprawne pola i furman rzekł:

— Ot, u nas we dworze się świeci!

Światelko zbliżało się, coraz wyraźniejsze, i wreszcie wjechali w topołową wysadę, w bramę, zatoczyli krąg i stanęli przed gankiem.

Dom zupełnie w ziemię wrósł, mchem porósł dach, słupy podjazdu się pochyliły—wydał się Wacławowi ruderą.

Gdy wysiadał z bryczki, drzwi się otworzyły, i stanął w nich Filip ze światłem i nie mówiąc, podał bratu rękę.

Weszli do mrocznej sieni, i Wacław rozbierając się z płaszcza, rzekł:

— Myślałem, że żywy nie dojadę. Opętany kawał drogi, a już gorszej chyba na świecie niema.

— Nam się zdaje fraszka. Przwykliśmy!—odparł Filip, siląc się widocznie na ton swobodny.

I takie ich było powitanie po dziesięciu latach.

— No, pokaż się, jak wyglądasz!—zawołał Wacław.

I stanęli naprzeciw siebie i spojrzeli w oczy. Wacław wyłysiał i twarz mu się rozlała. Błady był, jakby nalany, niezdrowej cery, oczy straciły blask i życie, nabrały za to ostrości i nieprzyjemnego chłodu. Lekko już się gar-

bił, a około ust miał grymas, rodzaj nerwowego ściągnięcia mięśni, które nadawało twarzy przykry wyraz.

Filip wysechł i zczerniał — na jego nieładnej, z grubą ociosanej twarzy, mnóstw bruzd i zmarszczek się ryło, a w czuprynie czarnej, sterczącej jak szczotka, srebrzyło się wiele włosów.

Tylko w szczerych siwych oczach świeciło dawne zuchwalstwo i siła, a usta miały pogodny spokój wraz z wielką stanowczością.

— Zmieniliśmy się, i nie dziw! — rzekł.

— Ha! Ty przynajmniej na wsi uchowałeś zdrowie, a mnie miasto zjadło. No, jakże ci się powodzi?

— Ano — jestem na miejscu. To grunt.

— Ożeniłeś się, słyszę?

— Tak. Już pięć lat temu.

— Przedstaw-że mnie swojej pani. Pokaż dzieci.

— Żony niema w domu. Wyjechała do chorego ojca. Dzieci nie wiele, córka czteroletnia i chłopak dwulatek. Zabrała je ze sobą.

— A babka, jakże się miewa?

— Babka słaba. Nie wychodzi ze swego pokoju, w fotelu życia dobywa.

Cień przeszedł po czole Wacława. Czuł, że nie do domu, ani do swoich przyjechał. Że brat go przyjmuje oficjalnie, sam jeden, jakby z obowiązku gospodarza domu. Zagryzł wargi, i zimne jego oczy zamigotały złym ogniem, pokonywał się jednak, ukrył wrażenie i rzekł:

— Szkoda. Bardzo mi przykro, że twej rodziny nie poznam.

— A tobie jakże się powodzi? — spytał Filip.

Usiedli w saloniku, który w niczem się od czasów ich dzieciństwa nie zmienił. Te same sztychy i portrety po ścianach, te same stare meble i kominek, w którym gorzały duże kłody smolne, te same po stołach albumy i książki — arcydzieła ojczystej literatury. Wacław się obejrzał wokoło. Ubogo było, dość pusto, ale czysto, tylko sufit był jeszcze niższy, a podłoga w wielu miejscach łatana ze starości.

— Jak mi się powodzi? — powtórzył, jakby się budząc ze snu. — Ano, niczego sobie. Jestem prezesem sądu w Tule, mam Włodzimierza i Annę i rangę radcy. Tylko praca ciężka i życie dużo kosztuje. Trudno zebrać i odłożyć. Stosunki mam duże, dom otwarty, jest o czem myśleć. To nie to, co siedzieć na majątku. Ty pewnie zbierasz i odkładasz?

— Ja! — roześmiał się Filip. Zanimbym zbierał, tobym przedewszystkiem długów się pozbywał. Ale te mnie nawet do śmierci nie opuszczają.

— No, przecie musiałeś wziąć posażną żonę?

— Nie. Inom szczęście z nią poślubił — a ona będzie ze mną.

— Tegom się nie spodziewałem. Myślałem, że otrzymawszy Gródek — jak darmo — fortuny się dorobisz! A cóż porabia Jadwisia?

— Służy! Nauczycielką jest w Warszawie. Bywa u nas latem.

— Dobrze zarabia?

— Pięćset rubli rocznie.

— U nas brałaby tysiąc.

Na to „u nas” — usta Filipa zacisnęły się

i poczerwieniała twarz. Jakby nie chcąc przedłużać poufnej rozmowy, wyrzwał do jadalni i rzekł:

— Kolacya podana. Musisz być głodny?

Gość zasiadł do stołu i wypił raz po raz trzy kieliszki wódki. Jadł nie wiele, rozglądając się po ścianach. Wisiała tam wielka mapa pogładowa Polski, „Rejtan” Matejki; „Czterech hetmanów” Kossaka; „Księżę Józef z ręką na szabli”; „Cyprian Janczewski w czarmerce” i „Lituania” Grottgera.

Wszystko znajomi dzieciństwa.

Wspomnienia szły ku niemu. Ten-ci sam dom był, gdzie był ukochany i szczęśliwy.

Ten sam dom — ale dla niego nie było już w nim kochania, ni szczęścia.

Naprzeciw niego siedział Filip posępny i jakby zmęczony przymusem obowiązku; stary lokaj go nie powitał nawet. Czuł się coraz bardziej obcym. Nikt go nie spytał o żonę i rodzinę, nikt się nim nie ucieszył. A on jechał tu pewny, że zapomnieli, pogodzili się z faktem dokonany, że w nich krew przemówi, przyjmą go, jak swego.

— Czy tobie nie dziw, żem przez tyle lat nie zapomniał języka — spytał Filipa.

Tamten się lekko uśmiechnął.

— Więc ci się zdaje, żeś zapamiętał?

— Albo co? Zle mówię może!

— Ktoby nie umiał po rosyjsku, tenby twej polszczyzny nie zrozumiał.

— Bardzo wymagający. Znam polaków w Tule, którzy wcale nie umieją po polsku się rozmówić. Ja trzymam „Kraj” i „Tygodnik”.

— A po co? — wyrwało się Filipowi nieuważnie.

— Po to właśnie, żeby nie zapomnieć języka.

— A jakbyś i zapomniał, jaka ci z tego będzie strata.

— Więc ty mi radzisz wyrzeczenie się narodowości?

— A po cóż ci ta narodowość w Tule? Dzieci twoje nie będą polakami, ani ty tutaj wrócisz.

— Dlaczego nie. Właśnie mam zamiar kupić tu w kraju majątek i dzieci moje będą tu-  
tejszymi obywatelami.

— Majątek kupić możesz na ich imię, ale oni przez to polakami się nie staną.

— Zobaczymy. Uważam, że przez te dziesięć lat nie postąpiliście naprzód w pojęciach.

— Nie!—odparł twardo Filip.

Wacław się roześmiał szyderczo.

— Nie więc dziwnego, że we wszystkim upadasz i narzekasz na biedę. No, i bez mojej pomocy—nawet Gródka byś nie mógł utrzymać. Ręczę ci, że w moich rękach inaczejby wyglądał majątek.

— Pewnie, że inaczej!—mruknął Filip.

— To mi go odstęp!

Filip się wzdrygnął

— Nie. Za nic. Żądasz spłaty tych dziesięciu tysięcy i te ci na Nowy Rok wypłacę. Zresztą moja bieda do mnie tylko należy. Nie proszę cię o pomoc.

— Ja też ci się nie narzucam.

Zapanowało przykre milczenie, które wreszcie Filip przerwał, siłąc się na uprzejmość.

— Jeśli rzeczywiście majątku do nabycia szukasz, jest tu o mil siedm folwark, który kupiła jakaś generałowa z Kijowa i chce sprzedać.

— O to łatwo. Na licytacyach bankowych znajdę, jaki zechcę. Żyję dobrze z dyrektorem w Petersburgu i ten dla mnie żadnej usługi nie odmówi. Więc z pewnością mogę liczyć na te dziesięć tysięcy od ciebie, na Nowy Rok?

— Z pewnością.

— Jeśli ci trudno, to mi szczerze jak bratu wyznaj. Tyle lat przez wzgląd na babkę i ciebie, obchodziłem się bez tych pieniędzy, to i dłużej mogę dla rodziny to uczynić.

— Płaciłem ci przecie akuratnie procent.

— No, taki braterski procent. Wyznać musisz, że byłem w interesie nie ciężki i okazałem dokumentnie, że dla rodziny gotów do największych usług. Uczyniłem, co mogłem, żeby wam zapewnić spokój i dobrobyt i nic wzamian nie otrzymałem.

— My też względem ciebie żadnych grzechów nie mamy.

— Tak sądzisz? Nawet nie znajdujesz dziwnem, żeś mnie nie uwiadomił o swoim małżeństwie?

— Tyś nas o swoim też nie umiadomił.

— Ale nie zapomniał, com winien rodzinie, w interesie działu majątkowego byłem jak najserdeczniej dla was usposobiony. A wy przez dziesięć lat nie daliście znaku życia, jakbym nie istniał.

— A tyś dał?—odparł Filip.—Zresztą o co się mamy spierać. Nie zmienimy warunków i stosunków.

— Czyli nie poczuwasz się względem mnie do żadnych braterskich i rodzinnych obowiązków?—spytał ostro Wacław.

— Tyś się sam od nas usunął pierwszy,

Jakież mogą być stosunki? My z tobą nie pójdziemy, ty do nas nie wrócisz. Twój dom nie nasz dom, twoje bogi nie nasze bogi.

— Czyli wydajesz na mnie wyrok wykreślający z rodziny?

— Nie ja! Tyś sam wyrok wydał, a matka go potwierdziła. Ty jesteś czcicielem potęgi—my czcicielami podeptanych ideałów i przebrzmiałych haseł. Każdy życie układa jak chce, ale nie może żądać, by inni mu ze swych zasad ustępowali. Nie zazdrościmy ci, jeśliś szczęśliwy, ani boleć będziemy nad twoją niedolą, boś ty z nami ani się cieszył, ani płakał.

Wacław zerwał się z miejsca.

— Takie jest twoje zdanie. Za moją ofiarność i serce ubliżasz, odtrącasz. Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości, abym i ja nie zapomniał, żeś ty mi bratem.

Ale i Filip, który na dyplomacyi mało się znał, stracił panowanie nad sobą.

— A cóż to! Myślisz, że nam honor i zaszczyt przynosisz. Wolałbym nie mieć brata, który nam srom i hańbę wniósł do nazwiska. Grozisz, że pokrewieństwa zapomnisz—mybyśmy radzi ciebie nie pamiętać, bo każde wspomnienie—to wstyd. A groźby żadnej od ciebie się nie boimy, bo nic gorszego już nam uczynić nie możesz, jak to, coś uczynił.

— Taak—a no, to zobaczymy! Wy jeszcze mnie przepraszać i błagać będziecie — ja ci to zapowiadam. Przekonałbym każdego rozsądnego, ale z tobą nawet dysputować nie myślę. To jednak pewna, że tak, jak ja postąpiłem, postąpiłby każdy człowiek honoru, i czas pokaże, kto z nas lepiej życie ułożył i kto do



celu dojdzie. Proszę cię, wskaż, gdzie będę nocował, jestem zmęczony.

Filip zapalił świecę i zaprowadził go do rogowego gościnnego pokoju. Rozstali się w milczeniu, i Filip, cały jeszcze wzburzony, poszedł na drugi koniec domu i zapukał do pokoju babki. Zastał ją jeszcze ubraną i rzekł, stawiając świecę:

— Stało się. Nie wytrzymałem, a takem sobie wmawiał obowiązek gościnności i cierpliwość.

— Jak było? — spytała surowo.

Powtórzył całą rozmowę.

— Więc on śmiał czego innego się spodziewać? — rzekła. — Żebyś mu zmilczał, byłbyś tchórzem. Dobrześ postąpił.

— Ale wroga mamy.

— Ha, trudno — odparła zawzięcie. Paktować nie będziesz. Zapłacisz mu, co się należy i więcej nie ujrzą go nasze oczy. Skąd zbierzesz te pieniądze?

— Powiększam bankową pożyczkę.

Przeszedł się po pokoju i spytał:

— A jeśli on jutro zechce się z babunią widzieć, co mam powiedzieć?

— Nie będę słabsza od ciebie. Niech przyjdzie. Muszce trzeba było tej przykrości oszczędzić. Dzieci do niego nie dopuścić, ale my dwoje musimy tę zgryzotę znieść! Niech przyjdzie do mnie.

— Chyba po naszej rozmowie, nie ośmieli się babuni na oczy pokazać.

Mylił się Filip, gdyż nazajutrz po herbachie ozwał się Wacław:

— Czy babka nie bywa w jadalni?

— Jada u siebie.

— Kiedyż się będę mógł z nią zobaczyć?

— Kiedy zechcesz. Mówiła, że cię przyjmie.

— A więc zaraz, bo chciałbym dzisiaj wyjechać.

— Mieszka, gdzie zwykle. Ja tymczasem do gospodarstwa zajrzę.

Gdy Wacław wszedł, zastał staruszkę przy robocie. Robiła włóczkowy kaftanik dziecinny na drutach. Pomimo siedemdziesięciu kilku lat, obywatła się jeszcze bez okularów.

Pocałował ją w rękę i rzekł:

— Babunia wcale nie postarzała! Tak ślicznie wygląda.

— O tobie tego powiedzieć nie można! I zestarzałeś i zły masz wygląd. No, nie dziw! Nie słodko ci bywa w głębi duszy.

— Każdy ma swoje zgryzoty. Pracę mam też bardzo wyczerpującą i ciężką.

— A to czemu? Powinni ci dać jaką wygodną synekurę...

— Nigdy się za synekurami nie uganiał. Mało kto z urzędników tyle pracuje, jak ja. Mozolnie i uczciwie zdobyłem stanowisko—nie potrzebowałem nigdy protekcji.

— Wierzę—masz przecie zasługi...

Krew uderzyła do skroni Wacława.

— Więc i babunia mnie potępi?

— A któż cię nie potępi? Możeby matka znalazła w sercu pobłażanie, gdybyś jej nie zabił. Oprócz niej, nikt słowa na twoją obronę znaleźć nie może, chyba tobie podobny. Wv-rzekłeś się swego Boga, swego kraju, swej mowy i obyczaju. dla rozpustnicy.

— Babuniu, to moja żona!

— Była przedtem twoją kochanką, nie dro-

ga jej cześć— zresztą ja, matka ojca twego, mam prawo nagać ci prawdę mówić i karcić. Sumienie ci tak samo powie— a ja jestem sumieniem waszem. Podeptaleś wszystko dla szalu i dla kobiety— pamiętaj, że ta kobieta stanie się twoją klątwą i pomstą Bożą nad tobą. To nie, że wysoko stoisz i sądzisz się silnym, to nie, żeś zdobył karierę, sławę, honory i rangi — to nie, że masz rodzinę, dzieci i przyjaciół! Nic i nikt ci nie pozostanie. To ja ci przepowiadam, ja, sumienie wasze. Nad grobem stoję — ale jeszcze ujrzę sprawiedliwość Bożą nad tobą. Słyszalam, żeś się na Filipa odgrażał i teraz mienisz się ze złości na mnie i odjedziesz ze wściekłością na nas i mścić się będziesz. A ja ci powiadam, że przyjdzie dzień, gdy przejrzysz i nas zrozumiesz i pożałujesz życia, ale wtedy już będzie zapóźno! Tyś już wziął swoje srebrniki!...

Wacław zerwał się z miejsca i słowa nie rzekłszy, wyszedł. Kipiał w nim wulkan. Poszedł do swego pokoju, prędko zebrał rzeczy i kazał wołać Filipa.

— Proszę cię o konie! — rzekł lakonicznie.

— Zaraz! — odparł tamten.

Przez pół godziny, zanim zaprzężono, stał Wacław w oknie i patrzył ponuro przed siebie. Gdy bryczka stanęła pod gankiem, prędko się ubrał i wyszedł. Spotkał w progu brata.

— Dziękuję ci za gościnę i więcej już o nią nie poproszę! — rzekł z szyderczym uśmiechem.

Filip tylko ramionami ruszył i na tem się rozstali.

Całą drogę do kolei Wacław przeżuwał

wściekłość, układał plany odwetu, potem się powoli uspokajał, przychodziła refleksya—ostygła.

Ostatecznie, czy można takich półgłówków brać na seryo? Filip był osioł, bydlę robocze, zdziczałe na partykularzu, babka—zdzieciniała fanatyczka. Nierozsądnie zrobił, że ich zaczepiał, że pojechał, że spodziewał się czegoś rozsądnego od takich.

Albo to mogą go nawet zrozumieć!

A przecież nie daruje im, przytrze rogów, ale zimno, spokojnie, powoli.

Gdy znalazł się w wagonie, zupełnie wrócił do równowagi, myślał tylko, czy żonie opowiedzieć przyjęcie i jak.

Dalej, dalej wioził go pociąg na wschód i rad był, że się oddala. Gdy się zbliżył do Tuły — całe to przejście robiło mu wrażenie zmory, nie chciał o niem myśleć.

Nareszcie stanął na miejscu. Wracił wcześniej, niż zapowiedział i wyobrażał sobie, jak się zdziwią w domu, bo depeszy nie wysłał z drogi.

Zadzwoił do drzwi, słyhać było w mieszkaniu gwar dzieci, śmiechy i bieganinę, ale nikt nie otwierał. Po chwili, zniecierpliwiony, zadzwonił mocniej, lecz dopiero po jakimś czasie otworzono.

Służący, na jego widok, zmieszał się, wyprostował i natychmiast nisko się uklonił.

— To barin — wybełkotał. — My nie spodziewali się.

— Widzę, bo się nie spieszyście z otwieraniem. Znoś rzeczy z sanek.

Dzieci z głębi zaglądały i poznały ojca. Ukazały się też zaraz i hałaśliwie poczęły go witać. Najstarszy Alosza, ziajany i spocony,

rzucił się mu na szyję, młodszy, Kola, uczeplił się ręki, a malutka Natasza, krzyczała, nie mogąc się docisnąć.

Ucałował każde po kolei i rzekł wesoło:

— No, prowadźcie mnie do matki.

— Niema mamaszyl!—oznajmił Alosza.

— Wyszła?

— Ehe! Pojechali. Czwooro sań — jeszcze wczoraj—na bal do Kniazia tego, co ma rysaki. Pojechali — i ciotka Natasza i dziadzia Kostia, a pan Fomow powoził sam — swoją siwą kobyłą—i powiózł mamaszę.

Przykry zawód odbił się na twarzy Wacława.

— No, to dajcie mi się przebrać i poproście cioci Pełagiei, żeby mi dała co zjeść.

— Oho, niema już cioci Pełagiei, mama-sza ją wypędziła — raportował Alosza, a Kola dodał, chcąc go przekrzyczeć:

— Pojechała ze zwoszczykiem, z czemo-danem, i ze wszystkim. Oho, już trzy dni temu...

— Co? Co ty pleciesz? Gdzie pojechała?

— Mamasza krzyczała: Idź k'czortu! Ciocia płakała, modliła się, całowała mamaszę w kolanach, a potem poszła do siebie i upakowała się.

— Niema cioci! Ja chcę do cioci! — zanoszając się od płaczu, piszczła Natasza.

Zdumiony, przerażony, patrzył Wacław po dzieciach. Zobaczył dopiero teraz, że Alosza miał na policzku czerwone znamię od ukąszenia, że Kola miał szramę przez cały policzek—krwawą — od paznokci, czy bata, że obadwa mieli ubranie podarte i brudne, a Natasza włosięta rozczochrane, a fartuszek obłany jakimś czerwonym sokiem.

— A was kto tu dogląda?—spytał.

Tu Alosza umilkł, a Kola rzekł tryumfująco:

— Mademoiselle chodziła za nami, ale że nam dokuczyła, więc ją Alosza zamknął w łazience. My papaszy damy zjeść, bo mamy klucze od spiżarni. Wykradliśmy mademoiselle!

I dumny z tego czynu, opowiadał dalej.

— My już byli w spiżarni. Wiemy, co tam jest. Chodź, popatrz, my tobie damy—warzenia (konfitury). My i wódkę pili! A potem bawili się w zwoszczyków.

Zrozumiał tedy szramy i rany, i czem był poplamiony fartuszek małej.

Zwrócił się do lokaja, wnoszącego kuferek i spytał ostro:

— Co się tu dzieje? To tak pilnujecie domu, jak nas niema. Francuzka zamknięta w łazience, dzieci rabują spiżarnię — a wy co robicie?

— Ja, barin, ja barin—jąkał służący—mnie pani uwolniła do żony. Ja tylko co wróci!

— A kucharka, a służąca, gdzie są?

— Zapewne do pralni poszły.

Rozgniewany poszedł Wacław, i przede wszystkim uwolnił francuzkę z więzienia. Była to młoda, szykowna paryżanka, która przyjechała do Rosji w nadziei złowienia jeśli nie męża, to bogatego kochanka, i funkcyę swe pedagogiczne spełniała bardzo pobieżnie i powierzchownie.

Wypuszczona na wolność, poczęła spazmować i narzekać na dzieci, przedewszystkiem na Aloszę. Ale chłopak odzyskał rezon, i zuchwale się bronił.

— To *mademoiselle* mnie oskarża — aha —

a jak wczoraj *mademoiselle* poszła wieczorem z Perfiłowem na spacer, nas zamknęła, a Anuszcze zostawiła klucze i Anuszką z Gregorem i z Maszą się spiły — i całą noc hulali — to *mademoiselle* zakazała nam to gadać.

— Mon Dieu, quel monstre, cet enfant! — jęknęła francuzka.

Wacław widząc, że nie wybrnie z tego śledztwa, sprawę krótko zakończył.

— Alosza i Kola — marsz do waszego pokoju, uczyć się i siedzieć cicho! A pani — niech się zajmie małą.

Chłopcy niechętnie mruczając, spełnili rozkaz. Francuzka rada, że się burza skończyła, wyprowadziła płaczącą Nataszę. Wacław został sam w mieszkaniu, które wskutek samowoli dzieci wyglądało, jak po trzęsieniu ziemi.

Gregori począł sprzątać i porządkować, zjawiła się kucharka i służąca, ale ten powrót do domu był tak różny od tego, którego się Wacław spodziewał, że już on ani jeść, ani odpoczywać nie pragnął, tylko się zamknął w gabinecie i rozmyślał. Że żona dała się namówić na ten bal, od którego się wymawiała, z powodu jego nieobecności — to mniejsza. Tylko dziwna, że pojechała z Fomowem.

Fomow po sprawie w Penzie, zniknął na całe lata z widnokregu, odsiadywał pokutę, gdzieś w Polsce, na urzędzie naczelnika powiatu. Niedawno zjawił się w Tule. Roztył i z bogacił, miał już w Polsce dwa majątki i cuda opowiadał o karierze — tam — w *Priviślinju*. Ale się zanudził za swoimi — mówił — więc rzucił to Eldorado i dostał posadę wicegubernatora. Zadawał szyku, bawił się, hulał, sypał pieniędzmi, mile go przyjęto.



Ale Szaszeńka przyznała się mężowi, że go nie cierpi, że jej przypomina tak ciężkie chwile, że z największym przymusem znosi jego towarzystwo.

Cóż się więc stało, że z nim właśnie pojechała na ten bal.

Ale najdziwniejsze było wydalenie Pełagii.

Po namyśle Wacław doszedł do przekonania, że dzieci przekreśliły całe zdarzenie. Zapewne Pełagieja wyjechała w odwiedziny do rodziny, i Szaszeńka nierada ją opuściła. Boć Pełagieja była duszą domowego ładu i życia. Ona zarządzała służbą, kuchnią, porządkiem, ona doglądała dzieci, ona dogadzała Szaszeńce, ścierała prochy z pod jej stóp, jak pies była do niej przywiązana, ubóstwiała ją bałwochwalczo. Nie rozumiał nawet, jak bez Pełagiei dom ich mógł istnieć, a Szaszeńka przeżyć jeden dzień. Zawołał lokaja.

— Gdzie wyjechała Pełagieja Fokowna?— spytał.

— Nie wiem, barin!—odparł i stał, czekając, by go badano.

Ale Wacław, coraz pewniejszy, że wróci rychło, dodał:

— Uważaj, żeby ciepło było w domu, niech Masza przygotowuje dobrą kolację i daj mi świecę do biura.

I spokojny, zabrał się do przeglądania papierów, nagromadzonych w czasie jego nieobecności i oczekiwał powrotu żony z balu. Było po północy, gdy huczno i szumnie przeleciało przez ulicę kilkoro sań— i jedne zatrzymały się przed ich domem. Wstał i wyszedł do przedpokoju; jak za młodych lat biło mu serce do

tej kobiety, którą się nigdy nie mógł dosyć nacieszyć. Otworzył sam drzwi, chciał jej zrobić niespodziankę, ale już stróż musiał się wygadać, bo rozmawiała z nim na dole.

~~W~~ Wchodziła wolno na schody, ujrzała go i rzekła:

— A toś się pośpieszył. Chybaś z drogi wrócił?

— Ano widzisz! Taki mąż ze mnie, co nawet urlopy skraca. Cóż, dobrześ się bawiła?

— Ach—tak sobie. Musiałam się trochę rozerwać po tej awanturze z Pełagieją.

Zrzuciła ze siebie futrzaną rotundę i ukazała się w całej okazałości. Piękna była zawsze, pięknoscią dojrzałą, majestatyczną. Bardzo gustowny balowy strój podnosił jeszcze to piękno. Na niego wionął zapach perfum, gorąco obnażonych ramion — objął ją w pól i całował. Przyjmowała pieszczoty obojętnie, raczej ze znużeniem, wreszcie usunęła mu się i rzekła:

— Dajże pokój. Upadam ze znużenia. Posłuchaj raczej historyi z Pełagieją.

— Prawda! Dzieci mi tu plotły, żeś ją wypędziła. Cóż się stało? Czy się jej zachciało jechać do którejś cudownej Bogarodicy, czy do krewnych?

— Wcale nie. Ja ją wygnałam precz.

— Ee, żartujesz! Przecież się dwóch dni bez niej nie obejdziesz?

— Ha, to trudno. Ale mając dzieci w domu coraz starsze, nie mogłam tolerować takiej ohydy.

— Jakiej?

— Zastałam u niej piewcę (śpiewaka) z so-

boru, oboje pijanych do bezpamięci, o jedynastej w nocy.

— U Pełagiei? To być nie może! Jakto, samaś na własne oczy widziała, czy ci kto mówił?

— Kiedy ci mówię, że zastałam, to po cóż pytasz czy mi kto mówił?

— Pełagieja! Pijana! I piewca u niej! Wszystkom przypuszczał, ale tego nie! I cóż ona?

— Ona uderzyła w pokorę i płacz, alem naturalnie nie dała się wzruszyć. To było za nadto ohydne!

— I gdzież się wyniosła?

— Albo ja wiem? Dałam jej tysiąc rubli i kazałam iść precz, żeby nasze oczy jej więcej nie widziały. Zapewne schroniła się gdzieś na wsi.

— A piewca?

— Co mnie to bydlę może obchodzić. Szczęściem, że było to w nocy i służba nie widziała, jak wchodził i wychodził. Ładna byłaby plotka na całe miasto.

— To jest coś monstrualnego! Tyle lat nie było najmniejszej poszlaki. W ogień bym rękę kładł za tę kobietę. No, a teraz, co będzie bez niej. Nie wiesz, com w domu zastał dzisiaj. Dzieci pokaleczone, służba rozpierzchna, francuzkę Alosza zamknął w łazience, szpizarnię te smarkacze zrabowały, piły wódkę, umazały się sokami i konfiturami, w domu ruina i bezład.

— A gałgany! Dałeś im w skórę?

— Nie! Wiesz, że nigdy ich nie biję!

— Naturalnie. To twoje bóstwa! Ale ja ci dziś zapowiadam, że mam dosyć ich pano-

wania w domu i raz się to twoje pieszczenie skończy. Do chłopców trzeba wziąć guwenera, któryby ich ostro trzymał i swawolę ukrócił! Ja mam dość tego piekła w domu!

— Ależ, Saszeńka, przecie ty się niemi nie turbowałeś nigdy.

— Ale dokuczyły mi dosyć. Nie turbo-  
wałam się i turbować nie myślę. Wiesz, że  
nie cierpię bachorów. Nie jestem stworzona  
na samice!

Rozebrała się i położyła do łóżka. On  
chodził po sypialni — odurzony.

Jakże inny był powrót do domu od tego—  
marzonego.

— Ano, poszukamy guwenera, kiedy  
chcesz. Chociaż Kola jest jeszcze tak mały...

— Niema co szukać. Trzeba wziąć Ter-  
cewa.

— Co? A toć go wygnali z uniwersytetu  
za socjalizm, awantury i burdy nocne!

— Et, wierzysz, co prawią stare mantyki.  
Chłopak ostry i zuchwały, to się nie podobał  
grzybom, urzędnikom i profesorom. A właśnie  
takiego zucha dla chłopców trzeba, jeśli mają  
z nich być ludzie, a nie takie mazgaje, jak ty.  
Tercew jest człowiek trzeźwy, a chłopcy po  
tobie mają dosyć sentymentalizmu i miękości.  
Sukcesya — w życiu nieopłatna.

Zwiesił głowę i po chwili rzekł cicho:

— A jednak pokochałaś mnie dla tych  
nieopłatnych przymiotów — i one nas połą-  
czyły.

Żachnęła się niecierpliwie.

— Jeszcześ się roztkliwił bardziej, tam u ro-  
dziny. Cóż, dali ci pieniądze?

— Będą na Nowy Rok.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Bo było lepiej wziąć majątek. Oczywiście, oszukali cię w dziale, jak sami chcieli. Dzieci niby kochasz, ale o ich przyszłość wcale nie dbasz. Zostawisz im po sobie — figę. A to wszystko, żeby wzbogacić rodzinę, która drwi sobie z ciebie, jak z głupca.

Milczał, chodząc ciągle wzdłuż pokoju.

Nagle spytał:

— Czy to prawda, żeś na bal pojechała z Fomowem?

— Któż ci to mówił?

— Alosza.

Roześmiała się i ruszyła ramionami.

— Myślałam, że mała Natasza — odparła. Potem ziewnęła zmęczona i znudzona.

— Spać mi się chce. Proszę cię, jutro umów Tercewa i zapowiedz służbie, żeby mnie nie budzili przed południem. Te tysiąc rubli dla Pełagiei wzięłam na parę dni u starego Jermołowa. Załatw to z nim sam. Dobranoc ci!

I ułożyła się do snu.

Nazajutrz rano Wacław poszedł do sądu, a skończywszy obowiązkowe zajęcie, pojechał na poszukiwanie Tercewa, do mieszkania jego ojca, duchownego „ojca Nikanora,” proboszcza jednej z przedmiejskich cerkwi.

Ale Siergiej, piąta latorośl tego rodu, po wypędzeniu z uniwersytetu i powrocie na łono rodziny, rzadko bywał w domu, i ani rodzice, ani siostry nie wiedziały, gdzie jest obecnie. Obiecano go szukać i przysłać do pana prezesa.

Ztamtąd ruszył Wacław do Jermołowa.

Był to bogaty kupiec, trochę lichwiarz. Zastał go na progu domu. On sam, gruby kacap, w zatłuszczonym tułubie i lisiej czapce, a obok niego równie gruba — i w futra otulona małżonka—oboje z miotełkami w ręku. Przed domem stał ogromny ich ryży ogier w sankach.

Pozdrowili się i Jermołow oznajmił:

— My z Katinką do bani się wybrali.

— Nie zatrzymuję. Wstąpię jutro. Chciałem uregulować rachunek tysiąca rubli, które u was, Maksim Teodorowicz, wzięła moja żona.

— Wy będziecie płacić, Winczesław Serwerynowicz? dajcie pokój!—zachnął się kacap.

— Dlaczegoż nie? Zawsze za żonę odpowiadam!—odparł Wacław z uśmiechem.

— Nie trzeba, nie trzeba. Żona nie powinna pożyczać, a jak pożycza, to niech sama płaci—z grubym śmiechem odparł stary, sadowiąc się na sanki.

Wacława uraził ten śmiech i ton. Zrozumiał, że sprytny oszust, korzystając z gwałtownej potrzeby Saszeńki, bez miłosierdzia obdarł ją na procentach i dlatego nie chciał, by on rachunek regulował. Rzekł tedy dość sucho:

— Na ten raz będzie po mojemu. Jutro rano będę u was i interes załatwię. Do widzenia.

— Jak chcesz, miły mój! Jak chcesz!—zakończył Jermołow, i rozjechali się.

Wacław wrócił do domu i zastał zupełne bezkrólewie i Saszeńkę w najgorszym humorze.

Obiad nie był gotów, mieszkanie źle sprzątnięte, dzieci osowiałe i głodne, służba rozstrojona. Saszeńka nie ubrana, nadąsana, przyjęła go opryskliwie.

— Patrz, co się tu dzieje i powiedz, czy tu można żyć!—napadła na niego.

— Spodziewałem się tego, po usunięciu Pełagiei. Zanim ją wypędziłaś — trzeba się było zastanowić.

— Nie wspominaj mi tej wiedzy i zamiast moralizować, daj radę. Ja tu nie zostanę, jeśli ma być taki porządek!

— A no, weź jaką gospodynię do zarządu domem.

— Byłeś u Tercewa?

— Byłem, alem go nie zastał. Ma się tu zgłosić.

— Gospodynię radzisz? A znasz jaką?

— Skądże? U mnie w sądzie nie bywają takie kandydatki.

— Masz humor do żartów. Ja nie. Niby najstosowniejby było dostać jaką ubogą krewkę. Może ty masz w swojej rodzinie coś stosownego.

Ruszył ramionami.

— Skądże ci ta myśl przyszła?

— Masz ton, jakby to było coś obraźliwego.

— Nie, ale to nie ma sensu.

— Dlaczego?

— Bo z mojej rodziny nikt tu nie przyjedzie.

— Bo co?

— Bo tu jest dla nich za zimno.

Spojrzała badawczo, czy żartuje, ale miał twarz bardzo poważną i smutną.

— Tyś jednak nie zmarł dotychczas.

Lekki uśmiech przemknął mu po rysach i spojrzał na nią czule.

— Tyś mi była słońcem—rzekł.



— Et, ten mi prawi madrygały—wyrzekła niecierpliwie, przechodząc do jadalni.

Zasiedli do obiadu.

— A gdzież dzieci?—spytał zdziwiony.

— Będą jadały odtąd w swoim pokoju. Nie będę ich musztrować. Jest bona od tego, a ja chcę mieć choć u stołu spokój.

Nie śmiał zaprotestować, ale ścisnęło mu się serce na widok tylu pustych miejsc. Brakło mu dziecinnego hałasu i szczebiotu.

Po chwili ozwał się po francusku:

— Jermołow bardzo niechętnie przyjął moje pośrednictwo. Musiał okropne zedrzeć procenty?

— Nie wiem. Nie umawiałam się.

— Dlaczegoż tak się bronił, obstawał, żebyś ty sama płaciła?

— Tak? A no, to mi daj pieniądze. Sama załatwię.

— Jak chcesz. Nie cierpię tego bydlęcia i nie rozumiem, jak ty do niego trafiłaś.

— Pieniądze trzymają się takich.

— Tak. Złoto i błoto to nierozłączna para. Po rozpatrzeniu stu spraw, niby miłosnych, dziewięćdziesiąt ma za grunt pieniądze.

Mówił to obojętnie, myśląc o swym fachu jurysty, ale Saszeńka bystro na niego spojrzała i po chwili roześmiała się.

— Chyba Jermołow miłości w swe operacye nigdy nie wmiesza.

— To nie, ale z ilu on miłości skorzysta.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju, lokaj wyszedł i zaraz wrócił.

— Przyszedł pan Tercew, mówi, że go barin wzywał.

— To dobrze. Poproś go do gabinetu.

— No, chwała Bogu — rzekła Saszeńka. — Oswobodzi mnie od dwóch przynajmniej. Ciekawam, jak wygląda. Przyjdę mu się przypa-  
trzeć.

Wacław dopił resztę likieru, pocałował ją w rękę i wyszedł z ciężkiem sercem.

— Żebym jej nie znał, nazwałbym potwo-  
rem! — myślał. — Ale ona dzieci kocha, tylko za piękna jest, zanadto świetna, żeby się małostkami zajmować. No, Tercewa ją dopilnuje, nie dam dzieci zmarnować.

Wszedł do gabinetu i krytycznie spojrzał na przyszłego mentora.

Był to wąły, blady, z rzadkim zarostem, niskiem czołem i zwierzęgą szczęką młodzi-  
niec, ubrany nieporządnie, z czupryną, jak strze-  
cha po burzy. Oczy miał zielone, zimne, szy-  
dercze i zuchwałe, usta wąskie, sarkastycznie  
uśmiechnięte, postawę pełną niebdałej dezin-  
woltury. Wstał na powitanie i rzekł z lekkim  
ukłonem:

— Podobno pan mnie chciał widzieć, więc  
jestem.

Wacław zrażony od razu powierzchownoś-  
cią, odparł zimno:

— Tak. Miałem zamiar powierzyć panu  
pod opiekę dwóch moich chłopców, ale to są  
małe dzieci, może dla pana za małe. Potrze-  
bują więcej dozoru, jak nauczyciela z uniwer-  
syteckiem wykształceniem. Zresztą wymagał-  
bym, żeby kierunek wychowania był pod moim  
nadzorem.

Twarz Tercewa skurczyła się i zadrgała.

— Małych dzieci nie doglądałem nigdy.  
Spełnić mogę, co i ile mi będzie polecane, a co  
pan mówi o kierunku, to nie rozumiem, jaki

ma sens. O ile pojmuję, mam uczyć chłopców czytać i pisać, gramatyki i rachunków, przygotować do gimnazjum, poza lekcjami chodzić z nimi na spacer, pilnować zabaw, czytać im bajki—czyli być domowym guwernerem jak jest mój kolega Zwierow u gubernatora.

— To Zwierow jest pana kolegą? Bardzo porządny chłopak.

Tercew się roześmiał.

— Każdy jest porządny, gdy ma co jeść—odparł.

— Ja powiem raczej, że każdy porządny człowiek ma co jeść.

— Wygodny aksyomat moralistów, którzy zawsze byli syci — odciął Tercew. — Albo pan zna, co jest głód? Głód nauki, głód stanowiska, głód swobody i woli, głód swobodnego głosu nawet. Takie głody, które człowieka zmieniają w kanalię, na którą potem wszyscy pluja i łajają!

— Wybacz pan, ale jestem z fachu sędzią i ludzką nędzę i występki dobrze znam. Na poniewierkę człowiek sam zasłuży, tylko tego nie uznaje, z natury będąc niesprawiedliwym.

W tej chwili Saszeńka weszła do gabinetu. Tercew się na nią zapatrzył, wstał i ukłonił się—nagle spokorniały.

— Czy umowa już zawarta? — spytała z uśmiechem.

— Dotąd nie! — odparł Wacław. — Filozofowaliśmy.

— No, na to będzie dość czasu potem. Teraz najważniejsze, czy pan Tercew ma czas i ochotę zająć się chłopcami? To są urwisze, którym trzeba ostrej ręki i trzeźwego kierunku. Ofiaruję panu wynagrodzenie takie, jakie po-

biera Zwierow u gubernatora i mieszkanie i utrzymanie. Jeśli zgoda, od jutra zająłby pan swój obowiązek.

Wacław chciał coś rzec, ale mu przerwała:

— Szczegóły potem się omówią. Czy przyjmuje pan?

— Przyjmuje! rzekł Tercew, zupełnie innym, pokornym tonem.

— A zatem jutro czekamy pana.

Było to zakończenie audyencji. Tercew zrozumiał, ukłonił się i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Wacław zawołał oburzony:

— Ależ, Saszeńka, tyś mniej go badała, jak lokaja. A to ma być przewodnik dzieci. Zasady jego są krańcowe, wygląda na skończonego anarchistę.

— Ty zawsze fantazyujesz. Taki on, jak wszyscy. Zresztą będziemy go mieli na oczach, i jak sobie coś niestosownego pozwoli — wygonimy. Jest czem się turbować. Zawsze lepiej chłopców utrzyma i pokieruje, jak ty. Potem pójdą do szkół. Te wszystkie twoje kierunki, zasady, to mrzonki! Czy ty dzisiaj nie pójdziesz do klubu?

— Nie mam ochoty. Rozstrojony jestem. Wolałbym spędzić z tobą wieczór.

— A ja właśnie wychodzę. Nadzieja Pietrowna przysłała po mnie. Chora jest, prosi, żeby ją odwiedzić. Idź do klubu, bo znudzisz się sam w domu.

— Westchnął i po chwili milczenia rzekł apatycznym głosem:

— Może pójde — potem!

Po chwili sam został w domu. Długi czas

siedział zamyślony u biurka, patrzył na papiery urzędowe, ale mu się pracować nie chciało. Wstał i poszedł do pokoju chłopców.

Już leżeli, ale starszy jeszcze nie spał i poznawszy go, usiadł w łóżku i rzekł:

— Chodź, papasza i powiedz, czy to prawda...

— Co takiego? — spytał, siadając obok niego.

— Że ja polak?

— Kto ci to mówił?

— Mamasza. Ona zawsze na mnie krzyczy: „Ty przekłeta polska małpo”, a dziś, gdym trochę potrafił Nataszę, dała mi w twarz i powiedziała: „Ty, mierzawiec, nie rusz małej, bo ci zedrę tę skórę polaczka”. Po co ona mnie tak nazywa, mnie wstyd—i Kola się ze mnie naśmiewa i Borys od gubernatorów powiada, że ja świnią, bo ja się w świńskim kraju rodził. Ja im za to zęby powybijam!

Blady, oniemiały ze zgrozy Wacław patrzył na tego swego syna, najbardziej ukochanego z trojga i milczał, a chłopak rozdrażniony, z błyszczącymi oczami, czekał od niego poparcia, obrony, przed obelgą polskiej narodowości.

A ojciec, co mógł rzec wobec słów matki?

— Uspokój się, Alosza — rzekł wreszcie smutnym głosem.—Ja jestem polak, a przecie mnie tu szanują i poważają, a Polska wcale nie świński kraj, ale ruska prowincya i ty tam będziesz miał majątek — i jak będziesz dobrze się uczył, to na przyszłe wakacye zawiozę cię tam, żebyś poznał moje rodzinne strony. Spij, Alosza, to żaden wstyd i hańba być polakiem.

I odszedł, nie mogąc znieść wzroku dziecka.

Tej nocy postanowił koniecznie kupić w kraju majątek, spędzać tam wakacje, dzieci ratować. Nazajutrz Saszeńka zażądała pieniędzy dla Jermołowa, więc dając je, rzekł:

— Moja najdroższa, przygotuj się, że zaczęną bardzo się rachować i skąpić i na te pieniądze, które mi brat na Nowy Rok wypłaci, nie rachuj. Za granicę na lato nie pojedziemy i mebli nowych nie sprawimy. Trzeba zbierać.

— Po co? Dla dzieci? Przecie masz ubezpieczone życie w czterdziestu tysiącach. Bez grosza nie zostaną.

— Ale ja za życia chcę dla nich jeszcze coś uczynić. Kupię majątek.

— Wcale nieżyły projekt. Masz coś upatrzonego? Gdzie?

— U nas w kraju, koniecznie. Alosza mi wczoraj ciężką rzecz powiedział. Za obelgę sobie ma, gdy go polakiem nazwą—mój syn!

— A ty go chcesz zrobić polakiem. Po co? Większy honor przecie ruskim być. Ale majątek tam kupić i owszem. Interes świetny. Fomow cuda opowiada, co on na tych handlach majątkami zrobił. Podobno, że w rok można grosz na groszu zyskać.

— Nie o zysk mi chodzi — mruknął niechętnie. — Fomow był urzędnikiem, a ja chcę być obywatelem.

— Bądź sobie, czem chcesz, byleś mnie tam nie ciągnął. Ja tam z tobą nie pojedę!

— Dlaczego?

— Posłuchaj, co Fomow opowiada o tej dziczy.

— Jeśli zdanie ci Fomow wyrabia, to milczę.

— Zdanie mam swoje własne, ale więcej

wierzę, co do Polski w bezstronność Fomowa, jak w twoją i gnić tam na obczyźnie nie myślę.

Ale tobie ani kupować ziemi, ani pojechać tam nie bronię, bo rozumiem, że tobie może tam być przyjemnie.

Zamilczał, czując, że nigdy się nie zrozumieją i z ciężkiem sercem odszedł do swego zajęcia.

Tegoż dnia Tercew wprowadził się do domu, zajął pokój Pełagiei i dzieci wziął pod swoją opiekę. W jakiś czas potem urzędowe sprawy powołały Barcikowskiego do Petersburga. Zabawił tam dłużej, jak zamierzał, goszczony uprzejmie u Morduchowa, wszędzie dobrze przyjęty i widziany.

Napomykał minister, że czeka na niego awans do stolicy i ta nadzieja, pochlebstwa niższych, uprzejmość wyższych, zatarły potrosze zgryzotę, która powoli, ostatnimi czasy ogarniała mu duszę. Jakby odżył i pokrzepił się.

Załował tylko, że nie zastał młodego Morduchowa—wyjechał był do dóbr na prowincję. Za powrotem zastał i w domu lepszy duch. Saszeńka była wesoła i czuła, dzieci dużo sformiejsze, zamiast niezdolnej francuzki, zastał podstarzałą siostrę Tercewa, zarządzającą domem.

Na twarzach, w obejściu znajomych, kolegów, czuć było, że wieść o awansie już ich doszła. Był fetowany, witany z czcią uniżoną. To mu do reszty zatarło czarne myśli i był, jak nigdy swobodny i wesół, rad ze siebie i doli. Fomowa nie zastał już w Tule i dowiedział się, że musiał wyjechać napowrót do błogosławionej polskiej ziemi po okropnej pijatyce i nocnych burdach.



— Ten jest niepoprawny!— rzekł do żony, gdy się o tem zgadało pewnego wieczora.

— Szeroka natura!— odparła, dość pobłażliwie.

— Ale, nie mówiłaś mi, że Morduchow Maksym tu był. Zapewne złożył ci wizytę?

— Był. Bardzo żałował, że ciebie nie zastał, ale się spodziewa, że po Wielkiejnocy przeniesiemy się do Petersburga.

— Mam nadzieję. Cieszysz się?

— Naturalnie. Zbrzydł mi już tutejszy partykularz i plotki.

— Wiesz! Zdaje mi się — ale nie jestem pewny, żem widział Pełagieję w Petersburgu.

Ruszyła ramionami tylko.

— A Tercew? Dobrze się sprawia?

— Dobrze. Swoje robi i nie narzuca się.

Wszystko tedy było pomyślnie. Dopiero po kilku tygodniach, około Nowego Roku, raz na ulicy, zaczepił go Jermołow:

— Cóż, Winczesław Sewerynowicz, tak wam pilno było płacić za żonę—i ustalicie.

— Jakto?—zdumiał.—Tegoż dnia wręczyłem żonie pieniądze, boście woleli się z nią rozrachować.

— Aha, żona wzięła pieniądze! No — to i dobrze.

I poszedł stary kacap dalej.

Wieczorem Waclaw zagadnął żonę:

— Czego się Jermołow mnie czepił dzisiaj o te tysiąc rubli Pełagiei? Przecie zapłaciłaś?

— Naturalnie! — odparła i oczy jej błysły gniewem.—A! stary szelma śmie się upominać!

Umilkła i patrzyła ponuro przed siebie.

Po chwili rzekła:

— Wiesz ty! Jabyśmy chciała pojechać na

parę dni do Petersburga. Przed świętami i karnawalem trzeba się ogarnąć, dla dzieci coś przywieźć.

Skrzywił się i spytał:

— Ileż ci na to trzeba pieniędzy?

— Nic! Cóż ty myślisz, że nie mam oszczędności? Ty sobie zbieraj na majątek!

Ucałował jej rękę, wdzięczny za tę pocztową myśl, a ona mówiła dalej:

— Mam bilet wolnej jazdy — mieszkanie nic mnie nie będzie kosztować, bo mnie ciotka frejlina do siebie zaprosiła. Zabawię najwyżej tydzień.

— To jedź, Saszeńka, jeśli ci to miłe!

Uśmiechnęła się dziwnie, ale nie była już wesółą tego wieczora, aż się zdziwił i zrobił uwagę.

— Mam migrenę! — zbyła go.

Nazajutrz wyjechała. Dom wydał mu się pustynią, wieczorem zamiast iść do klubu, wstąpił do chłopców, żeby wejrzeć, co Tercew porabia. Zastał u niego Zwierowa. Obadwaj palili papierosy i dysputowali zawzięcie. Kola przeglądał jakąś książkę z rysunkami, Alosza, podparłszy brodę pięściami, przysłuchiwał się rozmowie studentów.

— Tak ja ją za spodnicę... i oberwał! — usłyszał Wacław dalszy ciąg opowiadania Tercewa, a Zwierow przerwał śmiechem.

— Na ulicy? To ci było pilno!

Przerwali na wejście Barcikowskiego, ale on na nich nie patrzył, ale na Aloszę, który nie ucieszył się na jego widok, nie skoczył z powitaniem, tylko się zmarszczył, jakby z niechęcią, że przeszkodził mu słuchać zajmującej rozmowy.

— Dobry wieczór, panom! Dla czego pan nie każe dzieciom spać się kłaść, panie Tercew, a sami nie przyjdziecie na gawędkę do salonu. Co ty za obrazki przeglądasz, Kola?

Dzieciak pokazał mu książkę. Była to ilustrowana anatomia. Studenci spojrzeli po sobie, wstali i Zwierow począł się żegnać.

— Zagadaliśmy się — rzekł — i nie uważyłem, że tak późno. Spokojnej nocy.

Gdy wyszedł a chłopcy poszli spać, Barcikowski odezwał się:

— Jakże panowie mogą prowadzić przy dzieciach nieprzystojne rozmowy i dawać im do rąk takie książki?

— Albo to źle, że wcześniej życie poznają? Żona pańska mi przykazała: niech lepiej za wiele znają, niż za mało. Ale zresztą, albo oni co rozumieją? — odparł Tercew lekceważąco.

— Ale ja podobnego systemu nie aprobuję i usilnie pana proszę o większą uwagę, co dzieci słyszą i na co patrzą. Takie książki powinny być pod kluczem!

— Dobrze! Zamknę! — zamruczał Tercew. Wacław wyszedł do pokoju chłopców.

— Pacierz zmówiliście? — spytał Aloszy.

— Tak — odpowiedział, ale jednocześnie Kola zawołał:

— Nie. My już dawno nie mówimy pacierza.

— Dlaczego kłamiesz? — ostro zagadnął Aloszy Wacław.

— A ty także do cerkwi nie chodzisz! — odparł chłopak zuchwale.

— Tobie nie do tego. Ty masz pacierz odmówić codziennie.

Nadąsany Alosza przeżegnał się, zwrócił ku ikonom i zaczął prędko recytować modlitwę, ale w połowie się zająknął, urwał i rzekł obojętnie:

— Będzie dosyć. Zapomniałem resztę, a ty mi nie przypominisz, bo nie umiesz i tyle!

Wacław zawołał siostrę Tercewa i kazał jej codzień pilnować pacierza chłopców, a na pożegnanie rzekł surowo do Aloszy:

— A ty bądź posłuszny i milcz, bo jeśli jutro gładko pacierza nie zmówisz, różgą ci przypomnę.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Alosza się odezwał:

— Co jemu, odszczepieńcowi, do naszego pacierza?

— Cicho, modlić się! — zawołała Ter-cówna.

Chłopcy ziewając powtarzali słowa, gdy na progu stanął Tercew, z papierosem w zębach, cynicznie uśmiechnięty.

— To ci dopiero głupia forma. Czajnik z takiej samej blachy, co i ta ikona. Ty, Wiera, nalej mi herbaty do czajnika, ja się do niego pomodłę.

Alosza parsknął śmiechem.

— Siergiej — nie bluźnij. Bóg cię skarze! — oburzyła się Wiera.

— Głupia ty. Żeby kto miał karać — to trzeba, żeby istniał. A Boga ludzie wymyślili, żeby pieniądze głupim wyciągać i rządzić! Wszystko to brednie. Wyplunął papieros w stronę ikony i cofnął się do swego pokoju.

Nazajutrz, gdy Wacław przyszedł, by dopilnować pacierza, Alosza rzekł:

— Każesz się modlić, to czemu kiedy panna Boga nie pokażesz? Co ja mam gadać i kłaniać się niewiedzieć do kogo i komu.

Rozdrażniony do żywego, Wacław krnąbrnego chłopca wziął za kołnierz i pierwszy raz w życiu uderzył. Ale to lekarstwo odniosło zły skutek. Alosza począł wyć, krzyczeć, kąsać go po rękach i jak zły kot się bronić.

— Nie masz prawa mnie do modlitwy pędzić. Ty nie naszej wiary, i uczyć jej nie możesz.

Naturalnie Wacław go pokonał i chłopak dostał taką bastonadę, że umilkł, w kąt się zaszył i tylko złemi oczami, z podełba na ojca patrzył, ale odchodząc, zrozumiał Wacław, że teraz tylko grozą i biciem wolę swą utrzyma, że jego pierworodny wrogiem mu jest.

— Byle Saszeńka wróciła, wygonię Tercewa. To on gubi te dzieci! — myślał oburzony.

Ale Saszeńka wróciła w różowym humo-rze, i na opowieść roześmiała się pobłaźliwie.

— Patrzaj, jaka tęga sztuka z chłopca. Nad wiek rozwinięty, szelma! Zobaczysz, że będą z niego ludzie. A cóż Tercew zawinił? Toć smarkacz prawdę rzekł. Wierzysz ty bardzo w Boga, albo ja?

Machnęła ręką i dodała wesoło:

— Albo i to, czy nie prawda, że ty naszego pacierza nie umiesz? Daj ty pokój z tem apostołstwem. Patrz, com przywiozła z Petersburga.

I pociągnęła go do sypialni, zaczęła wypakowywać kufry, opowiadać, gdzie była, co widziała. Miała nowe suknie, masę cennych drobiazgów, zabawek, prezentów świątecznych.

— Musiałas się chyba zapożyczyć!—zawołał zdziwiony.

— Bądź spokojny. Płacić za mnie nie będziesz—odpowiedziała swobodnie.

— A no, i jeszcze mam dla ciebie dobrą nowinę—dodała po chwili.—Widziałam dyrektora tulskiego banku i mówiłam z nim o twojej chęci nabycia majątku tam w zachodnim kraju. A on mi na to: niech Winczesław Sewerynowicz kupuje ten swój własny rodowy majątek. Jego brat źle płaci, zaległość duża, co rok publikujemy i ledwie się od sprzedaży wykręca. Teraz dobiera dziesięć tysięcy i chyba pierwszej raty nie wytrzyma. Prosiłam go, żeby dał nam wiedzieć, jeśli licytować będą. Widzisz, jak ja o tobie myślę.

Milczał, zwiesiwszy głowę. Dawno przestał dzielić się z nią temi myślami.

— Cóż, nie cieszysz się?

— Jeszczem nie kupił—odparł wymijająco. Ruszyła ramionami lekceważąco.

— Ty z każdym dniem robisz się nieznosięjszym—mruknęła.

Popatrzał na nią smutno i odszedł do swego gabinetu, gdzie się pogrążył w pracy.

Od pewnego czasu w tym jednym tylko pokoju, przy tem biurze, nad papierami urzędowymi, czuł się u siebie w domu i mniej się dęczył.

---

## VII.

Pierwszych dni stycznia Filip przyjechał do Tuły z pieniędzmi dla brata.

Ciężki to był grosz, pożyczony w banku, na majątek już bezmiernie obciążony. To też nie wesołe myśli towarzyszyły Filipowi w tej drodze. Rachował i rachował, nie mogąc w żaden sposób braków zapłacić, lub wynaleźć źródła nowych dochodów.

Gdy stanął na miejscu, ulokował się w hotelu, przenocował i nazajutrz bardzo rano poszedł do brata. Dom cały spał, ale Wacław już pracował w gabinecie przed wyjściem do sądu. Na widok brata ucieszył się widocznie i z wyciągniętymi ramionami szedł ku niemu. Ale już w pół drogi ręce mu opadły, twarz stężała i powitał głucho.

— Ależ to niespodzianka. Ty tutaj!

— Powinienem był się stawić wczoraj. Czyś się mnie nie spodziewał. Przyjechałem z pieniędzmi.

— Ach, tak. To termin. Siadajże, proszę. Zaraz każe podać herbaty. Okrutny mróz.

— Okrutny. Już chyba i Sybir nie zimniejszy. A u nas zima nadzwyczaj lekka. Orać można.



— Tak, różnica klimatu wielka. A gdzież twoje rzeczy—każę znosić.

— Zajechałem do hotelu.

— Poślę po nie lokaja. Przecież nie odmówisz mi gościny.

— Dziękuję ci. Nie warto. Dziś wieczorem chcę wracać.

— Do jutra zostaniesz—nie puszczę cię.

— Bardzo mi spieszo, bo w domu babka niedomaga, i roboty dużo na łąkach ze sprzedażą siana. Żonie ciężko dać rady samej, a i tak tydzień będę w drodze.

— Przed jutrem cię nie uwolnię. Jeden dzień spędzisz z nami. Czy i to dla was za ciężko?

— Mogę zostać, jeśli ci tak bardzo o to chodzi. Ale taki obcy jestem.

— O wiem! Obcymi być chcecie. Ale chodzi mi o to, żebyś poznał moją żonę, może wtedy trochę w zdaniu o mojej zbrodni złagodniejesz.

Filip nie odparł. Podano herbatę. Wacław wyszedł na chwilę, zapewne, żeby żonę uprzedzić i wrócił, prowadząc za rękę Nataszę. Dziecko odziedziczyło piękność matki i było tak śliczne, że Filip mimowoli uśmiechnął się do niej.

— Idź, pocałuj stryja!—rzekł Wacław.

Na dźwięk obcej mowy Filipowi zgasł uśmiech na twarzy. Pochylił się do dziewczynki i pocałował bez zapachu.

— Diadia, a przywiózł ty konfektów?—zagađnęła.

— Wstydz się, Natasza! — upomniał ojciec.

— Bo diadia Maksym przywiózł, jak tu był—szczebiotała dalej.

— Ileż ma lat?—spytał Filip.

— Cztery.

— Tyle, co moja najstarsza.

— Dwoje masz?

— Troje. Chłopak się urodził w Adwencie. Seweryk, dla pamięci ojca nieboszczyka, a starszy Kazio, jak teść mój.

— Twój teść zawsze służy u tego hrabiego?

— Zawsze. Dzięki Bogu, pełen sił jeszcze.

— Musiał sporo zebrać przez tyle lat?

— Hrabiemu zebrał. To też go tam bardzo poważają. Nie kradł, więc z kądzeby zbierał dla siebie.

— A ja zawsze trwam w zamiarze kupienia tam u nas majątku. Na wiosnę chciałbym już mieć jaką własność i wakacye tam spędzić.

— To nie trudno. Handlują tam teraz majątkami, jak końmi. Nowonabywcy nie bardzo się aklimatyzują.

— W maju pojedę na targi do Wilna i może mi coś dogodnego się trafi, — rzekł Wacław zamyślony.

W tej chwili drzwi się otwarły i weszła Saszeńka.

Filip wstał, a ona, nie czekając przedstawienia podała mu rękę z ujmującym uśmiechem i przemówiła po francusku.

— Jakże się cieszę, że pana poznaję. Witam całym sercem.

Filip poczerwieniał. Ledwie rozumiał po francusku; mówić nie potrafiłby, ale był istotnie olśniony pięknością jej, czarem całej postaci, głosu, ruchu.

Ona też przyglądała mu się ciekawie i rzekła swobodnie:

— Ale pan do Wacława niepodobny. Nigdybym was za braci nie miała z twarzy.

— Mów po swojemu Saszeńka — wtrącił Wacław.

— O, i owszem. Będzie nam swobodniej. U was tam pewnie dużo po rosyjsku mówią?

— W urzędach obowiązkowo, więc trochę umiem.

— A okolica tam u was ładna, bogata?

— Mnie się zdaje, że najpiękniejsza na świecie.

— A tu się panu podoba? Był pan kiedy w Petersburgu?

— Nie, nigdy nie byłem. Od nas mało kto bywa w Petersburgu, chyba za koniecznym interesem. Do Warszawy jeżdżą.

— Ach tak! — uśmiechnęła się i po chwili spytała:

— A u pana w domu ludno?

— Babka stara, żona, troje dzieci.

— A siostrę przecie macie?

— Siostra w Warszawie nauczycielką.

— Ot, powinaby do nas kiedy zajrzeć. Muszę ją sobie koniecznie zaprosić. No, skończył pan herbatę, proszę do salonu na kawę.

— Służę... tylko wpierw chciałbym interes z bratem załatwić.

— Dajże pokój, będzie czas — protestował Wacław, ale Filip był uparty i już pugłares dobywał.

— Chwila czasu i będzie po wszystkim — rzekł. Odrachował pieniądze, Wacław mu zwrócił jego weksel, istotnie chwilę to trwało, i o-

detchnął Filip. Pokończył ostatecznie z bratem rachunki. Najchętniej teraz byłby umknął z tego domu, ale bratowa wzięła go pod ramię i uprowadziła do salonu.

— Pokażę panu naszych chłopców—rzekła, wychodząc na chwilę.

Filip rozglądał się po salonie, zbyt niewyposażonym i pomyślał, że ich Gródek był nędzą w porównaniu do tego mieszkania.

— Nie długo już tu zostanę—rzekł Wacław—po Wielkanocy osiadam w Petersburgu. Dostałem posadę w ministeryum i rangę radcy stanu. Będę najmłodszym sowietnikiem, jaki kiedykolwiek był w Rosyi.

Za drzwiami rozległ się łopot, szepty, śmiechy, potem gniewny głos Saszeńki i weszli chłopcy.

— Ma pan tych urwiszów—rzekła, popychając ich przed sobą.

Alosza popatrzał na obcego z podełba niechętnie i ukłonił się sztywno, Kola podszedł bliżej i przyglądał się ciekawie, potem śmiechem parsknął.

— Czego się śmiesz, głupi. Przywitaj stryja—upomniwała matka.

— Ja się śmieję, bo Borys przysięgał, że polaki sierścią są obrośnięci, a ten diadla ogolony.

Filip, który się był do dziecka nachylił, gwałtownie się cofnął, poczerwieniał i oczy mu zabłyśły.

— Idźcie precz!—burknął Wacław zmieszany.

— Boże, jakie to głupie—zawołała Saszeńka.—Poczekajcie, zawiezie was ojciec latem do Polski.

— Ja nie chcę! — ze złym wyrazem oczu rzekł Alosza.

Filip wstał.

— Zabieram ci czas! — zwrócił się do brata. — Idziesz do swego biura o tej porze, przeprowadzę cię, bo muszę do hotelu wstąpić.

— Na obiad prosimy. Niech pan się nie ośmieli odmówić! — rzekła uprzejmie Saszeńka.

Uklonił się, podała mu rękę z uśmiechem.

— A zatem do widzenia.

Uklonił się znowu i wyszedł z bratem.

Gdy się ubierali w przedpokoju, doleciał ich z pokoju chłopców krzyk, razy, bitwa. Wacław otworzył drzwi i ujrzeni obydwóch chłopców, tarzających się po ziemi, wyrywających sobie włosy i kułakujących.

Alosza powalił młodszego, okładał go pięściami i sapiąc, wściekły wołał:

— Ty sam polak przeklęty, polska świnia, polska swołocz. Ty sam!

Kola nawpół zduszony, gryzł go po rękach i kopał nogami. Wacław porwał Aloszę za kark i oderwał od ofiary.

— Siergiej Nikanorowicz—począł wołać.

Ale Tercewa nie było, ukazała się Saszeńka.

— Patrz, co się dzieje—rzekł.—No, już ja za powrotem z tobą się rozmówię!—zwrócił się groźnie do Aloszy.

Potem drzwi zamknął, obejrzał się za bratem, ale Filipa już nie było.

Jak z ognia wyleciał z tego domu, wpadł do hotelu, rachunek zapłacił, kazał się wieźć na kolej. Pociąg nie prędko odchodził, ukrył się w sali trzeciej klasy, w ciemny kąt i przesiedział tak nieruchomy kilka godzin.

Odetchnął, gdy dzwonek się rozległ, gdy pociąg ruszył.

Późnym wieczorem powrócił do domu. Muszka czekała na niego — i po oczach poznała, że źle widział, źle odczuł.

— No, skończyłeś przecie. Już ich więcej nie zobaczysz. Wyrzuć ich z myśli i wspomnienia! — rzekła, całując go w skronie i oczy. Nie mów babce tylko i dodaj jej otuchy. Ona się tak lęka, że nie wytrzymaś ciężarów do płacenia.

— Muszę wytrzymać! — odparł, prostując się. — O ten rok się nie boję. Zboże sypie dobrze, siana na sprzedaż mnóstwo. Byle zdrowie i Bóg od jakiej klęski uchował. Dam rady!

— Biedaku, ale kiedy ty spocznesz i odechniesz.

— Jeszcze mnie zacznij żałować! A ciębie nie mam? A tyś mi nie szczęście? W duszy mi zdrowo i silnie.

Przygarnął ją ramieniem do siebie.

— Alboż ja zginać mogę z tobą — jedyna! — szepnął.

Jak niegdyś, tak i teraz w Gródku, w sypialnym pokoju stało dziecinnych łóżeczek troje, tylko Muszka inną była, jak pani Barbara.

Ona ze sobą do starego domu wniosła, jakby słońce, śpiew, barwę. Miała w sobie nieprzebrany skarb wesołości, energii młodej i jasnego uroku. Żeby nie ona, Filip dawnoby zmarniał i zginął.

Chłopak, gdy ten ciężki obowiązek wziął na barki, pracował rzetelnie, ale zdziczał do reszty, mówić prawie zapomniał, nigdzie się nie pokazywał, ludzi się lękał. Nigdyby się nie ośmielił zdradzić z uczuciem — wciągnąć ją za

sobą do tej ciężkiej doli. W Ładyniu przestał zupełnie bywać. W głębi duszy stary Barcikowski rad był z tego. Myślał, że chłopak jest uczciwy, że Muszka o nim zapomni, marzył dla niej o lżejszem życiu. Zaczęli się też zgłaszać konkurenci, córkę woził po wieczorkach, chciał, aby się rozbawiła.

I raz tak w noc, w śnieżycę wracali z jakichś imienin, kopiąc się w zaspach, gdy się zetknęli z Filipem. Jechał jednokonką, sam, bez furmana, zjechał im z drogi i uklonił się milcząc.

— A ty gdzie się tłuczesz, na taki czas?— spytał go Barcikowski.

— Z łąk wracam. Stogi dzielilem trzy dni. Na święto zajrzę do domu, do babki — odparł posepnie.

— Trzy dni na błotach—szepnęła Muszka.

— Nie dojedziesz do Gródka w tę zawieję. Trzymaj się nas, toć błądzisz — wołał Barcikowski.

— Trochę zbłądziłem, ale teraz już trafię.

— Nie, nie! — zawołała Muszka — nie trafi pan. Tatusiu, on zmarźnie!—błagalnie szepnęła do ojca.

— Waryat jesteś. Masz jechać za nami, albo znać ciebie nie chcę. Słyszysz Filip, ja ci każę! Ruszaj naprzód, już ja cię dopilnuję. Jutro rano pojedziesz do domu.

Chłopak w milczeniu usłuchał. Myślał, że przecież nie on im się narzuca, więc może wstąpić i na Muszkę popatrzeć trochę. I tak pojechał.

W Ładyniu czekała na nich wieczerza, ciepło było, zacisznie, dziewczyna popatrzyła na niego pierwsza, z taką radością, tak ser-



decznie, że mu dusza roztajała i mówić począł. A mówił staremu o swej doli i pracy, opowiadał, jak mu idzie, co zrobił, co zamierza.

Muszka usiadła obok niego i słuchała uważnie, raz wraz nań spoglądając, aż gdy stary wyszedł, by sobie fajkę przyrządzić, rzekła z cicha:

— Dla czego pan u nas przestał bywać?

— Po co ja komu!—mruknął.

— Mnie pana brak.

— Albo to prawda. Pani kpi ze mnie.

— Nie. Radabym pana widzieć codzień, jak dawniej. Czy kiedy kpiłam z pana?

— Nie, ale teraz co innego. Mnie już nie tu miejsce, jeszczebym zawadzał i pan Barcikowski źleby o mnie pomyślał. Mnie trzeba być samotnym.

— Nie trzeba. Trzeba do nas przyjeżdżać. Ojciec źle nie pomyśli, on pana bardzo kocha. Czy panu źle z nami?

Podniósł na nią smutne, nieufne oczy i głowę pokręcił. Zaśmiała się serdecznie.

— Co za tchórz z pana. Nie wolno dać duszy zamarznąć, bo kwiaty na niej nie porosną. A w pana ciężkiej doli trzeba przecie kwiatów.

On wciąż na nią patrzył, jakby śnił, a bał się obudzić, więc milczał. Pochyliła się ku niemu, nagle spoważniała i rzekła cichutko:

— Nie patrz biedaku tak smutno. Zła ci dola sądzona i niewdzięczny mozół. Ale na silne barki los ciężary składa, a jak zechcesz, toć sam nie będziesz, ja ci pomogę.

Chłopak z głuchem stęknieniem do kolan jej runął i tak ich Barcikowski zastał. Może się

spodziewał takiego epilogu, bo się bardzo nie zdziwił, ani okazał zmartwienia.

— Ano—rzekł spokojnie — nietylko bogatym trzeba szczęścia, ale i biednym. Ma ci chłopcze tajone kochanie odbierać moc, to ją sobie bierz. Wiem, że jej nie zdradzisz i nie zawiedziesz, znam cię i cenię. A fortuna—w Bożej mocy, a szczęście, w waszem ręku. Pilnujcie go!

Oni też słowa te zapamiętali i strzegli. Życie było ciężkie i pracowite, pełne zawodów i klęsk, utrapień i niedostatku, ale szczęście uchowali całe, jasne, pełne..

Po powrocie z Tuły, Filip, jeśli można jeszcze, w dwójnásób pracował. Z wiosną począł karczować nieużytki, czyścić z łóz łąki, kopać rowy. Urodzaj zapowiadał się świetny, zbiór był pomyślny, powiększone ciężary popłacił, nabrał otuchy na przyszłość. Ale następna zima przyszła śnieżna i gniła, z wiosną pola wyszły czarne i spleśniałe, masy wód wiosennych zamuliły łąki, strach zajrzał w oczy Filipa. Jesienią dla popłacenia ciężarów musiał się zapożyczyć, potem dla oddania tych długów zboże tanio sprzedać. Od niezdrowo sprzątniętego siana zaczął z wiosną padać inwentarz, zasiewy szły ciężko. Na sprzęt, procenta, raty bankowe, musiał sprzedać krestencję na pniu i został na cały rok bez grosza. Wlokło się tak do jesieni, on oszczędzał, kobiety dokazywały cudów wydobywania coraz to nowych, drobnych dochodów—łatało się jakoś.

Wtedy to, po paru latach milczenia, przyszedł list od Wacława. Pisał, że osiadł w Petersburgu, że zebrał trochę grosza i chce koniecznie kupić majątek, że zaś dowiedział się

w Banku, że brat źle płaci raty, przypuszcza, że się na ziemi nie będzie mógł utrzymać, a zatem proponuje mu kupno Gródka, na imię najstarszego syna Aleksego, aby majątek nie wyszedł z rąk rodziny do obcych.

Filip przeczytał list głośno babce i żonie, głos mu się trząsł, a gdy skończył, spojrział na nie. Muszka poczerwieniała z oburzenia, pani Anna ostudzona przez wiek, odpowiedziała:

— Odpisz mu zaraz, że nie sprzedasz nikomu, a jemu tem bardziej. Że gdyby nas klęski znękały i trzeba było ustąpić, to lżej będzie zmarłym przodkom i nam, żywym robitkom, gdy tu osiadzie obcy. Zaraz odpisz!

I Filip napisał. Gdy tegoż dnia zostali sami z Muszką, ona objęła go za znękaną głowę i całując, pieszcząc, spytała:

— Czy wytrzymasz, biedaku?

— Nie wiem, ale to wiem, żem do sił ostatnich trwał. Kto obliczy, co rok następny da? Może stokrotne plony, może klęskę ostateczną.

Znowu przeszła zima i nadeszło dobre pomyslnie lato. Filip odetchnął. Stodoły były pełne, obrodziło w Gródku na podziw. Stary Barcikowski we wrześniu, gdy do nich wstąpił i gospodarkę obejrzał, rzekł do pani Anny:

— Ten Filip ma łaskę u Boga. Zeszłego roku tom myślał, że przepadł, a teraz znowu stoi na nogach i mocuje się. Ha, widać, że zdzierży.

Otucha wstąpiła im wszystkim w serca i stary dom poweselał. Na Boże Narodzenie przyjechała Jadwisia z Warszawy, zebrali się wszyscy w gromadkę około pani Anny, pełno było dziecinnego szczebiotu i śmiechu młodych

a w długie wieczory rozmowy szły żywo i snuto plany na lepszą przyszłość.

I oto w sam dzień Trzech Króli klęska przyszła.

W nocy zbudziło Filipa gwałtowne stukanie w szybę, zerwał się, skoczył do okna.

— Kto tam? Czego?

— Wstawajcie, panie! — rozległ się zdyszany głos nocnego stróża — gumno gore!

I zgorzało wszystko. Pełne stodoły i odryny z sianem, sterty, obory, stajnie. Z całego Gródka został dom mieszkalny i czworaki — reszta była brudną kupą rumowisk wśród całunu śniegu w wianku osmalonych drzew.

Uratowane bydło błąkało się, rycząc, po ogołoconych z płotów podwórzach, a w domu śmiertelnie poparzony, osmalony, przytłuczony belką leżał Filip.

Barcikowski przybył nazajutrz, ocenił stratę i zaraz obliczył, że była to klęska, z której niema powstania.

Parę tygodni wątpiono nawet o życiu Filipa, ale śmierć go obeszła, zostawiła go Muszce. Gdy wstał z choroby i wyszedł, jak błędny obejrzał pracę teścia. Uprzątnięto rumowiska, zwieziono z lasu budulec, ale bydło wyprzedać musiano dla braku paszy i ruina wyzierała z każdego kąta.

Filip wrócił do domu i poszedł do babki.

— Co teraz babuniu każecie mi robić. Trzeba ustąpić z placówki! — rzekł głucho.

Staruszka osłabła, znękana, siedziała milcząc, tylko łzy poczęły jej biedz po bruzdach twarzy. Pierwszy raz widział ją płaczącą, zrozumiał, że i ona straciła nadzieję.

— Ja może przedtem umrę — szepnęła — ale ty?

— Jam trwał do ostatka. Widział Bóg, widzi matka z nieba, widzicie wy. Ludziom, com winien, zapłacę i w sumieniu będę spokojny. Babunia mi nie powie, żem winien!

— Nie. Spełniłeś wszystko!

Muszka weszła do pokoju, zrozumiała o czem mówią i rzekła:

— A może jeszcze ratunek się znajdzie. Mówiliśmy z ojcem. Gdybyś do Banku pojechał, o ulgę poprosił — możebyśmy jeszcze wytrzymali. Ojciec dał mi tysiąc rubli. Spróbuj, biedaku.

— I ja mam pięćset rubli! — rzekła pani Anna. Jadwisia mi je dla ciebie zostawiła. Jedź, spróbuj, Filip sekundę pomyślał.

— Toć dzisiaj piętnasty marzec. Za tydzień targi Bankowe. Trzeba jechać.

I pojechał. Na wyjeździe obiecał Muszce, że ją o złem, czy dobrem uwiadomi natychmiast d-peszą. W Petersburgu był raz pierwszy w życiu. Z trudem wystarał się o audyencyę u dyrektora banku. Przyjął go człowiek jeszcze młody, o twarzy bardzo zimnej i ostrej. Gdy usłyszał interes, popatrzał na proszącego, pomyślał chwilę — sięgnął do notatnika, i spytał, przewracając kartki.

— Barcikowski — Gródek?

— Tak. Miałem pożar w styczniu, i dlatego proszę o ulgę na pół roku. Połowę należności zapłacę zaraz. Proszę powstrzymać sprzedaż.

— Zapłać pan. Obiecować napewno nie mogę. Muszę się porozumieć z zarządem. Może uwzględnią pana położenie!

— Ale termin targów za dni parę.

— We wtorek.

— Kiedwż otrzymam odpowiedź?

— Zgłoś się pan pojutrze.

Ton był tak zimny, obojętny, że Filipa smagał jak biczem. Nie umiał prosić. Zaciął zęby i wyszedł.

W ciężkiej męce przebył te dwa dni, i znowu poszedł kołatać do potentata.

— Pan dyrektor wyjechał już do Wilna! — oznajmiono mu w kancelaryi.

Wtedy zrozumiał podstępny manewr i odmowę. Poszedł wprost na kolej i wziął bilet do Wilna.

— Stało się. Niema Gródka. Pojadę — zobaczę, kto go kupi. Depeszy nie wyślę jeszcze. Będzie czas na cios śmiertelny babce. Niech się ludzi jeszcze dzień.

Opanowała go tępa rezygnacya. Już się nie bronił, nie szarpał — był ranny śmiertelnie — umierał. Byle prędzej, tem lepiej.

Popołudniu pociąg przychodził do Wilna.

Martwym wzrokiem spojrzał Filip po wieżach, wyszukiwał wśród nich Ostrobramskiej i głucho jęknął w rozpacznej modlitwie. Pociąg stanął.

Filip wsiadł do dorożki, kazał się wieźć wprost do banku. Gdy stanął przed gmachem, dużo ludzi stamtąd wychodziło i nagle drgnął — ujrzał przed sobą brata.

I Wacław krok się cofnął na jego widok, ale wnet się opamiętał; dziwny, zły uśmiech przemknął mu po wargach:

— Trochę zapóźno przybywasz! — rzekł

*Barcikowscy.*

szyderczo. — Gródek już mój i ja go utrzymam, lepiej od ciebie.

Filip nic nie odpowiedział. Był blady, mgłą mu zachodziły oczy — popatrzał na brata, odwrócił się i zataczając się, poszedł bez celu przed siebie.

Późnym wieczorem zaszedł do Ostrobramy. Lampka, jak gwiazdka, świeciła przez zamknięte kraty kaplicy, ulica była pusta. Piersią do kamieni położył się Filip i wypłakał tam cały swój ból i mękę i lata znoju i rozpacz i rozbiście. Przechodnie widzieli w cieniu rozkrzyżowaną postać, słyszeli jęk i łkanie, ale się nikt nie dziwił i nie zatrzymywał.

To kamienie, i ta ulica, i ci ludzie znali takie łzy i jęki, a Ta Cudowna, w tej malutkiej kaplicy, już miliony takich bólów uleczyła—miliony dusz wygoiła!

---



## VIII.

Miał tedy Wacław, co chciał, wziął odwet nad rodziną, która go odtrąciła. Byli tedy w jego ręku, na jego łasce.

Teraz on ich ukarze wspaniałomyślnością.

Filipa zostawi z rodziną na gospodarstwie, żadnego dochodu i zapłaty nie chce, babce zapewni spokojną, wygodną starość bez troski, siostrze nie pozwoli po świecie się poniewierać.

Tylko postawi jeden warunek, by mógł z dziećmi wśród nich spędzać wakacye, by go napowrót do swego grona przyjęli. Teraz muszą się poddać, boć bez dachu są, bez gniazda, bez sposobu do życia. Potem uznają jego dobre chęci, pogodzą się z faktem dokonanym, i wreszcie przyznają mu rację.

Takie myśli pieścił, jadąc wprost z Wilna, po załatwieniu formalności, do swego majątku. Już dawno nie był tak swobodny i wesół i pełen dobrej myśli. Układał, co im powie, jak przekona babkę, jak uszczęśliwi Filipa. Kołysany temi marzeniami, wsiadł na pocztową bryczkę, kazał żywo jechać—spieszno mu było. Gdy stanął nareszcie na miejscu, przykro go

dotknął widok pogorzelej, martwota na podwórzu, nawet psów nie było widać.

Gdy bryczka zajechała przed ganek, z za węgla wyjrzał chłop jakiś i apatycznie przypatrywał się zmęczonym koniom.

Wacław wysiadł, wszedł do przedpokoju. Chłodno było i pleśnią czuć było, cisza też panowała grobowa. Rozebrał się z płaszcza, wszedł do salonu. I tu ten sam chłód i cisza. Chrząknął, echo rozległo się po domu. Meble stały sztywno na swoich miejscach, kurz je pokrywał, jakby nikt tu nie sprzątał, nie bywał.

Wszedł do jadalni. Bufety pozamykane, na stole takiż kurz, a na środku pęk kluczków. Tknął go dziwny niepokój, a zarazem śmiałość.

— Ej, jest tam kto?—zawołał.

Głuche echo po pustce, a potem cisza.

Tedy się zawrócił do przedpokoju, na ganek i spostrzegł gapiącego się chłopca.

— Słuchaj-no! A gdzie państwo?

— Niema. Już czwarty dzień, jak wyjechali.

— A starsza pani gdzie?

— Także pojechała. Wszyscy! Ja domu pilnuję.

— Dokąd wyjechali?

— Do grafskiego Ładynia. Ze wszystkim! Teraz Wacław wzburzony, drżący obejrzał cały dom—i zrozumiał.

Wyjechali na zawsze—wszyscy. Opróżnili mu dziedzictwo. Nie wzięli nic ze sobą, oprócz odzieży i osobistych sprzętów i ołtarzyka domowego z sypialni. Zresztą zostawili mu wszystko—jak od zarazy uszli.

Skończywszy przegląd, stanął w oknie sa-

loniku, patrzał na bezlistny sad, którym marcowy wicher miotał—i rozmyślał długą chwilę.

Potem się wyprostował, wyszedł na ganek i zawołał chłopca, który flegmatycznie drwa rąbał.

— Ekonom tu jest?

— A jakże.

— Zawołaj go tutaj.

Zjawił się prędko Juchno stary, który wiek w Gródku zbył, stanął w progu i mileczał.

— Ty tutaj rządzisz?

— A ja, proszę pana.

— No, to ci oznajmiam, że ja tu teraz panem.

— Wiem, pan Filip mi powiedział. Kazał panu wszystko zdać.

— Przedewszystkiem, gdzie domowa służba, gdzie stary Mateusz, lokaj?

— Mateusz, kucharka i służąca poszli za młodym panem. Jeżeli pan pozwoli, moja żona usłuży i zgotuje, zanim się nowych zbierze.

— Dobrze. Przyślij żonę. Konie w stajni są i bryczka?

— Wszystko jest, co było, pan Filip nie wziął.

— Na jutro rano niech konie będą gotowe do wyjazdu, a tymczasem dom ogrzać i światło mi dać. Będę spał w gościnnym pokoju.

Juchno wyszedł i po chwili ukazała się ekonomowa. Gdy się krzątała po domu, zagadnął ją Wacław.

— Żyje ta stara w oficynie. Jakże się nazywała?

— O Bazyłowej pan myśli. Żyje. Z państwem też pojechała, dzieci niańczy.

— To dziw, że wyście zostali—zaśmiał się szyderczo.

— Pan Filip kazał. Na św. Jan dopiero rok się kończy.

— Aha, roku dobywacie! — mruknął niechętnie.

Ekonomowa napaliła w piecach, podała samowar, posłała łóżko, chciała nawet gotować wieczerzę, ale on odmówił i odprowadził ją do domu.

Wolał być sam ze swemi myślami.

Marcowy wicher szalał na dworze, sowy piszczwały po starych szpalerach, niewesoły był to wtór do tych myśli.

Późno w noc położył się, czując wielkie zmęczenie po drodze, ale zasnąć nie mógł i bardzo rano wyszedł na podwórze.

Juchno już był w stajni, konie stały gotowe.

— Zaprzęgać! — rozkazał pan lakonicznie.

— Wedle obroku śmiem pytać, czy pan daleko jedzie?—rzekł ekonom.

— Nie trzeba obroku. Można kupić w drodze.

Po chwili bryczka stała pod gankiem. Wacław otulił się w swój płaszcz mundurowy i wsiadł na nią.

— Ruszaj do Ładynia! — mruknął.

Gdy zajechał przed dom administratora, otworzył mu drzwi stary Mateusz i przez sekundę się zawahał, ale Wacław żywo wysiadł, wszedł do sieni i rzekł:

— Powiedz panu Barcikowskiemu, że mam ważny interes, i proszę o chwilę rozmowy.

Mateusz otworzył mu drzwi do biura gdzie

Barcikowski zwykle przyjmował interesantów, i rzekł:

— Proszę poczekać! pójde oznajmić — pan w gorzelni.

W kancelaryi, na podłodze bawiło się dwoje dzieci. Dziewczynka może sześćioletnia, i o parę lat młodszy chłopak. On miała jasne włosy Muszki, i jej figlarne oczy — on czarną czuprynę Filipa, i jego zuchwałe oczy. Na widok wchodzącego, przestali ustawiać na ziemi ołowianych żołnierzy, i jęli mu się ciekawie przyglądać.

— Niema dziadzia! — rzekła wreszcie dziewczynka.

— A gdzież ojciec? — spytał.

— Tatko pojechał do roboty, konno.

— A mamusia?

— Mamusia kazała mi Kazika bawić, żeby nie krzyczał, bo prababunia chora.

— A jakże ty się nazywasz?

— A Dziunia przecie! — odparła rezerolutnie.

Tu ją chłopak skubnął za rękaw i spytał niby cicho.

— Dziunia — to nie nasz? Żołnierzy nam pokradnie.

— Cicho — upomniata go. — Nie można tak mówić, bo cię do więzienia wsadzą.

W tej chwili drzwi się trochę przemknęły, i ozwał się trzęsący głos starej Bazyłowej.

— Chodźcie, rybki, na kaszę! Mamusia woła.

Dzieci porwały się z ziemi, i pobiegły, ale od progu dziewczynka wróciła, nieufnie spojrziała na obcego i pozbierała w fartuszek żołnierzy.

Gość stał plecami odwrócony i bębnił w szybę. Zastał go tak Barcikowski, już uprzedzony, kto przybył, do rozmowy przygotowany.

— Czem mogę panu służyć?—spytał, wskazując fotel gościowi.

— Myślę, że pan wie, co mnie sprowadza?

— Zapewne interes. Gródek graniczy z Ładyniem, może zachodzi jaka kwestya z racyi powodzi.

— Pan raczy żartować. Ja przyjechałem się spytać, dlaczego dom zastał pusty. Dlaczego oni wyjechali?

— A dlaczegoż mieli pozostać? Stracili majątek — muszą na cudzem pracować. Hrabia dał Filipowi posadę, z czasem mnie zastąpi. Kawałek chleba mieć będzie.

— Ależ ja nigdy nie myślałem z Gródka go rugować. Dla ich dobra kupiłem tę ziemię. Mam środki do postawienia majątku na dobrej stopie — nie żądałbym od niego żadnej dzierżawy, żadnych rachunków. Byłby panem samodzielnym.

Barcikowski długi swój wąs kręcił, w ziemię patrząc.

— Bardzo kuszące stanowisko dla pasożyta. Filip zaś niczyjej łaski, ani dobrodziejstwa nie potrzebuje. Pracował na swoim, ile sił, teraz niech pan tam pracuje.

— Dlaczegoż babkę zabrał. Takie samo prawo ja mam do niej, jak i on. Dlaczego ją z jej kątów wydarto. Nie wierzę, aby ona chętnie Gródek opuszczała.

— To też ją paraliż tknął na wieść o sprzedaży. Pół ciała ma martwe, ale kazała się tu przywieźć. Nie chciała tam zostać.

— To nieprawda! — wybuchnął Wacław.

— Czy pan chce sam spytać o to? — zimno, podnosząc groźne oczy, rzekł Barcikowski. Obecnie ciężko jest chora, ale przy życiu zostanie, a jak wyzdrowieje, przyjedź pan i spytaj.

Wacław się zerwał z fotelu.

— Czego wy odemnie chcecie ostatecznie? Czy w tem zaślepieniu żadna logika was nie przekona? Za kogoż mnie macie? Nienawiść mam od was za wszystkie najlepsze chęci i czyny.

— Oni od pana nic nie chcą, nawet pamięci. Jeśli zaślepieni — bądź pan jasnowidzącym, czyń wedle swej woli i chęci. Oni także wedle siebie postępują. To ich prawo. Ustąpili panu z ojcowizny — rachunki skończone.

— Ja chcę widzieć Filipa!

— Niema go.

— A pan, człowiek starszy, doświadczony, nie chce zrozumieć, że oni żyją utopią, fikcją! Że ich zasady nie mają racyi bytu, że służą sprawie nieżywej, nierozsądnej, bezsensownej. Do czego ich te mrzonki doprowadzą—do ruiny, do zguby!

Barcikowski też wstał, wyprostował się, głowę hardo podniósł, twarz jego nabiegła ogniem.

— Mylisz się pan. Te mrzonki doprowadzą ich do szczęśliwej śmierci, dadzą im spokój sumienia. Ja im służyłem całe życie i daj im Boże taką pogodę w duszy i taką pewność wieczności dobrej, jaką ja mam — nad grobem stojąc. Jestem stary i doświadczony, i dlatego właśnie za te utopie i fikcje ich błogosławię—spokojny, że nie poznają, co hańba, zdrada i nędza nad nędzę, wstyd i wyrzuty sumienia.



Jeśli ich sprawa umarła, niech kochają umarłą. Po śmierci daje Bóg zmartwychwstanie, a po hańbie — piekło! Idź pan swoją drogą. Masz swoją rodzinę, a o tej, co tu w Gródku była, zapomnij, nie masz jej.

— Pan się zapomina. Ja tu nie po krytykę i morały przyjechałem. Wiem, co czynię i do żadnych win względem rodziny się nie poczuwam. Sądziłem, że pan moje dobre pobudki zrozumie, ale wobec takiego skrajnego fanatyzmu, widzę, że się nie porozumiemy. Więcej już ustępstw dla rodziny nie zrobię — i żegnam!

Uklonił się sztywno i wyszedł. Konie zastał pod gankiem, wsiadł na bryczkę i kazał jechać do powiatowego miasteczka.

W tydzień potem w obecności urzędników i dwóch popów — bo z sąsiadów nikt nie przybył — i gromady chłopów, odbył się akt „wwo-  
du” do Gródka, nowego dziedzica: Aleksego Barcikowskiego.

Chłopi, spojeni siwuchą, wrzeszczeli „hurra”, urzędnicy płaszczyli się przed rangą „radcy stanu”, popi rozpływali się ze szczęścia nad nowym dziedzicem, „który przywróci w ten wydarty Rosyi kąt światła prawdziwej wiary, której sam jest wyznawcą”. Całe towarzystwo było rozczulone, dumne z tej zdobyczy dla idei, której byli tu apostołami.

A Wacława ogarnął zły duch jakiś, był jak pijany zemstą. Wezwany depeszą z Tuły, zjawił się nowy rządca, Iwan Siemionowicz Brechunow, sprytny kacap; wypędzono resztki służby polskiej, artiel moskiewska przybyła do budowli i murów folwarku, stare zamczysko darował nowy dziedzic cerkwi — na kaplicę.

Zawrzało we dworze nowem życiem i ruchem. Budowano, grodzono płoty, przerabiano dom, kupowano inwentarze, przewracano ogród, rąbano sad stary, zakładano nowy.

Wacław zabawił miesiąc, pieniędzy nie żałował, roboty szły piorunem. Gdy wreszcie wyjechał, Brechunow dalej pracował z energią, mając srogi rozkaz, aby „barin” zastał wszystko skończone, gdy z rodziną przybędzie na ferie do domu.

Gródek zmieniał się z dniem każdym.

Nigdy w tę stronę nawet nie zbliżał się Filip, ale plotka roznosiła szeroko te zmiany i nowości i pomimowoli słyszał, co się tam działo. Pani Anna żyła, ale nie odzyskała władzy w prawej ręce i nodze, do fotelu była przykutą, złamana tym ostatnim ciosem, milcząca, jakoby i duszą na pół zmartwiała.

Godzinami siadywała bez ruchu i głosu, a potem nagle podnosiła głowę, patrzyła gdzieś w przestrzeń i mruczała posepnie.

— Mówię, że ty Boże wszystko widzisz i wiesz! Chyba nie, chyba nie!—kończyła rozpaczonym szeptem.

W takie chwile Muszka przysyłała jej Dziunię i Kazika.

Dieciaki przynosiły ze sobą książkę wytartą, opierały się o jej kolana, podnosiły główki i rozjaśnione oczki do jej surowej twarzy—i Dziunia szczebiotała:

— Niech prababunia wysłucha naszej lekcji. Najprzód ja!

— Nie, ja najprzód, bo zapomnę! — protestował Kazik.

Twarz pani Anny traciła ponury wyraz, brała książkę:

— Mów-że Kazik. Tylko uważnie, powoli! Dzieciak zamysłał się i zaczynał:

„Jeszcze Bolesław był małym dziecięciem  
Już czuł w sobie żądzę sławy.”

Gdy się zaciął, podpowiadała mu Dziunia. Ta wszystko umiała — nawet już litery znała, a gdy matka przeczytała raz wiersz, już go mogła na pamięć powtórzyć.

Pani Anna z dziećmi temi zapominała swe bóle.

W maju, pewnej niedzieli, przyszli do Filipa chłopci z Gródka. Dzień był ciepły, więc na ganku go zastali z żoną, odpoczywającego i bawiącego się z dziećmi.

— Maksym! — powitała Dziunia starego gospodarza, który na czele gromadki szedł, i skoczyła ku niemu.

— Detyno ty nasza, maleńka! — rozculił się chłop, na ręce ją biorąc, a chłopcy poczęli, patrząc na to, głowami trząść.

— Ot, nasze—takie sprawiedliwie nasze! — mruczeli.

— Dzień dobry, ludzie! — pozdrowił ich Filip, pomimowoli rad, że ich widzi. Każdy coś u niego ukradł, jak mógł to oszukał, jak potrzebował łaski, wszystko obiecywał, jak już nie potrzebował, nie nie dotrzymał — znał ich do gruntu, miał z nimi sprawy i kłótnie, kłął ich codzień przez długie lata—ale ucieszył się, gdy ich ujrzał.

Długie bo lata przeżyli razem — o miedzę na jednym polu, pod jednym słońcem — trudem, troską i pociechą czarnej ziemi rodzicielki zbratani. Znał ich ojców i dzieci, chaty i dobytek — historię każdej rodziny—swoi bo byli.

— Dzień dobry, panoczku. Przyszli popatrzeć na was, czy zdrowo Bóg chowa, jak wam się powodzi. Dawno nie widzieli.—Zatęsknili!...

Wiedział, że kłamią—że mają interes, ale się do nich uśmiechnął, a Muszka wyszła, by im poczęstunek narządzić.

Stary Maksym obdarzył Dziunię woreczkiem orzechów, a Filip jął ich rozpytywać o rodziny, o urodzaje, o paszę — kardynalne kwestye chłopskiego żywota.

— Pasze—machnął ręką Maksym — paszy niema, zgubili nas te cudze ludzie, co najechali. Nowotne pany!...

— To panoczku, mór najechał, nie ludzie!—dodał drugi, spluwając.

— No, no, nie plećcie! Tóć oni wasza wiara, wasza mowa. To ja wam cudzy, lach—a oni ruskie, jak i wy. Mało wy lachów klęli, jak ja panował.

— Żeby tego powietrze, kto kłął. A my nie ruskie, my „tutejsze.” A wiara jednakowa, to i co! Wielki honor, żeby pan z chłopem w cerkwi pokłony bił. Pan w kościele, chłop w cerkwi, tak było od wieku.

— Dla tego i pany delikatniejsze, i sumienie inne mają!—rzekł inny.

— A co do mowy—co pan mówi, że jednaka, to czemuż oni naszej całkiem nie rozumieją. Co który z naszych zagada do tego kacapa, co teraz tam rządził—to on: *Won „chachol,” skatina, gawari pa ruskie.*

— Dobrze jeszcze, jak w mordę nie da!—mruknął któryś.

— Ot tobie i jednaka mowa. A my jego, to mało co rozumiemy, chyba żołdacy odstawne, a baby to już ani słowa...—splunął Maksym.

- A pan, jest?—spytał Filip wahająco.
- Niema. Był miesiąc, ale go nikt nie widział, wilkiem na człowieka patrzy. Taki to i pan cudzy—z miasta—co jemu chłop. Takci i zgubi nas.
- Dlaczego?
- To pan nie słyszał, że nam Załuże odebrali.
- No, toć dworskie pastwisko.
- My odrabiali. Toć nasza jedyna pasza! Gdzież było się podzieje?
- Pewnie chcą drożej?
- Całkiem nie dają — i z lasu nas chcą wypędzić.
- Las ma serwitut.
- To co? Taki ruski pan—wszystko prze-  
robi.
- Być może! To was tego ścisnęli.
- I co z tego będzie, panie! — żałośnie spytał Maksym.
- Ano, dostaniecie paszę, jak ustąpicie z lasu.
- To znaczy albo bez drow, albo bez bydła. Bodaj-że ich nagła śmierć nie minęła.
- Już my i tak, jak durne, chodzimy. Do dworu już i ścieżka zarosła. Ani lekarstwa, ani rady, ani prośby. Kacapy dziewczki napastują, pijane łążą, okna biją, na ludzi z nożami napadają. Przez całe życie my tyle za szkody nie płacili, co przez tę jedną wiosnę. A pop to już nam całkiem na kark wlaźł, orze, jak wołami.
- A cóż on ma do tego?
- A jakże. On-że z panem do stołu siadał, zamek dostał na kaplicę, każe nam ją sta-

wiać. Tak tam po dworze łązi — jak gospodarz, a chce się pochwalić, jak państwo latem przyjadą — porządkiem. Drze z nas na malowanie, na złocenie, na różne pańskie przepychy!...

— Ot macie. Teraz lacha wam szkoda! — z uśmiechem smutnym rzekł Filip.

— Co pan głupstwo przypomina. Zdąrzyło się i panu kłąć: „psia krew, muzyk”, a taki pan serce do nas miał, przywyknienie! Ot głupia gadka: lach, lach. A od pradziadów jakoś ładzili się, a teraz co?

— Przywykniecie do nowych.

— Do jakich? Toć za rok inne będą. Pan myśli, że oni długo wytrzymają. Już jak stare pany wyszli ze dwora, to majątek, jak koń kaleka, pójdzie z rąk do rąk. Toć widzimy, co się robi w Głuchowie — dziesięć lat — ośm panów, i żyd na ziemi! Ehe, panie, już nas ludzie, sąsiedzi ot z Ładynia, z Mirnej, z Oziernicy zagabują po drodze, — „cóż wy Gródczanie, którego zmieniacie pana, a pamiętacie, czyje wy dzisiaj?” — Ot, co będzie, panie!

— Wasz długo posiedzi — mruknął Filip.

— A czy to pan już całkiem, żadnem prawem wrócić nie może. Żeby tak oni ze trzy razy się spalili, i w długi zaleźli, i rady dać nie mogli — nie wróciłby pan?

— Nie, jak umarli na ziemię nie wraca, tak i ja ni zagona tutejszej ziemi już mieć nie mogę.

Chłopi umilkli, zwiesili głowy. Zadumał się też Filip, rozmowę tą rozdrażniony, smutny bezmiernie.

A w tem młodszy chłop, o zaciętej, ostrej twarzy wystąpił naprzód i rzekł:

— No, to kiedy nie pan do nas, to my przejdziemy do pana. Niech się one nowotne same ostaną. My bydlę do Ładynia przeprowadzimy przez rzekę, pastwisko najmiemy, a ktoby z nas na Gródeckie pola z robotą poszedł, to ze wsi wyrzucimy. Stanie u grafa dla nas zarobku, stanie dla nas paszy, a oni niech sobie kacapów sprowadzają. Czy pan nas przyjmie?

— Trzeba pomyśleć, nie ja decyduję, ale sam pan administrator. Żebyśmy choć was pewny mógł być; obiecać teraz łatwo, a w żniwa i kijem was do odrobku nie wygonić. Mało wy mi za Załuże krwi napsuli.

— Teraz inna rzecz. My bez tej paszy zgubieni. Kontrakt, jaki pan chce, wydamy, cała gmina umowę zrobi. Pan jeszcze nas nie zna, jak my na „udry” pójdziem. Niech pan spróbuje to jedno lato.

— Mogę spróbować, ale jak mi wstyd przed grafem zrobicie — to się więcej na oczy nie pokazujcie, bo poznacie „laską” złość i pięść! No, teraz na chleb i sól was proszę.

— A kiedyż, panoczku, my wasze słowo dostaniemy? Bo to bydlę przepada z głodu?

— Dziś się z teściem rozmówię, jutro wam kontrakt przyślę, jeśli się na warunki zgodzicie, przywieziecie tu ze sobą starszyznę i pisarza, żeby umowę umocnili z urzędu i puszczajcie bydlę.

— Dziękuję panu. Oł, i ożyjem.

Pojaśniały im oczy, podniosły się głowy. Przepił do nich Filip wódką — czarka poszła z rąk do rąk — języki się rozwiązały, z za zę-



łów wrywała się zajadłość przybyszów, lub zuchwały, mściwy śmiech.

Musiał ich Filip hamować.

— Słuchajno — rzekł do Stefana Czujki, który o „czerwonym kogucie napomykał”. — Ty te myśli z głowy wyrzuć. Nie dajcie się zgubić, to słuszną rzecz jest, — ale od ognia wara! To i podle i głupie. Grzech ciężki — a potem pokuta ciężka w katorgach.

Chłop umilkł, bo go sąsiad w bok trącił, zaczęto mówić o sprawach gromadzkich, o nadziejach urodzajów, a potem, pożegnawszy setnymi pokłonami „swoich panów” — pokrzepieni na duszy i ciele — odeszli.

W następnym raporcie do Wacława, Brechunow zameldował:

„Sprawa z serwitutem leśnym źle się obróciła. Chłopi dostali paszę w grafskich majątkach i o żadnej zamianie słyszeć nie chcą. Najmu też ze wsi niema i parobcy wszyscy uciekli. Trzeba będzie na lato ludzi sprowadzić i maszyny, bo miejscowych ktoś zbuntował — i może być ze zbiorem kłeska.”

List ten przypadkowo pierwsza przeczytała Saszeńka i ledwie doczekała się powrotu męża z ministerjum, wnet się ozwała szyderczo:

— Już to z tym majątkiem toś śliczny interes urządził. Można było w przyjemniejszy sposób zatracić kapitał. Piętnaście tysięcy przez jedną wiosnę. Ładny to kraj, przyjemne stosunki — i po co — żeby się skompromitować u władzy!

— A to jakim sposobem? — zdziwił się,

— Ty zawsze jakbyś z nieba spadał. Szko-

*Barcikowscy.*

da, że więcej nie uważasz na to, co wokoło ciebie się dzieje. Tem kupnem zniszczyłeś wszystkie twoje zasługi. Mówią głośno, że natura wilka ciągnie do lasu — już ci teraz nikt nie ufa, gdyś tam wrócił między polaków. Karyera przepadła, głupcze.

Popatrzał na nią długą chwilę—i wybuchnął gorzkim, szyderczym śmiechem.

— Ja wróciłem między polaków! Cha, cha! To doskonałe.

— Czyś się upił? Czego się śmiejesz?

Pośhamował się, milcząc, przeszedł się po pokoju i mówił już zimno.

— Ja się żadnych intryg nie boję. Żaden szpieg nie znajdzie w mem życiu plamy, w mojej służbie odstępstwa. Niech kto wątpi, pojedzie tam, do tego majątku, niech ze świecą szuka polskości i polaka. Ci, co to mówią—nie znają tego narodu.

— Jakto?

— Bo żaden trędowaty nie byłby tak wyklęty z pośród zdrowych, jak ja z pośród nich. Na pustyni prędzejbym znalazł towarzystwo—niż tam—w tym moim niby kraju.

— Więc po cóż tam lałeś! Żyć tam nie będziesz, intraty też nie zobaczysz.

— Pojedziemy tam na lato.

— Tylko nie ja.

— Saszeńka, zrób to dla mnie.

— Ani myślę. Wiesz przecie, że z Morduchowymi jedziemy do Kisłowodzka.

— Wolisz Morduchowych, niż mnie!

— Co za głupi frazes. Naturalnie, że wolę swoje towarzystwo, niż nudy w obcym, dzikim kącie, gdzie tam, mówisz, że cię mają za trędowatego. No, i muszę zwalczać intrygi, które

pod tobą kopią. Zabieram ze sobą Aloszę i Nataszę, a tobie zostawię Kołę. Już dość tego, że ci pozwalam tam jechać. To bardzo niebezpieczne, ale jesteś stare dziecko—trzeba ci dogodzić.

Wiedział, że nie ustąpi od swej woli, że prośbą narazi się na gniew i niełaskę—więc nie rzekł słowa więcej—i odszedł do pracy.

Rzadko teraz spędzał wieczory w domu, życie rodzinne wcale nie istniało. Ona miała swoich znajomych i stosunki, on grywał w karty lub siedział w klubie. Chłopcy chodzili już do szkół. Natasza miała bonę i guwernantkę—o Wacława mało kto się troszczył—dzieci prawie nie widywał i bardzo obcy mu byli. Tercew zawsze dozorował chłopców. Saszeńka zabierała go z Tuły, był u niej w łaskach i lekceważył pana domu, który go nie cierpiał, a nie mogąc wygnać—unikał.

Miedzy Aloszą i ojcem rozwinął się zupełnie wrogi stosunek, nie odzywali się do siebie nigdy. Kola giętki i pochlebnik, całował go i pieścił w nadziei upominku, za oczami wydrzeźniał. Natasza była laleczką, której rzadką piękność podziwiali wszyscy, robiąc co można, by zepsuć charakter, wychować salonowy, zbyt ko-wny sprzęt.

Przyjaciół, we właściwem tego słowa znaczeniu, Wacław nie miał. Koledzy i znajomi, z którymi żył, dzielili się na trzy kategorie: takich, którzy go potrzebowali; takich, którzy się go bali, i takich, którzy mu zazdrościli. Może najżyczliwszym był dlań stary Morduchow, który już zasiadł w radzie państwa, ale stary ogłuchł i zdziecinniał, jak wielu, którzy syci

lat i chwały — powołani byli na to najwyższe stanowisko.

Morduchow junior nie ożenił się. Zawsze piękny, elegancki, rej wodził w salonach i buduarach, a u Barcikowskich był prawie domowym, a w łaskach u Saszeńki.

Czasami, bardzo rzadko, bywał Wacław u Hłowicza.

Ten z grubym funduszem, okazałą emeryturą i rangą generała wyszedł ze służby.

Mieszkał we własnym domu i trzymał cały harem — nad którym rej wodziła jakaś Julia, rosyanka z Rygi—owładnąwszy zupełnie starym rozpustnikiem.

Pełno tam było jej rodziny, kobiet najgorszego gatunku, drabów-kochanków, zwanych braćmi i kuzynkami—nawet było troje małych dzieci, których ojcostwo wmówiono Hłowiczowi, czem się on nadzwyczaj rozczulił, łożąc na mamki i niańki i naturalnie mając za spadkobierców.

Całe to towarzystwo było tak wstrętne, tak cyniczne, tak podłe, że Wacław parę razy zaledwie na rok odwiedzał krewnego przez obowiązek za wychowanie. Jemu przecie zawdzięczał karierę.

Pewnego dnia przypomniał sobie, że od Nowego Roku nie był u starego i poszedł go pożegnać przed wyjazdem na letnie ferye.

Został go w szlafroku, zajętego stawianiem pasyansów i w złym humorze.

— A, to ty. Dobrze, żeś przyszedł. Wyobraź sobie, jaki mam kłopot. Julia chce mnie porzucić. I pomyśl, jak ja się bez niej obejść?

— Dostanie wuj drugą!

— Gadasz. Ja do niej przywykłem. No, a najgorsze—i dzieci chce zabrać. Rozumiesz—moje dzieci!

Wacław ruszył pogardliwie ramionami.

— Pewnie chce pieniędzy od wuja!

— Wcale nie. Chce, żebym się do Rygi wyniósł i ożenił się z nią.

— To trochę za wiele!

— Ano—widzisz—ma trochę racyi. Chodzi jej o nazwisko dla dzieci! No — i ją mam na sumieniu. Trafia się jej dobra partya.

— Ale wuju, dla rodziny wuj tego nie może uczynić.

— Ja też się bronię. Może się rozmyśli. Ale to mnie gryzie. Przywykłem do niej!

Westchnął, i widocznie bojąc się, że ze chce mu dalej perswadować—spytał:

— No, a u ciebie co słyhać. Zdrowi wszyscy?

— Żona wyjechała do Kisłowodzka — a ja się lada dzień wybieram w nasze strony. Wie wuj, żem Gródek kupił?

— Kupiłeś? A gdzie ciotka, twoja babka?

— U Filipa.

— A onże gdzie?

— W sąsiedztwie, służy!

— Więc zbankrutował? A to smutne. Biedna ciotka.

— Z własnej woli poszła za Filipem. Ja bym ją był chętnie w Gródku zatrzymał.

Zawahał się i dodał:

— Ale oni wszyscy mnie odepchnęli. Znać i wiedzieć nie chcą.

— Ano, pewnie! — rzekł spokojnie Hłowicz.

— Wuj to znajduje naturalnem!

— A tyś ich nie rzucił. A Gródek z ich zgodą kupiłeś?

— Bank licytował, nie ja, kupiłby obcy. Ja dla nich kupiłem, a oni jak od wroga uciekli. Oni w tym Gródku nędzę cierpieli. Chciałem ich dobra. Zato tak mi nagrodzili!

Łowicz chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— Kiedyś raz z kraju wyszedł, nie trzeba ci było tam wracać. Masz tu stosunki, towarzystwo, rodzinę. Czy ci nie dosyć? A babki było z Gródka nie ruszać — i Gródek ci niepotrzebny. Co ty tam będziesz robić?

— Dla nich kupiłem, żeby spokój mieli. Przecie to zrozumieć mogą, że nie dla własnego interesu czynił. Czy wuj pisuje czasami do babki?

— Czasami! Już parę lat nie pisałem.

— Niechby wuj do rozumu im przemówił. Możeby wuja słowo coś wskórało.

Łowicz niespokojnie się poruszył.

— Tego się po mnie nie spodziewaj. Czyś oszalał? A czemu ja cię bronić mogę?

— Jakto? — zerwał się Wacław wzburzony. — Więc wuj moje życie i czyny potępia! Wuj? Za waszym śladem i przykładem szedłem!

— Ja cię nie potępiam. Cóż znowu? Żleś też nie wyszedł na mojej opiece, sądzę. Masz pozycję do zazdrości, rangę, order, fundusz. Czego ci braknie? Byłem przeciwny twemu małżeństwu, to prawda, ale i to ci się udało. Masz piękną żonę, dzieci, rodzinę i stosunki.

— Więc jeśli postąpił rozsądnie w karierze, a honorowo w małżeństwie, to dlaczego wuj nie chce do babki tego napisać?

Łowicz się zamyślił, młynka palcami kręcąc, wreszcie rzekł:

— Bo ty nie masz po co tam iść, ani do czego wracać. To są inni ludzie, i nie twoje wśród nich miejsce. To są polacy, a ty ruski. Trzymaj się swoich. Żebyś był jeszcze Gródka nie kupił, ale teraz?

Ręką machnął.

— Po coś ty tam laż, po co? — mruknął.

— Wuj nie rozumie, że mi Gródka było szkoda, żeby w obce ręce przeszedł. Kupiłem dla syna, żeby gniazdo w rodzie zostało!

— Twój syn, ani do Gródka wróci, ani w nim nie zostanie. To żadna karyera gospodarstwo. Syn twego brata tamby siedział, ale twój nie.

— Więc ja i moje dzieci nie mamy kraju!

— A nie. Bo ciebie jutro mogą „prze-mieścić” do Taszkientu, a twoje dzieci tam osiadą, gdzie ich urząd powoła.

— Więc wuj dowodzi, że w Polsce będą zawsze tylko polacy, a ruski tam nie postanie. Ładne zasady.

— Będą albo ruscy, albo polacy. Zapewne ruscy, bo tamci przed siłą ustąpić muszą. Ale ani się połączą, ani się pogodzą, ani żaden ruski tam nie będzie nędzy cierpieć i ziemię orać, bo to marna karyera! Sam powiedz, wytrzymałbyś ty w majątku tam?

Wacław milczał. Spuścił głowę i ponuro patrzył w ziemię. Wreszcie wstał i sięgnął po czapkę i rękawiczki. Gorycz nieznośna dławiła go za gardło, męka, że przed nikim wyznać nie może, co mu brak, co cierpi.

— Pojadę tam za tydzień! — rzekł zmęczonym głosem. — Ogromnie jestem przepracowany,



a myślę, że nigdzie tak nie wypocznę, jak tam. Niechby wuj mnie odwiedził!

— Ech, cobym tam robił. Nikogo nie znam! Wybiorę się chyba do morskich kąpieli, do Majorenhofu.

— Ale z Julią przecie wuj się nie ożeni!

— Wiesz, nie. Jakem się z tobą rozmówił, tom się rozmyślił. Człowiek życie, dyabli wiedzą, jak spaskudził, to prawda, ale żenić się z nią, na starość! Nie godzi się. Dzieciom zapiszę majątek, a nazwisko niech zostanie czyste. Mam przecie synowca na Białorusi, no i twoja babka żyje! Nie, nie ożenię się. Dziękuję ci, żeś przyszedł. Dobrze mi to zrobiło!

Wacław zbladł, popatrzał na starego bez słowa i wyszedł, jakby odurzony!

A Hłowicz, ani się spostrzegł, że go tą konkluzją spoliczkował!

Pojechał tedy nowy właściciel do Gródka i przez parę dni był rad z wakacyi. Kola dostał kuce, zaprzyjaźnił się z synami popa, bawił się i dokazywał, dwór był wyświeżony, Brechunow usłużny i gładki—wkoło cisza i lato. Zmęczony mózg Wacława wypoczywał, rozkoszował się samotnością i spokojem wsi.

Po tygodniu oswoił się z myślą, że rodzi na go nie chce, przemógł gorycz.

— Znajdę obcych — towarzystwo. Trzeba złożyć wizyty, zrobić sobie stosunki. Postanowił.

Ale Gródek miał mało sąsiedztw. Hrabskie dobra opasywały go wkoło, fortuna milionowa, licząca dziesiątki tysięcy dziesięcin.

Dwa tylko były domy obywatelskie o trzy mile Horby, Suszyckich — i Zbożna Milczyńskich. Od żydów kupców wypytał się, kto tam

mieszka. Suszyccy byli dwaj bracia. Jeden żonaty, drugi kawaler. Mieli się dobrze, chowali stado, bardzo ładne, żyli ze sobą w wielkiej zgodzie i jedności. Milczyńscy mieli troje dorosłych dzieci — dwie córki i syna, ale z tym coś złego się stało, bo już trzy lata, jak gdzieś przepadł. Stary Milczyński, bardzo honorowy pan, wszyscy go szanują i po radę do niego jeżdżą, a starsza córka, to podobno przyrzeczona Suszyckiemu, a młodsza to jakaś trochę chora.

Jeśli młody nie wróci—to Suszycki kiedyś Zbożnę obejmie, bo ta chora to za mąż nie pójdzie.

Zasięgnąwszy tych wieści, Wacław pewnego dnia wybrał się do Suszyckich, którzy bliżej mieszkali. Znalazał dwór porządny, ładne gazony i klomby przed domem, w sieni przyjął go lokaj w szarej liberyi, zdziwiony obcą twarzą i mundurem.

Wacław wyjął kartę i przez sekundę się zawahał. Karta brzmiała: „Sztatskij sowietnik Winczesław Sewerynowicz Barcikowskij”. Ale było za późno na poprawienie tej niezręczności—oddał ją lokajowi, który go wprowadził do salonu, i znikł.

Minęła długa chwila. Salon był ładnie umeblowany, fortepian otwarty, mnóstwo kwiatów, robota kanwowa na stole, pełno pism i albumów, na ścianach stare portrety. Snac żyli tu ludzie myślący i czynni.

Wacław rzucił okiem na otwartą książkę, obok roboty kanwowej: Dezydery Chłapowski, Kalinki.

W tej chwili drzwi w głębi się otwarły i wszedł starszy Suszycki, młody człowiek, o

inteligentnej twarzy, ale z wyrazem chłodu i sztywno, z daleka się uklonił.

— Służę panu, jestem gospodarzem domu! rzekł.—Widocznie brał go za urzędnika, przybyłego za interesem;—mundur sądowy zastanowił go. Nie rozumiał co „justitia“ mogła mieć do niego za sprawę.

— Przybyłem złożyć państwu moje uszanowanie, jako nowy obywatel w tych stronach.

Nagle Suszycki zrozumiał:

— Ach, to pan nabył Gródek. Przepraszam najmocniej. Wziąłem pana za urzędnika.

Ale ton nie był szczerym, ani serdecznym. Podał fotel i papierosy i dodał:

— Po Petersburgu musi panu tu być bardzo dziko i pusto. Istotnie, jak deskami od świata ten kąt zagrodzony.

— Państwo ten kąt ślicznie wystroili.

— Ano, robi się, co może, żeby nie zdziścić. Zawsze to kąt kochany i swój, choć brzydki.

— Pan sam gospodarstwo prowadzi?

— Naturalnie. Jest nas dwóch i wrośliśmy w ziemię.

— I rad pan z rezultatów?

— Owszem. Zresztą spełnia się powinność.

W tej chwili przez otwarte drzwi balkonu wpadła zziębnięta wyzlica, a tuż za nią szedł młody człowiek ze strzelbą przez plecy, z pękiem kuropatw u pasa i idąc, śpiewał:

Ej ostre, ej ostre, ej ostre kosy nasze...

Suszycki zerwał się, wybiegł na jego spotkanie. Spiew się urwał nagle, zawahał się młodzieniec, zamienili z bratem spojrzenie i wszedł.

— Michasiu—rzekł starszy.—Mamy gościa, pan Barcikowski z Gródka, brat Filipa.

Młody człowiek uklonił się, ale jakoś na razie słowa stosownego nie znalazł, więc rzekł:

— Okropny dziś upał. Będzie burza.

— A pan myśliwy i dobry, sądząc ze zdobyczy.

— Masę mamy kuropatw w tym roku, i doskonala suka. Lubie polowanie, i bez strzelby w pole nie wychodzę. W sierpniu mamy mieć królewskie łowy w Ładyniu, bo hrabia zjeżdża z dużem towarzystwem na łosie.

Starszy Suszycki tymczasem nieznacznie książkę Kalinki zamknął i wsunął między albumy, potem rzuciwszy słów parę do rozmowy, wyszedł. Znalazł żonę w sypialni i rzekł:

— To ten Barcikowski z Petersburga, z wizytą. Wyjdź, proszę, i rozporządź herbatą.

— Co? Ten? Wcale wychodzić nie myślę.

— Ależ to nie wypada.

— A nam po co te stosunki? Żeby nam tę... swoją żonę przywiózł? Toć chyba z Filipami chcesz zerwać? A ja zanadto Muszkę kocham, żebym ryzykowała. Mogliby u nas się zjechać. Nie wyjdę, ani myślę. Herbatę zaraz podadzą — a wy go sami bawcie. Tylko niech Michaś z czem się nie wyrwie, taka gorączka, a to pewnie szpieg.

— Ale on się obrazi! To impertynencya!

— Niech się obrazi, bardzo dbam o to. A zresztą powiedz, żem wyjechała w sąsiedztwo. Idź, idź, i nie trzymajcie go długo.

Suszycki poszedł, trochę markotny. Zdało mu się, że gość, jakby oczekiwał kogoś więcej, spoglądał na drzwi. Rozmowa wlokła się kłakawo o najpobieżniejszych przedmiotach. Czuć

było z obu stron forse i przymus, i prawdziwą ulgą było podanie herbaty.

Gospodyni domu nie pokazała się, nikt o niej nie wspominał. Barcikowski spytał tylko, czy są dzieci, patrząc na wysokie krzesło z poręczą, stojące u stołu.

— Mamą córkę, nieduża osoba, trzylatka — uśmiechnął się Suszycki. — Przyszła żona pańskiego bratanka, już się teraz bardzo kochają.

Tu się spostrzegł, że się wyrwał niezgrabnie, więc spytał:

— A pan ma dużo dzieci?

— Troje. Średniego przywiozłem do Gródka. Starszy już w gimnazyum.

Znowu zaległo milczenie, i znowu Suszycki rozmowę zapytaniem podjął:

— Podobno pan bardzo pomyślnie ukończył spór o serwitut ze swymi chłopami?

— Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że za rok to się ułatwi. Mirowy pośrednik obiecuje mi swą pomoc. Bardzo sprytny człowiek. Zna go pan?

— Nie.

Starszy Suszycki, bojąc się żywości brata, rzekł:

— My ich mało znamy. Jak się podatki i kary w porę płaci, to się i nie wie, kto rządzi.

— A tacy nawet wygodniejsi — mruknął Michał.

Skończono herbatę, przeszli znowu do salonu i gdy Wacław począł się żegnać, nikt go nie zatrzymywał. Wyjechał — przekonany, że z tym domem zażyłych stosunków nie zawiąże.

Po tej próbie parę tygodni się wahał, czy warto dalej próbować, ale wreszcie pomyślał:

— Przecie znajdzie rozsądnych ludzi, któ-

rzy zrozumieją. Milczyński ma być powagą w okolicy, może ma lepszą głowę, niż inni. Pojadę!

I pojechał, ale już pamiętał wypadek z biletem, i na czystej karcie napisał po polsku:

*Wacław Barcikowski.*

Do Zbożnej droga szła popod Ładyniem.

Przez sztachety ogrodzenia dostrzegł dwoje znanych sobie dzieci, bawiących się opodal młodej kobiety, zajętej czytaniem. Na turkot powozu podniosła głowę, poznał siostrę Jadwinę.

I ona go snąć poznała, bo prędko odwróciła głowę. Sekundę to trwało, ale jemu sposepniała twarz i stanęły w myśli dziecinne lata. Byłać to jego towarzyszka nieodstępna, powiernica, chociaż młodsza o lat kilka. I ona się od niego odwróciła. Cały zapas nadziei i otuchy go odstąpił. Miał ochotę zwrócić z drogi, ale się wstydził.

Zbożna nie miała pozoru kokieterii, jak Horby.

Stary dwór, szary—w cieniu starych szpaletów, mchem okryte dachy, średniowieczne lamusy i spichrze. Psy zajadłe, powitały ujadaniem gościa. W sieni przyjął go sam pan, człowiek stary, otyły, typ kasztelana z portretu.

Gdy się przedstawił, uśmiech dziwny, sztucznej dobroduszości, przemknął po wargach gospodarza, bardzo nisko się uklonił.

— Witam. Słyszałem, że pod pana rządem Gródek nabrał barwy, wycywilizował się. I dobrze—nasze dwory okrutnie szare.

Była to wzmianka, że nowe budowle

w Gródku Brechunow zawzięcie malował na czerwono.

Weszli do salonu, ciemnego, umeblowanego po staroświecku, ale bardzo sztywnego i pustego. Snać w codziennem życiu był nie lubiony i nie zajmowany.

— Objąłem Gródek po pożarze — istotną ruinę — rzekł Barcikowski. — Wkładam weń dziesiątki tysięcy, i nikną bez śladu. Nie rozumiem, jak można było tak opuścić rodzinne gniazdo.

— A no, jak kto nie ma dziesiątków tysięcy, to nie wkłada. Brat pański i tak cudów dokazywał, tyle lat utrzymując to bez środków pieniężnych. Podwoił wartość Gródka, i choć nie utrzymał się, zawsze mu każdy przyzna, że bohaterstwo pracował. Teraz nasz hrabia skarb dostał w nim i ten wyjątkowy magnat umie go ocenić.

— Dla mego brata zatem ustąpienie z Gródka, to karyera! — uśmiechnął się Barcikowski. — Cieszy mnie to, że i pan tak na rzecz patrzy. Gródek utrzymać mogę tylko ja.

— A naturalnie. Dla pana Filipa było to powolne konanie. Dał mu pan śmierć, podobno to bywa dobrodziejstwem.

I śmiał się wciąż ze swą pozorną dobroduszością.

— Że się panu chciało tego kłopotu, jakim jest Gródek — dodał po chwili.

— A jednak państwo tu żyjecie.

— My to co innego. My jesteśmy za głupi do świetnej karyery. Ale pan, co tak wysoko stanął, z góry na to patrzy. Pan się tu nie aklimatyzuje.

— Dlaczego nie. Jeśli rozsądni ludzie, co



tu żyją, rozumieją mnie i swój własny interes. i przyjmą mnie tak dobrem sercem, z jakim ja do nich się zwracam, to mogę być użytecznym dla tego kraju, i wiele dobrego zdziałać. Nieocenione usługi może oddać temu krajowi rodak, który ma stosunki i wpływy. Pan mnie rozumie.

— Oho, i jak. Powinni z pana dobrych chęci korzystać. Niezawodnie. Każdy, kto jeszcze ma coś do zdobycia lub stracenia.

— Niechże pan na mnie liczy w każdej sprawie i potrzebie.

— Dziękuję panu. Ja już stoję po za konkursem. Miałem jednego syna, ten Kilińskiego w Warszawie wskrzeszał. Wywieźli go; gdzieś w więzieniu gorączki dostał i...—stary ręką machnął.

— Już mu żadna protekcyja nie pomoże—dodał po chwili.—Córka mi też zwaryowała po narzeczonym, który się zaplątał w sprawę oświaty ludowej. Ten w cytadeli warszawskiej powiesił się! Drugą córkę Suszycki bierze. Nie mam tedy już nic do zdobycia, ani do stracenia.

Wacław milczał. Czuł po za pozornym spokojem starego taką otchłań nienawiści, że aż się przeraził.

— To są niesłychanie bolesne sprawy—rzekł.—Ale ja zawsze przy swoim obstaję, że gdyby Petersburg był lepiej poinformowany, inaczejby było. Rząd okłamywany bywa przez tych, którzy w mętnej wodzie zysk sobie ciągną i karierę.

— A no, kiedy znajdują w tem karierę, widocznie działają w myśl rządu — odparł sta-

ry, i dodał, widocznie, by przedmiot rozmowy zmienić:

— Pan zapewne w Gródku błota suszy?

— Już podałem prośbę i na wiosnę rozpoczną roboty.

Zaczęto tedy mówić o sianie i robociźnie, o trudnej komunikacyi i cenach lasów, i tak, jak w Horcach, podano herbatę, bez gospodyni. Wtedy Milczyński rzekł:

— Moje panie wyjechały do Suszyckich na grzybobranie. Zapewne późno wrócą.

O zmroku Wacław wyjechał z tem samem uczuciem, że dom ten obcym mu zostanie. Po kilku dniach Suszycki i Milczyński złożyli mu wizytę krótką, etykietalną, i na tem się skończyło. Był znowu, jak na bezludnej wyspie.

Pierwszych dni sierpnia wyjechał.

W Petersburgu czekała go niespodzianka: Zastał dzieci, ale żona dotąd nie wróciła.

— Kiedyście przyjechali? — spytał Tercewa.

— Dziesięć dni temu! — odparł tamtem burkliwie.

— A Aleksandra Michajłowna została?

— A jakże. Albo jej pilno — rozśmiał się Tercew.

Barcikowski popatrzał na niego.

— Zdaje mi się, że pan się ośmiela krytykować postępowanie mojej żony! — rzekł znowu.

— Widać, że mam prawo! — zuchwało odparł tamten.

— A ja mam prawo stanowczo zabronić panu tego tonu i wyrażen.

— Pan się późno do obrony zabiera, i ja już o to nie dbam. Czekalem na pana, żeby się wydał. Już mam dość tej baby.

Wacław rzucił się ku niemu.

— Przecz ztąd, pijanico!

— Hi, hi, hi! — roześmiał się Tercew. — Ja trzeźwy, ja tylko kochanek, ale wy mąż, pijany całe życie, jak każdy rogacz.

Barcikowski za kark go porwał, potrząsnął i byłby zabił, ale tamten zduszony, wycharczał:

— Puść, bo listy opublikuję!

Wtedy Barcikowski drzwi nim otworzył, potem drugie od schodów i wyrzucił go.

Stał chwilę ogłuszony, nieprzytomny, potem wszedł do mieszkania chłopców, i spytał Aloszy, który leżał na łóżku, palił papierosa i czytał jakąś książkę.

— Kiedy mama miała wrócić?

— Kto wie? — odparł chłopak, nie zmieniając pozycji. — Nas wyprawiła tutaj, a pojechała z „diadią” Maksymem do Jalty. Tercew chciał także jechać, to go „diadia” wytlukł i wypędził. Łajali się z godzinę, a w końcu „diadia” w pysk mu dał i powiedział: jak jeszcze słowo piśniesz, to poznasz, gdzie sobole się gnieźdzą!

Wacław wyszedł. Miał w głowie chaos, czuł, że traci przytomność. Zwalił się w fotel, rękoma głowę objął, zajęczał i już dalej nie wiedział, co się z nim działo.

Ocknął się na głos służącego, który mu podawał list na tacy.

Machinalnie sięgnął ręką, wziął kopertę i spostrzegł, że już wieczór był. Świece się paliły na biurze i leżały stosy urzędowych papierów.

Wstał—służący coś mówił, nie rozumiał—rozdarł kopertę i czytał:

„Wyrzuciłeś mnie za drzwi, więc za to ci oświadczam, że byłem kochankiem Twojej żony i mam jej listy i różne dowody. Ona zaś oddawna jest na utrzymaniu u Maksyma Morduchowa. Natasza jest jego córką, a zbytek Twego domu jest za jego pieniądze. Nie masz więc czego być tak dumnym. Jeśli mnie nie zaczepicie, będę milczał, ale jeśli Morduchow swą groźbę spełni, to wszystko wyśpiewam.

Należy mi się tysiąc rubli, żeby mi były wypłacone do tygodnia. *Tercew*”.

Z oczami wlepionemi w litery, Barcikowski przesiedział całą noc. Dopaliły się świece i zgasyły, ale on wciąż te litery widział, wszedł dzień, a on zawsze w jedno miejsce patrzył. Dopiero oczy oderwał, gdy wszedł służący i podał mu papier, tym razem urzędowy, natychmiastowe wezwanie do ministra. Wtedy, jak maszyna, wstał, przebrał się i wyszedł. Była już jedenasta godzina.

Gdy po audencyi u ministra wstąpił do swego biura, powitali go koledzy:

— O, nie posłużyły wam wakacye, Wincesław Sewerynowicz. Nietęgo wyglądacie.

— Doprawdy! — rzekł apatycznie.

— A wiecie, co się onegdaj w Tule stało? Czytaliście gazety?

— Niel

— Jermołów kapitalista, ograbiony i zamordowany. Oboje z żoną!

Co go to mogło obchodzić. Spytał jednak, byle co rzec:

— Wzięli mordercę?

— Nie, ale tropią.

Zaczęto mówić o awansach, intrygach, plotkach ze dworu i miasta, sprawach bieżących.

On się zajął robotą, byle nie mówić, nie odpowiadać, nie myśleć. Ostatni wyszedł z biura. Lokaj, otwierając mu drzwi, oznajmił.

— Pani wróciła!

Zachwiał się, zawahał sekundę i poszedł do swego gabinetu. Po chwili usłyszał jej kroki, otwieranie drzwi i głos zdziwiony.

— Cóż to? Nie wiesz, że jestem?

Stała naprzeciw niego, i gdy oczy na nią podniósł, niepokój mignął na jej twarzy.

— Nie spodziewałem się, że wrócisz — rzekł.

Już opanowała pierwsze wrażenie, stawiała suchwale do walki.

— A to dlaczego? — spytała, brwi marszcząc.

— Bo Tercew mi wszystko powiedział.

— Tercew! — powtórzyła, jakby z ulgą, lekceważąco, jakby wcale czego innego się bała, i już zupełnie pewna siebie. — Tercew tak pił i łajdaczył tam, że musiałam wzywać pomocy panów, żeby go się pozbyć.

— Panów? Nie. Tylko Maksyma Morduchowa.

— Jego i Glebowa, i Pożniakowa. Ach, więc to on ci coś opowiedział. Ciekawam, co?

— Dlaczegoś z dziećmi nie wróciła?

— Cóż to! śledztwo! Cóż to za ton przybierasz. Z oskarżeń Tercewa mam się tłumaczyć! To trochę za wiele. Jak się opamiętasz, z kim mówisz, i gdzie—to ci odpowiem!

Zatrzasnęła drzwi za sobą.

Poszła do swego buduaru wzięła eleganci-ki arkusik papieru i napisała.

— Tercew się wygadał, trzeba go sprzątnąć do jutra.

Zakleiła kopertę, przyłożyła markę, narzu- ciła na siebie okrycie, kapelusz i wyszła na spacer z Nataszą. W skrzynkę pocztową wsu-nęła bilecik, i już zupełnie spokojna wróciła. Wacław kazał sobie podać obiad w gabinecie, a nazajutrz bardzo rano poszedł do restaura- cyi, gdzie mu Tercew naznaczył, że będzie po owe tysiąc rubli.

Ale Tercewa nie było.

Dzień przeszedł, jak zwykle; po biurowych zajęciach, Barcikowski udał się do Iłowicza. Został starego w bardzo dobrym humorze, oży- wiły go morskie kąpiele, z Julią był widocznie w zgodzie.

— A, jesteś. Cóż, byłeś w Gródku?

Wacław nie nie odparł, usiadł ciężko w fotelu i dopiero po chwili zaczął mówić jakimś nieswoim głosem.

— Ja do wuja przyszedłem na ważną roz- mowę. Czy nas tu nikt nie słyszy?

— Nie, zresztą nie rozumieją po polsku.

— Wuju, ja jestem prawie pewny, że mo- ja żona źle się prowadzi. Dowiedziałem się strasznych rzeczy.

— No, no, cóż tam nowego?

— Morduchow jest jej kochankiem.

— Morduchow. To nowina! Jakto — więc tyś o tem nie wiedział!

— A któż wiedział!

— Cały świat. Już nawet o tem nie mó- wią, to takie stare. Przecie to ci zrobiło ka-

ryerę. A tyś co myślał, że tożtą pracę tak protegują. Dureń jesteś!

— Boże, Boże! — jęknął.

— Cóż za desperacya głupia. To ty wierzysz w cnotę kobiet i takich pięknych, jak twoja żona?... A znasz ty w Petersburgu jedną wierną?... chyba tak szpetną, że jej nikt nie chce, i ta jeszcze romansuje z lokajami. Twoja żona może najlepsza. Wybrała bardzo rozumnie i widoczne, jak dba o pozory, kiedy tyle lat tyś nic nie zauważył. No, a teraz skądżeś się dowiedział?

— Korepetytor zdradził. Powiedział mi zarazem, że i on był jej kochankiem.

— To nie może być. Tegoby dla Morduchowa nie zrobiła. Nie, to fałsz!

— Dla Morduchowa, nie dla mnie, nie dla dzieci! Więc ja czem jestem?

— Ty jesteś mężem. Ciebie się ona nie boi!

-- Dlaczego?

— Bo musisz ją oszczędzić. Dla siebie, dla swej pozycyi, dla dzieci. Ty musisz milczeć, to twój interes.

— Tak wuj myśli! A ja przeciwnie. Ja ich dopilnuję i zabiję oboje, a potem siebie.

— Czyś oszalał. Teraz po dziesięciu latach, a dzieci!

— Może one nie moje. Ja już teraz wszystko przypuszczam.

— Et, bajesz. Zastanów się, i...

— Ja cierpię. Ja szaleję z rozpacz, z żalu. Ja dla tej kobiety poświęciłem rodzinę, wiarę, jam ją kochał nadewszystko, a ona mnie okłamała i zdradzała. Co moje życie teraz warte?

— Jakto, co warte. Jesteś radcą stanu, masz pozycję wyjątkową, ogromną pensję —



nieposzlakowaną opinię [urzędniczą, jesteś powagą, z którą się rachują, której się radzą. I ty, mając lat więcej, niż czterdzieści, będziesz robił awanturę, skandal—o co—o denuncyację jakiegoś gałgana, którego twoja żona zapewne każała lokajom wyrzucić, gdy się ośmielił jej głupstwo powiedzieć i który za to się mści.

— Ach—ten! Ale Morduchow! Morduchow, mój przyjaciel!

— I syn twego dobroczyńcy! Nad tem się zastanów, zanim do awantury się weźmiesz. Wierz mi, mój drogi. To jest sprawa, w której honor nawet każe ci milczeć. Któryż mąż nie bywa zdradzany, a tylko głupcy robią z tego głośną sprawę. Rozumni piorą brudną bieliznę w domu.

— I znoszą, że ich żony są na utrzymaniu kochanków!

— Ty nie jesteś w tym wypadku. Tego nikt nie powiedział. Ludzie widzą, jak żyjecie, i wiedzą, że na to wystarcza twoja pensya, i fundusz twojej żony. Żeby takie były wzmianki, tobym cię ostrzegł. Przecie mi chodzi o twoją opinię.

— Więc wuj sądzi, że taką ohydę, wstyd, człowiek musi znosić i żyć z tem może!

— Powinien. Ty tembardziej, przez wzgląd na starego Morduchowa i dzieci.

— Kochankowi rękę podawać i gościć, żonie przebaczyć i żyć tak—we troje!

— Mój drogi, nie trzeba robić z życia tragedyi. Największa miłość miąa, i druga przychodzi. Oprócz kobiet są przecie inne zajęcia. Masz swą pracę, masz stosunki — ja lubię, ale to bardzo lubię kobiety, alem ich nigdy seryo nie traktował, bo tego nie warte. Ty, człowiek

tak myślący, poważny, zresztą jurysta, kryminalista z fachu — i tak krzywo, skrajnie patrzysz na tę kwestyę. Bogu dziękuj, że masz rozumną kobietę, i milcz! To ci wskazuje rozum i honor. Mój drogi, kto się żeni z taką jak ona, ten przecie nie może spodziewać się, że znajdzie Kornelię, matkę Grakchów — bo takich wśród nich niema. Ale za to, co za kochanki!

I stary poczał głową trząść, i oczy przymróżył rozkosznie.

— Miałem ich tysiące, dlatego się nie ożenił, bo i po co! Wszystko znam!

Wacław nie słuchał dalej. Miał wrażenie, że przyszedł tu z raną krwawiącą, żywą, a wyjdzie ztąd z ropiącą. Ogarnęła go bezmierna tępa martwota, szął przeszedł w śmierć! Czuł konieczną potrzebę opowiedzenia swego nieszczęścia, spodziewał się współczucia, pochwały zemsty, choćby rady w chaosie.

I taką znalazł.

Oburącz głowę cisnąc, patrzył w próżnię przed siebie, czarno mu było w oczach, czarno w duszy. Gdzieś dawno zapomniane wypełzały wyrzuty sumienia. Był sam, zupełnie sam, nie miał nigdzie pomocy, nigdzie brata, nigdzie oparcia. Wtedy mu w sukurs przybiegły resztki dumy, ambicya, by do winy się nie przyznać, upór, że postąpił, żył, działał, jak powinien, wedle swych zasad i pojęć.

— Cóż myślisz? — spytał Iłowicz niespokojnie.

— Myślę, wuju, że dobrze zrobił, tu przychodząc. Byłem nieprzytomny — odzyskałem zmysły. W każdym razie to nie ja popełniłem podłość. Jam nigdy honorowi nie uchy-

bił. Straciłem żonę i wszelkie illuzye, ale muszę żyć, żeby dowieść, że człowiek obowiązkowi.

— Dobrze mówisz, to nawet nie patryotyczne te strzelania, zemsty, awantury. Zarazby krzyk powstał: to polskie waryacje—i tylkoby gazety nas nicowały, i byłaby woda na ich młyn. To nie wypada.

Łowicz był zupełnie przekonany, że broni narodowej idei.

Wacław wrócił późno do domu i w ubraniu położył się na otomanie w swym gabinecie. Nie spał, ale był, jak po przepiciu, i służąca, która wpadła wśród nocy, musiała krzyczeć, zanim zrozumiał, o co chodzi.

— Panie, panie, proszę panią ratować. Umiera.

Zerwał się, i poszedł za nią do sypialni.

Saszeńka leżała wyprężona, trupio blada, jęcząc, i od czasu do czasu rzucając się konwulsyjnie. Nad nią bezradnie stała cała żeńska służba.

— Co się stało? — spytał przerażony.

— Pani cały dzień płakała, nic nie jadła, wcześniej się położyła! Posłyszałam jęki i tak zastałam!—recytowała pokojówka.

— Posłaliście po doktora?

— Poszedł Wasili.

Pochylił się nad nią, począł ocierać dłonie i skronie, i tak wielka była moc jego uczucia, że zapomniał na chwilę, jak go skrzywdziła, i spytał łagodnie.

— Co ci, Saszeńka! Co cię boli?

Ale ona jęczała tylko, a on się przeraził, że to może on jest przyczyną ataku nerwowego, że może to, co ludzie mówią, są oszczerstwa, fałszywe pozory. Przecie dowodów nie miał i tyl-

ko na gadanie Tarcewa ją sponiewierał. Może tego znieść nie mogła, że to cierpi! Porwała go rozpacz, złość na siebie i żal tego bóstwa!

— Doktora! — krzyknął do służby.

— Jestem! — odpowiedział głos znajomego medyka, domowego ich lekarza.

Odsunął służbę, szybko do łóżka przystąpił, tylko spojrzął i zawołał:

— Papieru!

Prędko napisał receptę i rzekł do Wacława:

— Nic, nic! Za wiele zażyła chloralu, żeby spać, a za mało, żeby umrzeć!

I zabrał się do ratunku.

Nad ranem Saszeńka przyszła do siebie. Poznała doktora.

— No, cóż słyhać na tamtym świecie? — spytał.

Zmarszczyła brwi, ujrzała męża i odpowiedziała:

— Spokojniej, niż tutaj.

Wacław zrozumiał bolesny wyrzut, pochylił się nad nią, wziął za rękę.

— Takeś mnie śmiertelnie wystraszyła! — szepnął.

Patrzała na niego surowo, ale nie cofała ręki. Teraz był gotów do nóg jej paść i przeproszać, już był wdzięczny, że go nie odtrąca.

— Co mi się stało doktorze? — spytała cicho.

— Zatrula się pani chloralem. Jak można być tak nieuwważną!

— Głowa mnie bardzo bolała, po drodze byłam bardzo zmęczona, spać nie mogłam.

Ręce mi się trzęsły, nie byłam zupełnie przytomna.

Tłumaczyła się słabym głosem.

— No, Bogu dzięki, szczęśliwie się skończyło, ma pani naukę bolesną na drugi raz. Żegnaj państwo, wpadnę wieczorem.

Gdy wyszedł, Wacław uklęknął przy łóżku, ręce jej do rąk przyciskał.

— Przebacz mi, Saszeńka. Byłem brutalny, ciężko cię obraziłem. Straciłem przytomność na razie. Ten łajdak mnie odurzył.

— Było go zabić! Nogami zdeptać. Miałeś rację go niecierpieć, poznałeś się na nim. Nigdy sobie nie daruję, że go trzymała wbrew twojej antypatii. To swołocz! Więc to Morduchow i on mają być moimi kochankami!

Roześmiała się pogardliwie i nawet nie raczyła się tłumaczyć.

Była smutna, rozżalona i nagle zaczęła płakać.

Utulił ją w objęciach — i tak się pojednali.

Wyszedł z sypialni upojony na nowo szalem, na nowo rozkochany — i szczęśliwy.

W biurze był wesół i rozmowny, tylko mu się pracować nie chciało. Najchętniejby marzył, jak młodzik.

— Czytaliście wczorajsze depesze? — Któryś z kolegów go zagadnął, gdy wychodził.

— Nie miałem gazet w ręku. Jest co ciekawego?

— Ano, bardzo. Złapali mordercę Jeremolowych.

— Tak prędko.

— A wiecie kto! To najciekawsze, Fomow!

— Fomow? Jaki Fomow?

— A ten! Były gubernator. Krewny Morduchowych.

Wacław stanął, jak wryty, osłupiał.

— Być nie może! Fomow! To jakiś błąk policyi. Toć i mojej żony krewny. To fałszywy ślad, to nie może być!

— Jak to nie może być. Toć go złapali na kolei z pieniędzmi i przyznał się.

— Przyznał się?

— Kategorycznie, bo gdy go aresztowano, w łeb sobie palnął.

— I zabił się?

— Jak drut, ani drgnął!

— Chryste Panie! Fomow morderca i złodziej.

— Dla Morduchowych nadzwyczaj nieprzyjemna sprawa — pewnie zamażą. Młody już wczoraj wyjechał.

— To okropne. Żona moja słaba, nie wie, muszę ją przygotować!

I poszedł wzburzony do domu, ale się spóźnił. Saszeńka już wstała, zastał ją we łzach, nad gazetą, zaczął tedy, jak mógł, uspokajać.

— No, nie desperuj. W każdej rodzinie znajdują się potępione dusze. Gdzie wstydyw niema i plam. On twój daleki krewny, nie każdy nawet wie o tem pokrewieństwie. Patrz, Morduchowym gorzej, oni go protegowali, a teraz ludziom wstyd oczy pokazać! Uspokójże się, Saszeńka — szkoda twego żalu po takim lajdaku.

Opanowała się, otarła oczy.

— Masz rację. Nie płakałabym, żeby zgnił w więzieniu, ale on przecie okazał siłę! Nie przeżył hańby.

— No—nie wielki honor. Żeby się uciec udało, żyłby spokojnie. Nie miał wiele do stracenia. Pokaż no, gazetę. Jakże tak prędko wpadli na trop?

— Nieszczęsny, w pośpiechu zgubił swoją własną portmonetkę w mieszkaniu tych lichwiarzy.

— Nieszczęsny — zanadtoś dla niego łaskawa!

— Przecie każdego człowieka żal, co tak kończy!

— No, zapewne. Ale on cały — mało co był wart!

Zamyślił się, przeczytawszy depeszę — i rzekł:

— Morduchowych to bardzo przybije!

— Gotowa mu Olga Bobińska odmówić.

— To on się o nią stara?

— To ty jeszcze nie wiesz! Od trzech lat. Ja jestem powiernicą obu stron. W Kisłowodzku omal się nie zaręczyli.

— O, Saszeńka! — szepnął tylko z wybuchem szczęścia. Resztę chmur rozproszyło słońce spokojnej pewności.

Długi czas jednak Saszeńka nie odzyskała zwykłego humoru. Była ciągle niedomagająca, bez życia, osłabiona. Dni spędzała beczynn timer, w szezlongu, nie chciała bywać tyle, co dawniej, nie ją nie zajmowało, milczała chętnie.

Zaniepokoił się Wacław o jej zdrowie, chciał sprowadzać powagi medyczne, dogadzał jej, pieścił, błagał, by wymówiła jakie życzenie.



Ale ona go uspokajała, nie chciała lekarstw i doktorów.

— Zdrowa jestem — tylko taka, jakby obolała! To przejdzie z czasem. Cios był za mocny na moje nerwy. No, już minęło, wierzę, że nie wróci! Wyzdrowieję powoli!

A on był w rozpacz, nigdy sobie darować nie mógł, że był sprawcą jej cierpienia.

Sprawę Fomowa zatarto prędko, już o niej ludzie zapomnieli, Maksym Morduchow był znowu prawie domownikiem u Barcikowskich. Saszeńka powoli przychodziła do siebie. W tem wszystkim chłopcy przez czas jakiś byli zaniedbani, pozostawieni na opiece przychodniego korepetytora i służby.

Pewnego dnia wrócił sam Kola — Alosza z kolegami został, mówił, że za parę godzin przyjdzie, oznajmił matce.

Nikt się bardzo o to nie zatroszczył. Alosza miał już czternaście lat — nie zginie. Często tak wracał późno. Wacław miał tego dnia jakąś sesję. Morduchow z Saszeńką obiadowali we dwoje, potem spędzili wieczór w buduarze i nikt nie sprawdzał, kiedy Alosza wrócił.

W parę dni potem zjawił się u Wacława Mikołaj Aleksandrowicz, policmajster, dobry znajomy i życzliwy. Zasiadł w gabinecie, zapalił cygaro, rozmawiali o tem i owem, aż wreszcie gość, długie swe wąsy kręcąc, rzekł zakłopotanym tonem:

— Ja mam do was głupi interes. Słyszeliście, że skradli w sobotę skarbonę w kościele śś-jej Katarzyny.

— Słyszałem. Cóż, złapali kogo?

— Stróż, który posłyszał szelest i nad-

szedł, zobaczył dwóch gimnazystów i jednego wczoraj poznał. Ten się przyznał, ot — jakiś tam syn diaka, mała szkoda — ale kanalia dowodzi, że z nim był — wasz syn! Trudne to do wiary, ale trzeba mu dowieść, że łże. Nie chciałem robić hałasu, przyszedłem do was, żeby chłopca wybadać, gdzie był w sobotę — po lekcjach. Czy wrócił zaraz do domu?

— W sobotę miałem sesję. Przyszedłem późno, ale zaraz żony spytam.

Wyszedł, powrócił po chwili blady, jak ściana.

— Żona mówi, że zabawił dłużej z kolegami. Zaraz go tu zawołam.

— Poczekajcie — zatrzymał go policmajster. — Wysłuchajcie tedy wszystkiego, żeby go zręcznie wybadać! Ten diaczek, Zubakin, śpiewa różne rzeczy. Opowiada, że wasz Alosza od wakacyj bywa u jakiejś baby, stara wywłoka, podobno żydówka, Efrejmowa — specjalistka od takich wyrostków. Tam się odbywają orgie. Ten Zubakin, to taki „rąb” waszego Aloszy — spełniał, co ten mu kazał. Skarbone rozbili o kamień, wybrali pieniądze, a skrzynkę rzucili w kanał. Pieniądze zanieśli do Efrejmowej. Teraz wiecie, jak rzeczy niby stoją. Zawołajcie chłopca.

Barcikowski wyszedł. Tak go zgroza dławiała, że wszedłszy do pokoju chłopców, zaledwie mógł wykrztusić:

— Alosza, chodź za mną.

Chłopaka tknęło złe jakieś przeczucie.

Zmieszał się, ale wnet odzyskał wrodzone zuchwalstwo i śmiało poszedł za ojcem.

Dopiero na widok munduru policyjnego stracił rezon.

— Gdzieś był w sobotę wieczór? — spytał Wacław.

— Nie pamiętam. Zdaje się, żeśmy poszli do akwaryum.

— Z kim? — wtrącił urzędnik.

— Nie pamiętam.

— Trzeba, żebyś przypomniał, bo Zubakin twierdzi, żeście byli w kościele i wzięli skarbone.

— Nieprawda. Wcalem Zubakina tego dnia nie widział. Byłem w akwaryum, zdaje mi się, że z Łońskim i Chromowym. Pocobył do kościoła chodził—ruszył ramionami.

— Zuch! — mruknął policyant z uśmiechem.

— A Łoński i Chromow potwierdzą?—spytał groźnie Wacław. — Bo jeśli kłamiesz i jeśliś naprawdę kradł w kościele, to się litości, ni ochrony odemnie nie spodziewaj. Ja sam cię do więzienia odprowadzę i sądom oddam!

— To, młody człowieku, nie żarty! — dodał urzędnik. — Grabież w kościele, chociaż i innego wyznania, to zawsze świętokradstwo.

— Ja wcale w żadnym kościele nie byłem. Chromow zaświadczy.

— No, żebyż cię ten Chromow nie zawiódł! — z naciskiem rzekł policyant.

Alosza ramionami ruszył—i wyszedł.

Po chwili milczenia Mikołaj Aleksandrowicz rzekł:

— Zdaje mi się, że końce pójdą w wodę! Skończy się na dyaczku, a reszta z samego strachu porozumnieje. Dopilnujcie Winczesław Sewerynowicz, żeby Chromow zaświadczył... My dopiero jutro go zawezwiemy! Efrejmowę

się sprzątnie, ale zawsze, czas jakiś uważajcie na chłopca! No, do widzenia.

I poszedł, nucąc pod nosem, z miną człowieka, który nie takie już rzeczy widział.

Wacław poszedł do żony, rzucił się w fotel i w niemej rozpaczycy głowę rękami objął. Saszeńka była niespokojna.

— No i cóż? Co będzie?—pytała.—Są jakie złe dowody? Zrobią sprawę? Jeśli się ośmielą, ja im tego nigdy nie daruję i pokażę, jakie mam stosunki.

— Badałaś go? Masz pewność, że nie winien!—wybuchnął Wacław.—Ja nie! Policmajster umyślnie przyszedł, by sprawę zamydlić. Gdzie ten nieszczęśliwiec?

— Wyszedł—po kajety!

— Wyszedł — nie po kajety. Poszedł do Chromowa i Łońskiego. Mikołaj Aleksandrowicz sam go tego nauczył. Boże, Boże — takiej dożyć hańby. Syn złodziej.

— Ależ mój drogi — to dziecko. Jeśli i zrobił, toć go, jak dorosłego, nie można pętać.

— Saszeńka, ale i darować nie można. Jeśli to prawda, to wolałbym, żeby nie żył. Toć to dziecko dorosłym jest w występku. W lat czternaście kradnie dla kochanki. Co będzie, gdy dorośnie.

— Trzeba go wybadać. Poczekał — ja to zrobię. On mi nie wyzna, jak i co było. Przed tobą się zaprze. W każdym razie, ja go już teraz będę pilnować. Dzięki Bogu, że Mikołaj Aleksandrowicz rozumnie postąpił.

— Dobrze, wybadaj go. Ja się samego siebie boję. Jabym gotów go zabić!

— Uspokójże się. Sprawy nie będzie,

a jeśli i głupstwo zrobił, to go nie powtórzy, bo będzie miał naukę ze strachu. Et, dziecko! Trzeba będzie wziąć znowu do nich korepetytora. Rozpuścili się, niegodziwcy!

Wieczorem zawołała Saszeńka Aloszę do siebie.

— Cóż, pewny jesteś Lońskiego i Chromowa?—spytała poufnie.

— Wszystko będzie dobrze—odparł. — Ot kanalia Zubakin, a ja jemu pieniądze dawał i papierosy i do towarzystwa go przyjeśliśmy.

— Razem bywaliście u Efrejmowej, łobuzy?

— A skąd ty, mamasza, wiesz o Efrejmowej!—z cynicznym uśmiechem spytał chłopic.

— Ja wszystko wiem. Cóż, jesteś mężczyzną. Ale z tą skarbonką, to barzoście głupio wymyśliłi. Dlaczegożeś mnie o pieniądze nie prosił. Alboż ci kiedy odmawiam?

— Nie odmawiasz, ale dokuczy prosić i prosić o każdy grosz. Miałem temi czasy kłopot, przegrałem w karty, musiałem oddać honorowy dług. Szelma Zubakin mnie podmówił.

— Alosza, a wiesz ty, żeby nie stosunki moje i ojca, tobyś za to na Sybir poszedł.

— Et, co ty mamasza pleciesz. Albo ja głupi. Małoletni nie idą na Sybir. Nieby mi nie było. Ja tylko dla was nie chciałem skandalu. Głupi Zubakin i cała sprawa nie warta plunięcia. Było w pudełku trochę miedziaków. Przecież my do cerkwi nie szli, a o ten tam kościół kto znów tak bardzo dba.

— Nie gadaj głupstw. A toć ambasady  
*Barcikowscy.*

różne katolickie mogą podnieść sprawę! Ty sobie tego nie lekceważ i miej rozum.

— A pewnie, że drugi raz tego głupstwa nie zrobię. Tyle chryi! Ty, mamasza, dawaj mi więcej pieniędzy. Ja nie umiem, jak Kola, kolegom się lizać, albo u ojca po szufladach szperać.

— Dam, ale żebyś mi nic nie taił.

— Powiem, bo ty rozumiesz mądrze rzeczy.

Na tej łaskawej wzmiance Alosza sprawę zakończył.

Saszeńka nazajutrz rzekła mężowi:

— Powiedział wszystko. Zubakin ukradł, a on tylko wiedział o tem, ale nie należał. Natarłam mu dobrze uszu za wdawanie się z rozmaitą szują. Bądź spokojny!

Czy Wacław uwierzył, czy chciał wierzyć, dość, że Aloszy do siebie już nie wołał. Ale od tego dnia nie spojrzał więcej na syna, ani go pocałował. Jakby był umarły dla niego.

Zubakina wypędzono z gimnazyum. Sprawiedliwości stało się zadość.

---

## XI.

Jednocześnie z rangami i orderami zaczęło Wacławowi przybywać siwych włosów, zmarszczek i na zdrowiu zaczął podupadać.

I dziwna rzecz, ten człowiek bogaty, wpływowy, cel zazdrości ludzkiej, poważny i honorowany, szczęśliwy według świata: cierpiał na żółć i wątrobę. Doktorowie podawali za powód siedzące życie i przeciążenie pracą—radzili różne wody, a przede wszystkim odpoczynek bez troski.

Raz, po jakimś ataku szalenie bolesnym, wziął nawet urlop, ale potem, gdy cierpienie złagodniało, nie wyjeżdżał, przykuty nawykniem urzędniczem do biura, nawykniem człowieka do stosunków, ludzi, kółka znajomych. Stał się maszyną i życie ułożył wedle chronometru. Biurowej minuty nawet nie opuścił nigdy, pracował sam ściśle, od podwładnych wymagał podobnej pracy, w stosunkach z nimi był surowy, nieprzystępny żadnym wpływom i sympatyom, względem zwierzchników zachowywał takt, a że powagą był naukową i praktyczną—ogólnie był szanowany.

Rosyanin na jego stanowisku i z taką świe-



tną przeszłością dawnoby został ministrem, ale on ministra będzie doradcą, główną sprężyną zarządu—tytułu nigdy nie mógł osiągnąć. Była to rozpacz Saszeńki, powód jej nienawiści dla kraju i religii męża.

Może i on sam cierpiał w duszy nad tem, że jednakże nie opłacała się w mierze zasług jego wierna służba idei rządowej.

Co prawda, on na szczęśliwego nie wyglądał. Był to człowiek sztywny, zimny, mało-mówny, nigdy się nie śmiał, niczem się szczególnie nie interesował, nad niczem się nie zapalał.

Po za zajęciem służbowem i urzędowymi stosunkami nie miał poszczególnych przyjaciół. Wieczorami, gdy nie miał winta, ani przyjęć w domu — czytywał w swym gabinecie gazety, lub poważne dzieła historyczne. w kółku rodzinnem rzadko się pokazywał. Zresztą nie było u nich rodziny we właściwem słowa znaczeniu. -

Synowie wyemancypowali się zupełnie. Nie chcieli, ani przyjmowali od rodziców żadnej rady, tylko żądali dużo pieniędzy i żyli swoim dworem. Saszeńka została opiekunką różnych dobroczynnych instytucyj miejscowych. Miała wstęp wszędzie i tem tylko żyła, dumna z odznaczenia, cel zazdrości ogólnej.

Nataszę oddano do instytutu, bo matka nie miała czasu i ochoty nią się zajmować. Więc w domu zwykle nikogo nie było.

W wielkiej ciszy mieszkania Wacław spędzał często wieczory, gdy zmęczony się czuł, lub gorzej chory. Zegar wybijał powoli godziny, a on czytał. Czasami zapadał w zamyślenie i długo kartki nie odwracał. Musiał wtedy

cierpieć ciężiej, bo mu spazm wykrzywił bladą twarz, a oczy zapadały w głąb i zasnuwały się mgłą.

O cierpieniu swem nigdy nikomu nie wspominał.

Żony nie chciał trwożyć, zresztą nikogo to bardzo nie obchodziło.

Co go bolało więcej: ciało czy dusza, to on jeden tylko wiedział—i milczał.

Pewnego takiego wieczora usłyszał dzwonek w przedpokoju, kroki lokaja—potem długie szepty i targi u drzwi. Wreszcie służący wszedł i rzekł:

— Przyszła jakaś mała dziewczynka i chce się koniecznie z panem widzieć.

— To ją wprowadź!

Weszła mała figurka, dygnęła i poczęła mówić prędko zdyszanyym głosem:

— Mamasza mnie przysłała do pana, żeby pan prędzej przyszedł, bo nasz stary umiera i jego grabią.

— Co za stary?

— Generał Iłowicz. Wynoszą meble i srebro i obrazy, wszystko, a on pana woła, ale nikt go nie słucha, więc mamasza mnie kazała biedz pod sekretem.

— A któż jest twoja matka?

— Kucharka. My polaki, to mamasza się boi odezwać. Niech pan jej nie zdradzi.

Wacław prędko się zebrał i wziął ze sobą małą na dorożkę.

— A twoja matka skąd? Dawno tutaj — u pana Iłowicza służy? — badał.

— Pewnie, że dawno, bo ja nie pamiętam. Ojciec był żołnierzem, i został u pana lokajem. Potem matka z Polski przyjechała do niego.

Ja się już tutaj rodziłam. Ojciec umarł trzy lata temu. Matka chce do swoich wrócić, ale pieniędzy jeszcze nie zebrała. Brata mam starszego, już zarabia — w naszej polskiej gazecie służy. Matka mówi, że nam jeszcze sto rubli trzeba.

Mówiła po rusku, więc ją spytał:

— A po polsku nie umiesz?

— Jakto? Toć my polaki. Ale matka ka-  
**że** z państwem mówić po rusku, żeby się nie wyśmiewali i nie łajali. Jak wrócimy do siebie, to nie będziemy już się bać.

— A kiedy pan zachorował?

— Wczoraj! Upadł, i już się nie może poruszyć.

Zajechali. Zastał Wacław istotnie rabunek. Julia, na czele swojej całej rodziny, zabierała spadek, za życia właściciela. Zwijano się tak żywo, że mieszkanie było prawie puste.

Ujrzawszy straszego gościa, czereda się rozbiegła, a on poszedł za małą do sypialni.

Iłowicz leżał na brudnej pościeli, jak nędzarz. Przewręcenie, zgroza śmierci malowała się na jego twarzy. Nikogo przy nim nie było.

Na widok Wacława, głowę podniósł, odechnął.

— Przyszedeś. Dzięki Bogu! — wymówił z trudnością.

Paraliż go obejmował całego.

— Patrz, śmierć przyszła. Samego mnie zostawili. Co oni tam robią? Posłali po ciebie? To dobrze. Nie odchodź. Straszno mi!

Odpoczywał chwilę, wreszcie dodał szep-tem:

— Do Boga, na sąd, trzeba iść. Jak mi straszno! Taki sam jestem. Nikt się za mnie

nie pomodli. Żeby księdza! Ale się boję — nie rozgrzeszy. Trzydzieści lat, może więcej, nie byłem w kościele.

— Poszlę po księdza! — szepnął Wacław.

— Poszlij Weronikę, kucharkę. Ty nie odchodź!

Barcikowski dał znak małej, która czekała rozkazów w kącie. Skinęła głową i znikła.

— Kto tu był? — spytał Iłowicz.

— Córka kucharki, ona to mnie sprowadziła.

— A gdzież Julia, dzieci?

— Są. Czy zawołać?

— Nie. Po co ja im. Boją się śmierci. Testament znajdziesz u notaryusza Warłamowa. Ty wykonawcą. Daj Weronice sto rubli. Znajdziesz je w książce, tej tam, na oknie. Weź zaraz, bo potem zginą.

— Może zatelegrafować po synowca wuja?

— Nie przyjedzie. To zakuty polak. Jeść nie ma co, ale powiedział, że ani mnie widzieć nie chce, ani grosza po mnie nie weźmie do rąk. A on dotrzyma!

Umilkł wyczerpany i oczy przymknął.

— Szkoda życia! — szepnął po chwili. — Żeby kto swój był — pożałował!

Tu się wzdrygnął.

— Zawołaj Weronikę. Niech pacierze mówi — nasze! Może ksiądz przyjdzie nie zechce!

— Mama poszła po księdza, ale to daleko! — ozwał się z kąta głos dziewczynki. — Ja pacierze wszystkie umiem!

— Mówże, głośno, powoli!

Mała zbliżyła się, uklękła i poczęła z wielką powagą *Ojcze nasz*.

Iłowicz za nią półgłosem powtarzał. Po

chwili głos mu drzeć i łamać się począł, z oczu polały się łzy—i umilkł.

A dziecko odmawiało modlitwę po modlitwie z przejęciem, uroczyście, a skończywszy pacierz, zaczęło:

*Kto się w opiekę poda Panu swemu...*

Umierający wciąż płakał. Wacław cofnął się w cień, usiadł, podparł głowę ręką, i był w tej chwili daleko, daleko myślą—od tego pokoju, i ból go ogarnął nieznośny.

Wtem w kuchni ruch się zrobił, otwarto drzwi, zadzwieczał dzwonek. Wszedł sługa kościelny, za nim ksiądz, płaszczem otulony, a w końcu kobieta sucha, Weronika.

Zapaliła dwie świece, przyklęknęła przed Sakramentem, który ksiądz na sobie miał, i wywołała córkę i Wacława z pokoju. Kościelny wyszedł też za nimi.

Pierwszy raz w życiu Wacław był w takim towarzystwie. Zamknąwszy drzwi, kobieta pocałowała go w rękę, i rzekła:

— Chwała Bogu, że pan przyszedł. Ta plugawa zgraja, toby go bez sakramentów na tamten świat wyprawiła. Julja mnie jeszcze wczoraj wypędziła. No, teraz już spokojnie sobie stąd pójde, kiedym proboszcza sprowadziła!

— Dlaczego dozwoliłaś tak rabować. Trzeba było wcześniej uprzedzić policję i mnie.

— Sam chory im dozwolił. Gdy posłyszał hałas i suwanie sprzętów, spytał mnie, co się dzieje. Opowiedziałam, wtedy się zmarszczył, zasępił chwilę, i roześmiał się gorzko. Niech biorą—rzekł—mnie już niepotrzeba, a im się zdaje, że wieczni, niech biorą! Tak ci to człowiek przed skonaniem, prawdę jasno widzi! Bieda, że całe życie ślepy chodzi!

Westchnęła, a w tejże chwili dzwonek się rozległ w pokoju chorego, więc weszli.

Iłowicz modlił się żarliwie, na cały głos, oczekując Komunii—wszyscy poklekli.

Barcikowski spojrzał na Hostyę, którą ksiądz choremu podawał, i uczuł gorzki żal i wstyd. On tego chleba anielskiego nie pożywał całe lata—do Stołu Pańskiego nie przystąpi w skonania godzinie. Był tego pewny, nie zdając sobie sprawy, dlaczego tylko mu się to zdało rzeczą niezawodną i pozazdrościł temu umierającemu.

Iłowicz po Sakramencie umilkł, twarz miał poważną i rozjaśnioną.

Ksiądz go krzyżem przeżegnał i wyszedł. Barcikowski go przeprowadził, chciał płacić.

— Nie trzeba!—zaprzeczył proboszcz dość szorstko. — Ciała i Krwi Pańskiej za pieniądze nie udzielam. Pan krewny pana Iłowicza?

— Tak. Jestem Barcikowski.

— A... a...—zdziwił się ksiądz i spojrzał nań uważnie.—Znałem babkę pana. Kiedyś, dawno bardzo, byłem w tamtych stronach wikarym.

Nic więcej nie rzekł, skłonił się i wyszedł. Wacław wrócił do chorego.

— Dobrze mi, bardzo lekko i spokojnie—rzekł Iłowicz. — Daj Boże niebo księdzu. Tak mi było straszno, człowiek żył, jak bydle... wstyd... wstyd... A ksiądz mnie pocieszył. Piotr, apostoł, Chrystusa się zaparł, a darowano mu. A jaż nie święty, ja grzesznik. Ale też nie Judasz, nie sprzedałem swego Boga... nie... tego nie. Zapomniałem o Nim, obrażałem... ale nie sprzedał. Bogu za to dzięki! Oto przyszedł do mnie, i do Niego pójdę. Do-

brze mi... spokojnie. Już mi nie straszno. Śmierć idzie, a za nią Bóg miłosierny.

Umilkł. Poruszając ustami, modlił się. Po chwili wyszeptał:

— Ciotka Anna może mnie spotka. Będę ze swoim!

— Babka umarła? — spytał Wacław przeżony.

— Nie wiesz? Umarła w zeszłym roku. Pisał do mnie twój brat. Nie mówiłem ci? Umarła. Śniła mi się niedawno. Będziem zaraz razem! Chciałbym tam leżeć w swoich stronach, ale oni mnie nie zechcą sprowadzić. Porzuciłem ich... Dlatego teraz taki sam. To wszystko szakale, kruki. Sam jestem, ale tam swoich odnajdę. Dobrze mi. Zawołaj Weronikę, niech pocierz mi przypomina. Dziękuję ci, żeś przyszedł. Ty także sam. Dzisiaj, to mi żal, takich, jak my. Pusto, pusto!

Wyczerpany zupełnie, umilkł i oczy zamknął. Wacław polecił go opiece Weroniki i odszedł, obiecując wrócić rano i przysłać jej do pomocy stróża. Wyprawił też zaraz lokaja, a sam spoczął godzin parę. Czuł się beźmiernie rozdrażniony, chory moralnie i fizycznie. Gdy wczesnym rankiem, pomimo dotkliwego cierpienia wątroby, udał się do chorego, Iłowicz właśnie przed chwilą skonał. Jeszcze się paliła gromnica i sumienna Weronika kończyła modlitwy ostatnie. Długą chwilę stał Wacław nad zwłokami, ponuro wpatrzony w twarz nieboszczyka. Był to ostatni węzeł rodzinny, który się zerwał, ostatnia istota... swojska. Wczoraj on przejrzał, zrozumiał ich życie gorzkie i pożałował samotnika. Dzisiaj wszystko już odbył i z wiarą odszedł, szczęśliwy! Gorzki żal i ból



targnął duszą pozostałego. Nie spotka go już;  
za życia nie i po śmierci nie. Był tego pewny,  
nie zdając sobie sprawy, dlaczego? Tylko mu  
się to zdało rzeczą niezawodną, że i wieczność  
ich nie połączy. I pozazdrościł temu umarłemu...

---

## XII.

O Pełagiei Fokownie nikt już u Barci-  
kowskich nie pamiętał. Zginęła, jak kamień  
w wodzie, nigdzie jej nie spotykano, nikt o niej  
nie wspominał. Wacław tylko czasami, gdy  
bardzo mu dokuczył nieporządek w domu, lub  
kradzież służby, mawiał do żony:

— Jedna Pełagieja umiała wśród tej ho-  
łoty utrzymać ład i dopilnować gałganów. Cie-  
kawym, co się z nią dzieje?

— Zapłała się pewnie dawno, na śmierć —  
odpowiadała pogardliwie Saszeńka.

Wacław, który wierzył we wszystko, co  
żona mówiła, był pewien, że stara już dawno  
nie żyje. To też mocno się zadziwił, gdy mu  
raz przyniesiono brudny, zmięty list, pisany  
krzywo i drżąco, w którym Pełagieja prosiła  
go krótko, by ją przed śmiercią odwiedził, bo  
inaczej nie umrze spokojnie. Podawała adres,  
jakiś oddalony zaułek na skraju miasta, gdzie  
się gnieździ wielka nędza i wielkie występki.  
Był w liście jakby jęk błagalny, strach, by nie  
przyszedł zapóźno, rozpacz, gdyby odmówił.

Z listem tym poszedł do żony, chcąc się  
z nią wieścią podzielić i namówić, by z nim

razem pojechała z przebaczeniem umierającej. Jakaby nie była, zawsze to krewna i tyle lat domownicą była. Ale Saszeńki nie zastał, pojechały właśnie z Nataszą na jakiś dziecinny balik do księżny Olgi. Zawahał się chwilę. Chciał odłożyć rzecz do jutra, ale się rozmyślił, że umrzeć może, więc wziął paręset rubli, rewolwer nabity i pojechał. Był już wieczór, jesień mglista i wilgotna, kurs daleki. Był rad, że wziął dorożkę, bo jego stangret nigdyby nie trafił.

Wreszcie wysiadł przed drewnianym domem, i po długich pertraktacyach z pijanym stróżem odnalazł w głębi czarnego korytarza drzwi na klamkę tylko zamknięte. Wszedł do ciasnej kuchenki, gdzie go zdławił zaduch jałdła nędzarzy i wilgoć. Nikogo nie było.

— Hej! — zawołał. — Czy tu mieszka Pełagiejka Fokowna?

Na głos dopiero, podniosła się z kąta, z kupy łachmanów, jakaś postać, baba straszna i spytała chrypliwym głosem:

— No, a jak tu, to co? Czego chcecie?

— Chcę ją widzieć! Prowadź! — rzekł tak ostro, że baba żywo się poruszyła i kłaniając się do ziemi, otworzyła dalsze drzwi.

— Tu leży — szepnęła pokornie. — Niech wasza wysokość mnie, głupiej, przebaczy.

Usunął ją i wszedł.

Pokoik był rozjaśniony tylko lampką przed ikonami, których wielka ilość i bardzo jaskrawych pokrywała ścianę naprzeciw łóżka, osłoniętego parawanem.

— Kto tam? — spytała chora.

— To ja, Pełagiejko Fokowno, Barcikowski.

— Pochwalony niech będzie Bóg Troisty,

że mnie wysłuchał i ciebie tu doprowadził — uroczyście wyrzekła.

— Sofronia, zapal lampę i zostaw nas samych.

Baba spełniła rozkaz i wtedy Wacław przystąpił do łóżka.

— Cóż to wam? jaka choroba? — spytał ze współczuciem, widząc, jak wychudła i zestarzała okropnie. — Czemuście pierwiej nie dali znać?

— Ach, gołubezyk, ty zawsze taki słodkiej duszy! Ty dobry człowiek, choć nie prawej wiary, ja za ciebie się modłę, choć to grzech za niewiernych się modlić. Ty czysty człowiek. Ja zawsze Saszeńkę uczyłam: Ty jego szanuj, bo on wart więcej, jak wszyscy. Ach, Boże mój, Boże mój.

Poczęła ciężko wdychać i stękać.

— Cóż wam jest? Co doktor mówi? — powtórzył.

— Ach, co doktor wie? Powiada, że to mi się zrobiło od wilgoci i zimna w cerkwi. Jakby z Bożego Chramu mogło co złego przyjść. Wiadomo, doktor niedowiarek. Mnie to za grzechy przyszło, na karę, na pokutę, za nieprawości moje. Ach, jak pomyślę, że i na Saszeńkę taka kara przyjść może, to we mnie dusza ustaje. Onaż, nieszczęsna, opamiętać się nie chce, kajać się nie poczyną. A teraz, jak ja umrę, kto za nią będzie pościć i pokłony bić, i świece stawiać i do cudownych obrazów chodzić. Jaż jej pilnowałam od kary, a kara być musi, oj musi. Mnie pokreślił Bóg ręce i nogi, bo i ja winna. Gadałam jej i gadałam, aż jej obrzydłam i wygoniła. Potem pisałam, to mnie złażała i zabroniła się odzywać. Ach,

Boże mój, Boże mój! Taka ona nieszczęsna, zapamiętała! A co z tego? Bóg jest, wszystko wie i nie zapomni.

Wacław słuchał przerażony. — Więc zwaryowała zapewne od pijaństwa. Bredziła, jak w malignie. Miała manję religijną.

Nie przerywał, ani przeczył, ale gdy umilkła zmęczona, rzekł łagodnie:

— Nie desperujcie, ciotuszka, Saszeńka was odwiedzi i posłucha.

— Nie, nie—zaprzeczyła ze stęknieniem—jeśli nie opamiętała się po jego śmierci, to już nigdy się nie opamięta. Ja wtedy jej czekałam, nie przyszła. Zamknięta jej dusza na Boski znak. Dał wtedy znak, a ona nie zechciała pojąć... On w piekle, a ona?...

— Kto, on?—spytał mimowoli przerażony tem bredzeniem.

— On, czarny jej duch, szatan jej duszy, jej zguba i nieszczęście—Pomow.

Barcikowski się wzdrygnął, spojrzał na starą. Coś nieopisanego — jakby strach przepaści zatamowało mu oddech.

A Pełagieja, podniecając się coraz bardziej, mówiła:

— Jak się między nimi zaczęło kochanie, mówiłam jej: Saszeńka, to grzech — ale ona ze łzami powiada: — ciotuszka, jaż młoda — mąż stary, chory! — ja śmierć sobie zrobię, a kochać tego muszę. Ja duszę dla niego stracę, ja umrę z nudy, z tęsknoty bez niego. Ktoby nad nią litości nie miał, ktoby jej życia nie chciał ośłodzić — takiej ślicznej, młodej, a tak oszukanej w małżeństwie. Ach, jaż słaba byłam — dałam im się kochać. Myślałam — Korf trup — Korf umrze — oni się pobiorą — ja Boga o modłę za

tych dwoje. A tu Korf żył i żył, zaczął czegoś się domyslać, szpiegować, śledzić ich nieszczęsnych—w trwodze żyliśmy bezustannej—ona biedna schła i nikła, Fomow poprzysięgał, że się zastrzeli, jeśli jakiego końca nie zrobią. A Korf żył i odgrzązał się, że jakieś weksle ma, któremi Fomowa na dno turmy zapakuje. Boże, to były czasy!

Odetchnęła, pasując się ze sobą, wreszcie przeżegnała się kilka razy.

— Kara Boża, kara Boża — ja umieram, trzeba wszystko rzec. Onaż niewinna, opętał ją ten szatan, nie wiedziała co robi. To on proszek dał—on dał—on—on!

Miał Korf zasnąć—klucz od biurka trzeba było tylko wykraść, te weksle zabrać.

Tak ten szatan gadał, tak ona wierzyła—tak miało być — ona mi na krzyż przysięgła. Nieszczęście się stało — ten ją oszukał, czy tak Bóg chciał, Korf proszek wypił, ale nie zasnął — weksli wziąć nie można było—wszystko inaczej poszło—na zgubę dusz grzesznych. Korf umarł.

— Otruty!

— Kto mówił!—przeraziła się—nie poznała głosu Barcikowskiego.

Siedział w krześle wyprostowany, sztywny, kropli krwi nie miał w twarzy, i jakby umarłe rysy.

Jedno słowo wymówił, i nic więcej.

— Fomow go otruł — sam Fomow!—zawołała uparcie.—Saszeńka niewinna. Onaż tylko nieszczęsna, tak bez pamięci kochała tego niegodziwca, onaż za niego życie poświęciła.

— Co dalej? Mówcie! — wyrzucił z siebie Wacław.

— Dalej — ty wiesz, gałubczyk. Noskow gałgan sprawę zrobił — nie mógł darować, że go Fomow wyśmiewał, a ona raz pijanego kazała za drzwi wyrzucić. A tu się pokazało, że Korf połapał ich listy, i w biurku były. Trzeba było do biurka się dostać, a na biurku były pieczęcie. I ona nieszczęsna dla tego szatana wszystko poświęciła. Ty wiesz, gołubczyk — ona ci za te listy i weksle własną cześć oddała. Płacząc nad jej niedolą — gdy wy wyszli, ja z biurka wszystko wyjęłam.

— I co dalej, mówcie! — powtórzył Barcikowski.

— Ty nas z biedy wybawił. Spalili my weksle, a listy schowałam ja dobrze, żal było palić, bo to Saszeńki nieszczęsne kochanie. Ale ja wtedy zakłęłam i poprzysięgła mi, że z Fomowem w życiu się nie spotka, że z pamięci i duszy wyrzuci, że pokutę za to nieszczęście uczyni. Ach, Hospodi Boże, od tej pory wtorki i czwartki cały wiek poszczę i dwadzieścia pokłonów codziennie odbijam. Żebyż Bóg je porachował!

— Dalej!... Mówcie!... — zawołał Barcikowski.

Ale Pelagieja umilkła wyczerpana, jęczała tylko zeicha, poruszając zbolętymi pokurczonymi rękami.

Twarz jej ziemista kurczyła się cierpieniem. Wacław się nad nią pochylił — w przepaść już nie patrzył, stoczył się już w nią — chciał być na dnie prędzej, chciał skończyć wszystko.

— Fomow wrócił i była jego kochanką — i była innych kochanką — i u Jermołowa po-



życzała dla niego pieniądze, a Morduchow płacił.

Pelagieja otworzyła oczy, przeraziła się wyrazu jego twarzy, nabrała z trwogi sił.

— Ty jej nie karz—ona nieszczęsna, ona opętana była. Ja tobie przed śmiercią wyznać musiałam—żeby ty jej duszy pilnował, jak mnie nie stanie.

— Jej duszy! — syknął. — Dajcie mi te listy!

— Te listy jej trzeba oddać—i powiedz, że ja ją ostatni raz przed śmiercią błagam—niech pokutę czyni. Ja nie chcę, by ona, dziecko moje najdroższe—potępiona była.

Stękając, z wielkim wysiłkiem sięgnęła pod poduszkę, wyjęła zwitek owinięty w jedwabną czerwoną chustkę.

Barcikowski rozchylił ją—spojrzał, jeden list wydobył, przeczytał i wzdrygnął się.

Jak błyskawica myśl mu przysła. A może tylko romans z Fomowem był prawdą—reszta wymysłem Pelagiei, która pod pozorem skruchy, w ten sposób mściła się nad Saszeńką, za wypędzenie.

— A testamentu Korfa nie było w biurku—spytał.

— Nie wiem—jest tam w listach jeden papier, pisany nie po rusku. Ja go czytać nie umiałam.

Przerzucił prędko zwitek. Tam na samym spodzie była kartka po niemiecku:

„Listy mojej żony i jej kochanka, zarazem tegoż kochanka podpisy fałszywe na wekslach. Oni o tem wiedzą i czują śmierć nad sobą. Co

mnie spotkało, słuszne jest. To jest mój testament—oddaję ich w ręce sprawiedliwości.

*Oskar Korf*".

— Gałubczyk—rozległ się jękliwy głos Pelagiei, zaniepokojonej jego spokojem.—Ja twojej opiece ją nieszczęsną polecam. Ja pewna, że ty nad nią miłosierdzie mieć będziesz, bo ty ją miłujesz.

Wacław nie słyszał co mówiła. Wpatrzył się w jaskrawe ikony na przeciwległej ścianie, obok których, w równej prawie adoracyi, wisiał portret.

Zwitek listów silnie trzymał w dłoniach i powtarzał machinalnie w myśli:

— „Słusznie mnie to spotkało! Słusznie, słusznie. Za Boga, za ziemię, za matkę! Słusznie, słusznie!

Pelagieja wyciągnęła rękę i targnęła go za rękaw.

— Winczesław Sewerynowicz.

Drgnął, spojrzał na nią. Twarz miał zastygłą.

— Powiedzcie mi przed śmiercią dobre słowo. Powiedzcie, co myślicie. Ja niespokojna o moją Saszeńkę.

Zajęczała z głębi serca, wydobyła z trudem rękę z pod kołdry i przeżegnała się.

Zobaczył, że ręka ta wyschła i żółta, miała palce tak pokręcone artretyzmem, iż wyglądała, jak splot bezkształtnych korzeni.

— Czego chcecie. Oddam jej te listy. A o nią się nie turbujcie. Zgryzot ona nie ma, a po śmierci gdzie jej będzie lepiej, jak z Fomowem! Bóg z wami, Pelagieja Fokowna. Byłem prokuratorem i sędzią, ale teraz was nie

oskarżam i tej kobiety sądzić nie będę. Teraz na mnie sąd przyszedł.

— Co ty gadasz. Kto ciebie sądzi, ty czysty człowiek. Ty litość tylko miej.

— Mnie na sąd podał mój Bóg, ten, wam nieprawy. Zostańcie w spokoju!

Wstał i jak automat szedł ku drzwiom.

— Winczesław Sewerynowicz. Przyszlizie mi Saszeńkę, niech ja na nią przed śmiercią jeszcze popatrzę! — zawołała rozpacznie, błagalnie.

— Powiem jej, że wzywacie. Uczyni, co zechce.

— Powiedz, powiedz. Ja jej wyglądać będę, jak Boga. Dzieciątko moje nieszczęsne!

Wacław się znalazł w ciemnej sieni i wolno schodził na dół. W głowie miał zawrót i tak straszne cierpienie w piersi, że mu zimny pot okrywał skronie.

— Nie umrę tu, nie umrę—powtarzał szep-tem. — Wśród nich nie umrę, niech się mnie nie dotkną nawet po śmierci.

## XII.

W Ładyniu stary Barcikowski od kilku lat zupełnie na Filipa abdykował.

Skorzystał z bytności starego hrabiego pewnej jesieni na polowaniu i poprosił o dymisyę.

— Zdarłem się już, jak stara miotła—mówił—pięćdziesiąt lat, jakem na służbę stanął, czas spocząć. Dziękuję panu hrabiemu za chleb, zdrowy był, mnie żywił i córkę, a wreszcie zięcia i wnuki, gdy ich własny brat wygonił z ziemi. Teraz już nie zdołam na chleb zarobić, pójdę za piec do dzieci, wnuki niańczyć.

— Bój się pan Boga! Tak mówicie, jakbyście stąd wynosić się mieli. Przecie pana zięć zostanie na pana miejscu, a raczej wszystko będzie po staremu.

— Zięć za mnie dotąd pracował. Jak bąka palnął, na mój rachunek szło, a pan hrabia staremu darował, a teraz ja emeryt, a on niech robi, co chce i pan hrabia uczyni, co wola.

— Ależ ja nie puszczę żadnego z was, za nic! Nie chcę zmian najmniejszych. Tylko, jeśli pan naprawdę nie czuje się na siłach do pracy—proszę pozostać doradcą zięcia. Pański etat pozostanie bez zmiany, a zięciowi pana podwyższę pensyę o tysiąc rubli.

Stary się uśmiechnął.

— Bodaj to nowe sitko na kołeczku! — rzekł żartobliwie. — Co do zięcia, to raczy pan hrabia z nim samym kwestyę załatwić. Chłop już szpakowaty, a zawsze ja za niego decyduję. Niech się ośmieli, i raz sam sobą rozporządzi. A co do mnie—to etat mój się zmaże, żadnych pieniędzy brać nie chcę, a do śmierci siedzieć i radzić będę. Toć za pięćdziesiąt lat służby wart jestem zostać bezpłatnym przyjacielem.

— Ależ, panie Kazimierzu, pan mnie nie zrozumiał!—zawołał zmieszany hrabia.

-- Owszem. Pan hrabia dał mi dowód, że wierzy w jednego oficjalistę, który nie kradł i dlatego chce mu starość zabezpieczyć. Ale tak nie jest. Kraść, tom nie kradł, alem przecie zebrał kapitalik. Miałem piętnaście tysięcy razem z żoninym posagiem. Połowę pożarł Gródek, ale połowa została. Procent wystarczy, żebym dzieciom nie był ciężarem, a po śmierci, jeszcze troje wnuków będzie miało o co ręce zaczepić w pracy na życie. Taki tedy jestem zasobny, i nie mi nie potrzeba. Tylko poproszę pana hrabiego o świadectwo służby — z pieczęcią i podpisem. Nie miałem w rodzie głośnych ludzi, ani w papierach nie mamy świetnych nadań i dyplomów. Zostawię wnukom po sobie dokument. Na ile kogo stać!

— Panie Kazimierzu, panie Kazimierzu! — zaczął wzruszony hrabia, i zamiast słów, objął go, i ucałował.

Wreszcie popłakali się starzy i zaczęli gadać poufnie o rodzinnych stosunkach, strapieniach i nadziejach, jak dwóch przyjaciół.

— Przyszlij mi pan zięcia—polecił hrabia, gdy się pożegnali.

Filip na wieść, co go czeka, zupełnie rezon stracił. Bał się, jak ognia, pałacu i audyencyi u chlebowawcy i dotąd prawie go nie znał.

— Mógł też ojciec sam za mnie rozmówić się! Co ja tam będę gadał—mruknął.

— A tak! Z sąsiadami gada za ciebie Muszka, z hrabią ja. Czy ci nie wstyd, być takim dzikim.

— Byleby za mnie nikt nie pracował. Bez gadania się obejdę.

— Niemasz co się upierać. Przebierz się, marsz! Ja od dziś jestem na emeryturze!

Mrucząc, Filip się ubrał i poszedł jak na ściegocie. Hrabia widocznie czekał na niego, bo bez meldowania wprowadził go kamerdyner do gabinetu.

Hrabia powitał go bardzo uprzejmie, po-  
dał rękę, prosił siedzieć. Żeby Filip był przebiegły, toby pomyślał, że śnać bardzo jest magnatowi potrzebny, kiedy go tak honoruje.

Tak rzecz pojawiający, starałby się chwilę i położenie wyzyskać na swą materyalną korzyść. Ale Filip myślał tylko, żeby prędzej wizytę odbyć, i nie palnąć jakiego baka w rozmowie. Siedział tedy na brzegu krzesła, miał czapkę w ręku i czekał, jak uczeń egzaminu.

— Mam nadzieję, panie Barcikowski, że pan zechce pozostać w Ładyniu na miejscu swego teścia?—spytał uprzejmie hrabia.

— Chyba dam rady! — odparł po namyśle.

— Przybędzie panu roboty i stosownie do tego będzie pan pobierał wynagrodzenie wyższe o tysiąc rubli.

Tu się Filip okazał, jakim był, bo ramionami ruszył i odparł oburzony.

— A poco? Albo ja lepiej co zrobię, więcej umiem od ojca. Dwa tysiące rubli i tak pobierać będę, to dosyć! Albo ja jeden, setki nas jest, i te pensye cały dochód pożerają. Jeszcze kwestya, czy ja potrafię ojca zastąpić całkiem. Może i tego wart nie będę.

— Ja jestem tego pewien. I pewien przede wszystkim pańskiej życzliwości, która droższa jest nad naukę i zdolności — a i tych panu nie brak, jak widzę ze stanu majątków.

— Tak pan hrabia mówi przez grzeczność, ale ja często widzę, że coś zaniedbam i coś przegapię. Cóż ja — uczyć się nie chciałem kilka lat, teraz uczuć się muszę całe życie. Jak samouk wertuję teraz księgi i na Ładyniu próbuję, czego się nauczę. Ja panu hrabiemu będę służył całe życie, jeśli pan hrabia chce. Bylibym dogodził.

— A ma pan też dosyć na wychowanie dzieci? — Proszę mi otwarcie wyznać. Przecie ma pan na kogo pracować. Troje pan ma.

— Troje. Starszy już w trzeciej klasie w Warszawie, młodszy we wstępnej. Dobrze się uczą, u siostry mojej mieszkają, która freblowski zakład ma. Wystarcza na ich utrzymanie i wpis, im mniej mieć będą, tem tężsi ludzie z nich wyrosną. Nic nie szkodzi, jak biedy zaznają.

Machnął ręką i dodał.

— Ja zresztą nie mam czasu dużo o nich myśleć. To żony kłopot. Ja mam Ładyń na głowie.

— Dziękuję panu. Pomówię tedy o tem z żoną pańską. A wychowa też pan którego



na swego zastępcę w Ładyniu?—dodał z uśmiechem.

~~Wtedy~~ Filip, zarażony tym śmiechem, błysnął też zębami i tracił sztywność.

— A jakże. Trzeba przecie, żeby mnie kiedyś złuzował. Młodszego do siebie weźmiemy, tak żona wybrała. Nie mamy już innego dziedzictwa, tylko Ładyń!

Zasepił się, głowę zwiesił.

— Brat pana został przy majątku?

— Albo on brat. My go nie znamy, i bodajby o nim Bóg zapomniał.

Hrabia spostrzegł, że dotknął żywej rany, więc rozmowę skierował na gospodarstwo, a wtedy Filip się rozgadał swobodniej, zapomniał swej nieśmiałości i wróciwszy do domu, rzekł:

— Straszny to ten nasz hrabia nie jest, ale mało wie, co ma, i nic się na roli nie rozumie.

— Na to cię trzyma, żebyś ty rozumiał. Cóż, podwyższył ci pensję? — spytał Barciowski.

— Chciał, ale odmówił. Dość mamy! Co ma pan myśleć, że go ze skóry chcę drzeć, jak cham!

— Dobrześ zrobił—mruknął stary.

— Możesz ty nie rada?—spytał Filip żony, gdy milczała.

— Byle zdrowie! — odparła z uśmiechem. Niedostatku nie cierpiemy, dla dzieci starczy, dobrze nam ze sobą, po co żądać więcej?

Istotnie, było im dobrze. Trochę pusto i tęskno czasem, gdy dzieci po wakacjach zabierała do Warszawy Jadwisia, ale w pracy niepostrzeżenie mijały miesiące, przychodziły święta, dzieci przyjeżdżały zdrowe, szczęśliwe,

z dobrą cenzurą. Dzinia już podłotek, chłopcy swawolni, ale w matce rozmiłowani, dla ojca karni, z dziadkiem za pan brat. Potem nadchodziły wakacye, i wrzało śmiechem i życiem w domu. Filip z umysłu o Gródek nigdy nie pytał, gdy mu droga tamtędy szła, objeżdżał o milę, nigdy nie wspomniał brata. Jednakże obijały się wieści o uszy, i raz żyd na promie zakomunikował mu:

— Onegdaj przeprowiałem tego Brechunowa z Gródka. Wypędził go pan generał.

— Może i Gródek sprzedany? — mimowoli spytał.

— Nie, nie słyhać. Tylko pan generał podobno chory leży.

— To przyjechał?

— Będzie z dziesięć dni, jak jest.

— Sam?

— Sam! Jechał tędy! Bardzo paskudnie wygląda. Pytał o jasnego pana administratora, czy zawsze w Ładyniu. Ja powiedziałem: a gdzieżby był. Tak nic więcej nie gadał, i pojechał. Brechunow gadał, że prędko umrze.

Prom przybił do brzegu, rozmowa się na tem skończyła. Opowiadał o tem Filip w domu.

— Jeśli to prawda, że ciężko chory, to możebyś się dowiedział? — rzekła Muszka.

— A mnie co do niego? — zachnął się. — Et, żydowskie plotki — dodał Barcikowski. — Żeby był chory, toby siedział zagranicą, i leczył się, a nie w Gródku spędzał listopad. Przyjechał zapewne na skutek donosów na Brechunowa, sprawdził jego gałgaństwa, i przepędził, a zanim drugiego dostanie, musi w pustce siedzieć. Nie wesoło mu. Czemu? ma popa i uradnika, może się z nimi bawić — warknął Filip.

Ale plotki żydowskie okazały się prawdziwymi, bo w kilka dni potem, przyjechał konny posłaniec z Gródka i przywiózł list do Filipa.

— A czego wasz pan chce? — zagadnął tenże chłop, niechętnie biorąc pismo do rąk.

— „Musi,” żeby pan przyjechał, bo słaby leży.

— Sam jest?

— Samuteńki. Był lokaj z Petersburga, to i tego na drugi dzień odesłał.

Filip do domu poszedł i żonie list oddał.

— Przeczytaj, czego ten chce.

Otworzyła Muszka list, przebiegła go oczami i głośno potem przeczytała:

„Jestem bardzo chory i niedługo już pociągnę. Ponieważ umierającemu się nie odmawia, więc przyjeźdź mnie odwiedzić. Sam jestem zupełnie, i przyjechałbym do ciebie, ale nie mogę, sił mi brak. Odpisz, że mi nie odmawiasz”.

— Jedź! — rzekła Muszka. — Musi mu być bardzo źle!

— Ja mu nie pomogę, ani umiem politykować.

— Jeśli umiera, to go nie dobijesz! — wtrącił Barcikowski, po namyśle. — Pojechać musisz.

— Jak powiadacie, że muszę, to pojadę. Choćbym wolał hyclem być, jak jego widzieć.

Wyszedł i rzekł do posłańca:

— Wracaj, powiedz swemu panu, że jutro będę.

Cały dzień Muszka z ojcem wmawiali mu, żeby awantury choremu nie zrobił. On słuchał, wąsy gryząc, i odpowiadał:

— Będę spokojny, sam nie zacznę, ale

jak on mnie zaczepi, zechce się bronić, tłumaczyć, to nie wytrzymam.

Tak przygotowany, nazajutrz ruszył konno, bo drogi były nie do przebycia, i o południu stanął w Gródku. Dwór był mu obcy, nowo odbudowany, z cerkwią pod bokiem, czerwony, wyświeżony w stylu ruskim. Ten sam chłopak, posłaniec, konia odebrał, i rzekł:

— Pan czeka!

I dom się zmienił zupełnie. Był umeblowany elegancko, nowożytnie, ładne obicia, ładne portyery i drobiazgi... obcy... cudzy...

Wacława znalazł wreszcie w rogowym pokoju, i aż się przeraził, spojrzawszy nań. Wychudły, żółty, siwy zupełnie, siedział w fotelu przed kominem, w szlafroku i drzemał. Wyglądał już, jak trup. Zbudził się na skrzyp drzwi, poznał brata, i wstał ciężko.

— Dziękuję ci, żeś przyjechał. Widzisz, że ja nie mogłem.

Zawziętość Filipa przygasła wobec tej słabości i znękania.

— Tak sam jesteś! — zawołał. — Czemuż się nie leczysz?

— Sam jestem. Choremu tak najlepiej, a nie lecę się, bo nie widzę racji życia przedłużać. Albo ono warte tego zachodu. Przyjechałem tutaj umrzeć w spokoju. Jednakże chciałem ciebie zobaczyć jeszcze. Jakże ci się powodzi? Tak zdrow i pełen sił wyglądasz, a między nami tylko cztery lata różnicy.

— Dobrze mi jest. Z dziadkiem spokój—roboty wiele, ale jej rad, więc człowiek żyje sobie cicho. Teścia posadę objąłem już od dwóch lat.

— Umarł twój teść?

— Uchowaj Boże, żyje i zdrów, ale odpoczywa.

— Babka umarła?

— Tak, już cztery lata temu. Ośmнадцать lat miała. Paraliż! Dwa dni tylko chorowała.

— Iłowicz też umarł?

— Czytałem w gazetach.

— Ja go pochowałem.

— Onże cię wychował!

Zapanowała chwila milczenia.

— A dzieci twoje? — zagadnął Wacław.

— Uczy się w Warszawie cała trójka, pod opieką Jadwisi. Na święta to wszystko zjedzie — za miesiąc. Nie mam z nimi żadnego kłopotu, dobrze się uczą i zdrowe, jak orzechy. Nawet mnie mało kosztują, bo starszy — taki knot — ale już mniejszym korepetycyę daje, i pierwszym jest w klasie, a młodszego mój hrabia wziął na swój koszt, bo ma mnie kiedyś w Ładyniu zastąpić.

— Szczęśliwy jesteś — szepnął Wacław. — Tylko potem chłopców do szkół w Petersburgu nie oddawaj.

— Za granicę ich wyślę, na zachód. Młodszy agronomię skończy — posadę ma — a starszy i tak kawałek chleba znajdzie, gdy będzie fach miał. Niema tutaj na czem siedzieć!

— Szczęśliwy jesteś! — powtórzył szeptem Wacław.

— Nikomu nie zazdroszczę, dzięki Bogu.

— Ale mnie pewnie nie darowałaś?

Filip spojrzał na niego, miał szorstką odpowiedź na języku, ale widok tej ruiny człowieka go zreflektował.

— Daj pokój! Chory jesteś — nie mówmy o tem. Ja nad tobą sędzią nie będę.

— Tylko Bóg, i już mnie osądził — dokończył Wacław.

Umilkli, Filip wąsy motał, chory zapatrzył się w żar kominka.

— Żebyś ja ci wydał weksle, położyłbyś areszt na majątku, i dzieci twoje jeśli nie ziemię, wzięłyby jej wartość — rzekł po chwili.

— Po co? Majątek twój i twoich dzieci. Moje niech będą ubogie, ale wyrosną na pocciwych ludzi. I bez ziemi można być obywatelem kraju. Co się stało, nie da się odrobić — i ty nad tem głowy nie susz. Jużem tę stratę przeboleł, a dzieci wiedzieć o niej nie będą — tak małe stąd wyszły. To skończona rzecz.

— Tak — ja już nie nie odrobię — ponuro rzekł Wacław. — Przegrałem wszystkie stawki.

Tu się ożywił i wyprostował.

— To jedno mi śmierć osładza, żeś was unieszczęśliwiwszy — sam szczęścia nie miał, i żeś był zawsze uczciwy.

— Dlaczego siedzisz tu sam, melancholii dostaniesz w tej pustce. Napisz do żony — sprowadź ją albo córkę, będą cię pielęgnować — zmienił rozmowę Filip, którego zamiast zawziętości i gniewu, ogarniała litość.

Chory się wzdrygnął, zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie potrzebny ja im — ani oni mnie. Stała się rzecz niesłychana.

— To przyjeżdż do nas! — zaproponował Filip. Jest wolny pokój, i ludzi mieć będziesz i opiekę. Doktor też jest roczny, dobry medyk i troskliwy o pacjentów. Tutaj cię nuda żre.

Wacław popatrzał na niego długą chwilę, twarz mu drgała wzruszeniem.

— Ja ci nigdy bratem nie byłem, i z tego domu cię wyгнаłem, a ty mi swój otwierasz!

— At, co tam! Chory jesteś i coś cię trapi. Nie psuj sobie krwi wspomnieniami. Chcesz, to przyjeżdżaj, rozerwiesz się i pozdrowiesz.

— Dziękuję ci, może przyjadę. Zawsze jednak, to twoje zaproszenie duszę mi orzeźwiło. Dziękuję ci. Powiedz mi co o Jadwisi.

— A no, zdrowa i z zamięłowaniem dzieci uczy. Miała już raz biedę, ale mój hrabia sprawę zamazał. Rada z zajęcia i próżnoby jej kto o ostrożności mówił. Ja też dałem jej dzieci pod opiekę, bo przez wzgląd na nie jest uważniejsza. Zawsze trochę w strachu o nią jestem, ale co robić. Każdy musi pracować wedle swej idei. Będzie, co Bóg dać zechce. Dwa razy człowiek nie żyje, ona mi zawsze na perswazyę odpowiada—i racya.

— Dużo ludzi u was pewnie bywa?

— Nie dużo. Parę domów sąsiednich. Ja, jak wiesz, nie umiem gadać, a Muszka mówi, że woli mniej stosunków, a dobrych. Zresztą, kiedy te stosunki uprawiać. Ja w służbie cały tydzień, jak pocztowy koń ganim, w niedzielę radzi we dwoje siedzimy. Jeszcześmy się sobą nie nacieszyli przez piętnaście lat. A na wielkie święta dzieci zjeżdżają, to wtedy nas i kijem z chałupy nie wypędzić.

— Nie znam twojej żony.

— To ją poznasz, jak nas odwiedzisz.

— Wybiorę się kiedy. Dziękuję ci. Chciałbym też twoje dzieci zobaczyć. Wybiorę



się. Teraz jeszcze bardzo słaby jestem, aleś mi zdrowia dodał. Dziękuję ci, żeś przyjechał.

— Jeśli chcesz, przyszlę ci naszego doktora jutro.

— Nie, nie, tylu już mnie leczyło. Wiem, co mi jest; wyzdrowieć nie mogę i nie warto. Tyś mi pierwszy ulgę sprawił. Nie będę się czuł tak samotny. Odwiedź mnie jeszcze kiedy.

— Bylebym czas miał, to przyjadę. U nas już gorzelnie w ruchu, to mi trudniej się wydalić. Ot i teraz już spieszyć muszę. Mam nadzieję, że cię za drugim razem zdrowszego zobaczę.

— Jeszcze mam do ciebie jedną prośbę. Wygnałem Brechunowa, chciałbym dostać tu-tejszego człowieka. Ty znasz ich pewnie wielu. Przyszlj mi kogo.

— Dobrze. Postaram się.

W Ładyniu Muszka z ojciem niecierpliwie oczekiwali jego powrotu.

— No i cóż! — spytali oboje, gdy wszedł.

— A no, zastałem prawie trupa i litość mnie wzięła. Boże, co się z nim zrobiło. Toć on wygląda na ośmdziesiąt lat i niewiadomo, czy do świąt pociągnie.

— I sam jest w tej biedzie?—zdziwiła się Muszka.

— Sam. Musiała tam w rodzinie zajść jakaś katastrofa, bo i gadać o niej nie chciał.

— Trzeba go było zaprosić — rzekła nieśmiało, patrząc na nich.

— Zaprosilem — odparł Filip — mozem źle zrobić, nasze nieboszczki będą nie rade, ale on bardzo wygląda nieszczęśliwy.

Stary Barcikowski się odezwał:

— Nieboszczki u Chrystusa, który łątra do świętych ze sobą zabrał. Dobrześ zrobił, ale mnie się widzi, że on nie przyjedzie.

Jakoż minęło parę tygodni i z Gródka nie było wieści. O przybyciu i chorobie Wacława napisała Muszka do Jadwisi, ale i ta zbyła to milczeniem — i tak o tym dogasającym bracie zapomnieli, czy też nie chcieli wspominać.

Dopiero gdy dziatwa zjechała z ciotką na święta, spytała Jadwisia Filipa, gdy byli sami we dwoje:

— Cóż, umarł ten?

— Nie, boby mnie uwiadomili.

— Byłeś u niego drugi raz?

— Nie. Myślałem, że tu przyjedzie.

Milczeli chwilę, wreszcie Jadwisia rzekła:

— Trzeba się dowiedzieć, jak mu jest.

— Ano, to pojedę! — odparł lakonicznie

Filip.

Na parę dni przed wigilią ruszył do Gródka. Zastał Wacława zdrowszym. Siedział w sypialni i czytał. Ucieszył się na widok brata i przez parę minut się ożywił, potem, jakby wyczerpany, umilkł, zgarbił się i patrzył szklanemi oczami w próżnię.

— Dlaczegoż nie przyjechał do nas? — zagadnął go Filip.

Uśmiechnął się dziwnie.

— Trudno mi na cośkolwiek się zdecydować!

— Kiedy tak, to cię ze sobą zabiorę. Przyjechały dzieci. Jadwisia też rada cię zobaczyć. Nie masz żadnej wymówki. Zabawisz u nas przez święta.

— Poco ja wam potrzebny. Chory jestem, bez ducha. Popsuję wam zabawę.

— Cóż znowu. Sam się rozerwiesz, a my nie przez ceremonię prosimy.

— Będziecie mieli gości, a ja tak nierad ludzi widzę. Dziękuję ci, ale nie wam po mnie.

— Dajże pokój! Jeśli ludzi się boisz, to wrócisz pierwszego dnia świąt. Teraz będziemy sami zupełnie. Każ twoje konie wysiąć, a ze mną pojedziesz. Wrócisz, kiedy zechcesz.

Wacław myślał chwilę.

— Chcesz mi swą rodzinę i szczęście pokazać. Słuszne — powinienem to zobaczyć — rzekł głucho i wstał, żeby się przebrać.

Po chwili wyjechali razem. Sanna była wyśmienita i świeże, mroźne powietrze ożywiło chorego.

— Dobrze żeś mnie wyciągnął! — rzekł do brata.

Zaczął mówić o gospodarstwie w Gródku, pytać i radzić się i dopiero dojeżdżając do Ładyna, pośpinał, niespokojnie się oglądał.

Na spotkanie do sieni wyszła Muszka, powitała go pocziwym uśmiechem i troskliwym pytaniem o zdrowie. Jakże był jej wdzięczny. Pochylony, pocałował jej rękę.

— Bratowa mi tem powitaniem najlepsze dała lekarstwo — odparł wzruszony.

— Postaramy się, żeby było trwałem i skutecznem. Z góry tylko przepraszam za dziecinny hałas w domu. Po przymusie szkolnym szaleje trójka, a ja nie mam serca ich krępować.

— Ja im łby poukręcam, jeśli nam będą zawadzać! — wtrącił Filip.

— Żebyś ich jeszcze do większej swawoli

nie podjudzał, to więcej od ciebie nie proszę—  
rzekła, grożąc mu palcem:

Uśmiechnęli się do siebie tak serdecznie,  
jakby się wczoraj pobrali. Wacławowi ścisnęło  
się serce. A w tem chłopaki wpadli — obaj  
w bluzach szkolnych — ze dworu, czerwoni od  
mrozu i rzucili się do ojca, nie zważając na  
gościa.

— Tatku, proszę z nami na lód. Powozi-  
my tatka saneczkami, a za to nam tatko da po  
obiedzie kuca.

— Cicho! Przywitajcie stryja, urwisze! —  
zawołała Muszka.

Chłopcy natychmiast oprzytomnieli. Uj-  
rzał Wacław przed sobą dwie twarzyczki śmie-  
jące, dwie pary sprytnych oczu, patrzące cie-  
kawie. Starszy szusnął nogami i pytając na  
matkę spojrzał, młodszy trącił ojca i rzekł:

— Dlaczego ten stryj taki stary?

— Pocałujże w rękę i nie hałasować, bo  
stryj nie zdrowsz—zakomenderowała Muszka.

Wacław ucałował chłopców i wtedy star-  
szy się odezwał:

— To my, mamusiu, wcale do pokoju nie  
będziemy zaglądać chyba, bo jakże w domu  
nie hałasować? Człowiek w gimnazjum tyle  
się namilczy, że wytrzymać nie może.

— Ale owszem, hałasujcie!—rzekł z uśmie-  
chem Wacław. — Zabawię się, na was patrząc.  
Jakże ci na imię, zuchu?

— Kazimierz Barcikowski. W klasie mnie  
nazywają Kapelan, ale nie w oczy, bo tłukę,  
jak posłyszę.

— I dlaczegoż ciebie tak przezwali?

— To było raz za religię...

Nie dokończył, bo w tej chwili wszedł stary Barcikowski, wołając:

— Chodźcież do pokoju. Trzymacie chodrego w zimnie—i przywitał uprzejmie gościa.

Chłopcy opadli znowu ojca i pozostali w sieni.

— Ręczę, że go wyciągną na lód i będzie się z nimi bawił w śnieżki! — uśmiechnęła się Muszka, wprowadzając gościa do saloniku.

Jakoż Filip się nie zjawił, a stary zaczął zrzedzić.

— To niesłyszana rzecz, żeby stary chłop był taki ślamazarny dla dzieci. Toć te chłopaki, traktują go, jak kolegę.

— Szczęśliwy i on i oni! A bratowa wszystkim rządzi. Najwyższa instancja Rada państwa!

— O nie! Ja jestem, co najwyżej rzeczywistym radcą stanu i sędzią zarazem. Muszę słuchać zwierzeń, skarg i rozsądzać często spory. Nikt nie uwierzy ile w tych głowach się pali i kotłuje myśli. Z konieczności swego obowiązku muszę utrzymywać powagę. Ojciec jest dla nich za słaby, Filip zupełnie zawojowany, Jadwisia niepoprawna entuzyastka, musi ktoś mieć grozę, boby się rozpasaly smarkacze ze szczętem.

— A bywają wyroki i kary?

— Rzadko. Bywał karany Kazik, zanim mu nie wmówiłam, że musi szanować Dziunię, bo starsza i opiekować się Sewerem, bo młodszy. Wziął tedy chłopak na ambicyę, i jest spokoj. Z Dziunią nie było kłopotu, jest marzycielka, jak Jadwisia, zajęta wierszami i bajkami—nie chodzi po świecie. A mały ma so-

bie zapowiedziane, że ojca tu kiedyś zastąpi, i taki błąk, przejęty jest swem powołaniem.

— Co tam gadać! — wtrącił stary Barcikowski. — Udały się dzieci. Będzie z nich i Bogu i ludziom pociecha.

Wacław głowę spuścił. Zrozumiała Muszka, że jakąś serdeczną ranę zadraśnięto. Chciała zmienić temat rozmowy, ale nie wiedziała o czym mówić. Tyle było drażliwych tematów, a tak sobie byli obcy.

— Przyrowadzę Jadwisę — rzekła i wyszła.

Mężczyźni zaczęli mówić o hrabiowskiej rodzinie, o stanowisku Filipa, stary się nim szczycił, jak swoim dziełem.

— W rodzinie za głupiego uchodził, ja jeden się na nim poznałem i oto wyszedł na człowieka. Pewnie, że są na świecie wyższe stanowiska i świetniejsze karyery, ale spytać go, czy do nich tęskni, czy chciałby zmiany?

Tu się stary obejrzał, że w tej pochwalę była jakby krytyka dla gościa, więc się niezgrabnie poprawił:

— Każdemu Bóg daje wedle sił i zasługi.

A w duchu klął: że też z takim to człowiekiem nie wie, z czym się odezwać, żeby mu bolączki jakiej nie zaczepić.

Weszła w tej chwili Jadwisia z Dziunią i Muszką.

Wacław nie widział siostry kilkanaście lat, wiedział, że jest najbardziej nieprzejeđną i że ani go przywita. Była sekunda, że się oczami spotkali bez słowa i ruchu.

Ona była szczupła i siwa, a jednak młodem życiem i zapalem świeciły jej oczy, on był ruiną — starcem.

Walka, litość mignęła jej w twarzy, postąpiła żywo ku niemu, podała mu rękę i pocałowała go.

— Takeś się zmienił. Musiałeś ciężko chorować—szepnęła wzruszona.

Spazm go zdławił za gardło. Żeby byli sami, zapłakałby i jej by wszystko wyznał. Ale nie byli sami, więc ją tylko długo uściśnął i szepnął:

— Tak chorowałem i — umarłem.

Usiedli obok siebie; widząc, jak jest wzruszony, rzekła:

— Przedstawiam ci moją imienniczkę. Nieprawda, jak ona do naszej matki podobna. Chodźno, Dziuniu!

Dziewczynka podeszła, płonąc, jak mak. Dygnęła, podnosząc na obcego wielkie, ciemne, marzące oczy—oczy pani Barbary.

— Nie pamiętasz mnie?—spytał, przyciągając ją ku sobie.—Widzieliśmy się kiedyś?

— Pamiętam—szepnęła i spojrzała na ciotkę.—Stryj był wtedy, jakieśmy z Gródka wyjechali, ja byłam jeszcze mała.

— Patrzajcie, a teraz możeś dorosła? Może za mąż się wybierasz? — zaśmiał się Barciowski.

— Nie, ja za mąż nie wyjdę. Z mamusią i ciocią będę w domu.

— I cóż będziesz robić w domu?

— Będę chłopskie dzieci uczyć!

— Śliczny projekt. Poczekaj, powiem no policyi, niech cię do ciupy wsadzą—droczył się stary.

— To i co? Wszyscy wielci i święci ludzie byli prześladowani. Ja się nie boję!



— No, no. Póki zostaniesz Joanną Ditre, idźno i zwołaj ojca i chłopców na obiad.

Dziewczynka wyszła. Wacław zaczął rozpytywać siostrę o jej życie i pracę, i dowiedział się, że Warszawa, kraj cały, tysiące, miliony ludzi pracowały nieustraszenie, kształciły lud, utrzymywały ducha narodu, język, wiarę—tradycję w całej czystości i sile. Byli bohaterowie, bojownicy, ofiary, męczeństwa, ale idea trwała, rosła, rozwijała się. Parę razy, słuchając mowy Jadwisi, stary Barcikowski niespokojnie oczami wskazał córce Wacława, który słuchał bardzo uważnie, z widocznym zajęciem. Ale Jadwisia, zawsze zapalona, prawila gorączkowo, ogarnięta swą ideą, na nic nie pomna. Hałaśliwe wejście chłopców i Filipa przerwało dopiero rozmowę. Zaraz też ruszono do jadalni.

— Miałeś mi powiedzieć, za co cię nazwano kapelanem? — zagadnął Wacław przy obiedzie Kazika, który naprzeciwnie niego siedział.

— To było tak: Jeszczem wtedy był głupi, nie wiedziałem, co wolno mówić, a co nie. Wyrzywa ksiądz Markowski—ile jest Bogów; ja mu podpowiadam:—trzech — więc on mówi: trzech. Którzy są? — pyta ksiądz: nihy nie—ja znowu podpowiadam: ruski, polski i niemiecki. Ksiądz posłyszał, czerwony się zrobił. Barcikowski, tu do mnie—woła.—Wychodzę.

— Kazik!—upomniała Muszka.

Ale chłopak się rozpedził, nie uważał.

— Tyś podpowiadał Markowskiemu?

— Ja!

— Kto cię tego nauczył?

— Nikt nie uczył, ale przecie jest w gimnazyum pop, pastor i ksiądz. To i jest trzy bogi.

— Jest jeszcze czwarty bóg—i ty będziesz jego kapelanem. Dowie się zaraz o tem inspektor. Popatrział na mnie, jak wilk i siedziałem za to cztery godziny w klasie. Chcieli wypędzić z gimnazyum. Odtąd mnie kapelanem nazwali. Oho — teraz już mam rozum, ale tego księdza już niema — wygryźliśmy go. To był taki Judasz.

— Kazik, nie masz decydować o starszych, zawołała Muszka.

— Ja nie decyduję—ale toć cała Warszawa wie, jaki on był. Ciocia powie...

— Ciocia milczy — i tobie radzę to uczynić.

Kazik umilkł na sekundę, ale oczy mu zabłyśły, trącił Dziunię łokciem i szepnął:

— Na zdrajcę plunąć nie wolno! Skończenie świata.

— Musisz mieć ciągly niepokój o to gimnazyum?—spytał Wacław Jadwisi.

— Ja mam kłopot, a oni koszt. Przecie Filip musi się opłacać, bo inaczej chłopcyby i roku nie skończyli, promocyi nie dostali.

— Czekamy tylko, żeby szanowny Kazio nabrał rozumu i potrafił się zaopiekować Sewerem. Wtedy wyślemy ich za granicę! — rzekła Muszka. Ale jak brat uważa z tej adegdoty, do rozumu jeszcze daleko.

Kazio poczerwieniał.

— To, mamusiu, było we wstępnej klasie! zaprotestował.

— Bądź takim samym i w siódmej!

Spojrżeli wszyscy mimowoli na Wacława, a on dodał:

— Czego cię w domu uczą—to prawda!

— Stryju—zagadnął nagle mały Sewerek—  
a u stryja chłopcy są—tacy, jak my?

— Nie, niema takich—odparł.

— Ja tak i myślałem — poważnie rzekł mały.

— Dlaczego?—spytał.

— Boby ich stryj do domu sprowadził na święta.

— Przestańcie nudzić stryja!—zawołała niecierpliwie Muszka.—Myślicie, że każdy lubi słuchać dziecinnych bredni!

— Dziunia się nie odzywa. Ta najmniej ma do mnie zaufania. A ja słyszałem, że Dziunia ładne wiersze umie i będę prosić o deklamację.

Dziewczynka poczerwieniała, a Kazik wtrącił:

— Ja więcej umiem od niej—tylko ona za to lepiej umie śpiewać.

— Urządźcie mi tedy koncert.

— Jeszcze czego?—zaprzeczyła Muszka.

— Proszę bratową o tę łaskę. Tak rad posłucham poezyi i pieśni. Pozwólcie, proszę.

— Zaśpiewają ci i wyrecytują, ile zechcesz! — odparła Jadwisia. — Ale nie spodziewaj się osobliwości. Umieją stare rzeczy—cośmy recytowali i śpiewali, dziećmi będąc.

— To właśnie chciałbym jeszcze raz usłyszeć!—rzekł cicho.—A ty śpiewasz?

— Uczyłam ich.

— Ja też umiem wiersze! — pochwalił się mały.

— O, ty zaczniesz koncert!—roześmiał się Filip, gładząc chłopca po czuprynie zjeżonej!

Obiad się skończył — przeszli do saloniku. Filip wyszedł do gospodarstwa. Muszka została w jadalni, stary Barcikowski zakrzętnął się około kominka, żeby rozpalić znicz na cały długi wieczór, dzieci się rozpierzchnęły.

Wacław i Jadwisia zostali sami, chwilę milczeli, wreszcie ona położyła mu rękę na ramieniu i rzekła:

— Bardzo ci źle! Pozostań z nami.

Drgnął i coś jakby jęk wyrwało mu z piersi.

— Wszystko już pomszczone na mnie. Com podeptał—to mnie zmiażdżyło. Nie mam nic! nic!

— Nas masz.

— Was! — przeszedł ręką po twarzy. — Mam waszą litość i tegom się ani spodziewałem, ani wart. Tylko myślę, żem przecierpiał dość, aby mi nawet matka i babka darowały—Zapóźno! Kresu wyglądam — śmierci!

— Nic ci tam nie zostało?

-- Nic i nikt! Sam jestem, ja i ból!

— Zostań z nami. My ci nic nie pamiętamy.

— Ale ja pamiętam. Patrząc na was i pomimo dobroci waszej wiem, że obcy wam jestem, obcy tu i obcy tam. Dziękuję wam, za te chwile ostatnie, za serce litościwe. Szczęśliwi jesteście, to powinno mi być pociechą. A jednak jaki ból, jaki ból! Jaka pustka.

Osunął się w fotel, przechylił ku niej, pocałował w rękę i szepnął:

— A pomimo bólu, chciałbym jeszcze przed śmiercią pieśni te posłyszeć, te pieśni nasze dziecinne! Mój Boże!

Zakrył twarz rękami.

— Żeby sekundę zapomnieć o tamtem!

Jadwisia wstała, poszła do fortepianu, otworzyła go i poczęła grać jakąś pieśń Moniuszki. Mrok wczesnego zimowego wieczoru zalewał pokój. Lokaj rozpałił na kominie, cicho wszedł stary Barcikowski, zanim wśliznęła się Dziunia, umieściła się u kolan dziadka i słuchała w skupieniu.

Stary pykał z długiej fajki i gładził pieśczołliwie główkę dziewczynki. W jadalni zapalono lampę i przez otwarte drzwi widać było Muszkę rozmawiającą z Filipem. Droczyli się wesoło ze sobą, serdecznie do siebie uśmiechając się.

Wacław wpatrywał się w ten obraz smutnymi, znękanymi oczami paryasa.

Wtem wniesiono lampę i jednocześnie odwołano Filipa. Wyszedł i wrócił po chwili.

— Jest do ciebie posłaniec z Gródka! — rzekł wahającym głosem.

— Do mnie? — zadziwił się Wacław. — Cóż się tam stało?

— Żona twoja przyjechała i przysłała po ciebie.

— Żona moja! — drgnął i śmiertelnie pobladł.

Jadwisia przestała grać. Czar prysnął, wracała rzeczywistość życia.

Chwilę siedział Wacław, jak skamieniały, potem spojrzał w około, dziwne miał spojrzenie i dziwny głos, gdy wymówił:

— A no, to muszę jechać tam!

— Przecie nie na noc! Śnieg zaczyna padać i zadymka się zrywa — rzekł Filip.

— To właśnie dobrze! Każ zaprzęgać. Im

prędzej, tem lepiej! Zaśpiewaj mi co Jadwisiu na pożegnanie.

— A to ci pilno! — mruknął stary.

— A tak, pilno! — powtórzył.

— Zostań! — rzekła Jadwisia.

— Nie mogę!

Ton był tak stanowczy, że Filip ramionami ruszył i kazał zaprzęgać.

Jadwisia wzięła parę akordów i zaśpiewała:

Za Niemen tam precz,  
Już gotów koń, zbroja  
Dziewczyno ty moja  
Uściśnij, daj miecz!

Wacław usiadł obok niej, wszyscy słuchali uważnie, nawet chłopcy weszli cichutko i zachowywali się przyzwoicie. Wesoło strzelał ogień na kominie.

Kończyła pieśń, gdy lokaj na progu się ukazał i oznajmił:

— Konie gotowe.

Wtedy Wacław, jakby sekundę się zawałał, ale wnet wstał, pocałował siostrę:

— Żegnam cię i dziękuję. Pomódl się kiedy za mnie! — dodał ciszej.

— Zobaczymy się przecie! Gdy będziesz sam, przyjedź do nas.

— Czekamy serdecznie! — dodała Muszka.

— Dziękuję. Wspomnijcie mnie, jak brata.

— Żona cię znowu do Petersburga wyciągnie pewno! — rzekł Filip. — Nie odjeżdżaj bez pożegnania z nami, pamiętaj.

— Do Petersburga nie pojadę. Bywajcie zdrowi, bo szczęśliwi jesteście!

Uściśnęli mu wszyscy dłoń i wyszli za nim

do sieni. Ucałował milcząc dzieci, począł się spiesźnie ubierać.

— Żeby w zadymkę drogi nie zgubić! — zajął troskę Barcikowski.

— Nie! Znam ją!

Filip przeprowadził go jeszcze na ganek i rzekł do furmana:

— Jedźno lepiej na Przekłety Młyn, bo błotami zabłądzisz, a tam trakt pewny i widny!

— Stoi jeszcze ten młyn? — spytał Wacław.

— Przecie ma nas wszystkich przetrwać! — odparł, śmiejąc się, Filip.

Obok woźnicy na koźle siedział drugi chłop.

— Ktoś ty? — mruknął Wacław.

— To panie ten poślaniec! — odparł woźnica. — Wziąłem go dla bezpieczeństwa. Zadymka się zrywa.

— No, ruszaj. Bądź zdrów Filipie!

— Szcześliwej ci drogi.

Konie ruszyły, zabrzęczały janczarki, mignęły oświetlone okna i doleciały stłumione dźwięki fortepianu i zapadli w noc, w ciszę, w biel śniegu, który sypał z nieba i leciał kłębam, gnany wiatrem.

Wacław otulił się szubą, zgarbił i siedział nieruchomy, wkrótce brzęk dzwonek zlał się z ciszą, nie dochodził uszu, sunęli bez szelestu, tylko wicher chwilami wył i gwizdał.

Chłopi milczeli także, przez uszanowanie dla pana. Droga była jeszcze pewna, sadzona, hrabska droga.

Wacław oczy zamknął. Różnokolorowe kręgi latały mu za powiekami, w głowie szumiało, jakby szedł pod wodę i tonął. Nie wiedział, ile czasu to trwało, gdy otworzył oczy,



ujrzał przed sobą chaos szarobiałych wirujących płatków.

— To śmierć swe kwiaty otrząsa!—pomyślał.—Niedaleko jest!

Byli już w zupełnej pustce piasków i błot.

— Daleko jeszcze do młyna?—spytał.

— Chyba już blisko. Mało co poznać można za śniegiem.

— Za godzinę będziemy w domu! — dodał chłop.

Wacław się poruszył, czegoś szukał w kieszeni.

Potem znowu siedział nieruchomy, wypatrując oczami młyna w tumanie.

I nagle zaczerwiło coś z boku, konie zapadły w zaspę, zwolniły kroku, młyn rósł, olbrzymiał, wydawał się przeraźliwie wielki.

Wicher zajęczał w około szkieletu, uderzył w śmigi, chłopie się obejrżeli trwożnie i nagle rozległ się wystrzał, konie się porwały zestrąszone.

— Co to! Trzymaj!—krzyknął posłaniec.

— Jezus Marya, to pan! Stój, stój!

Osadził furman konie, zeskoczyli obadwa

Wacław się w tył przechylił, szuba się rozsunała, charczał i drgał.

Trwało to kilka sekund, potem całkiem opadł, zwiśł za sanki, ręce odrzucił i znieruchomiał. Tedy zobaczyli, że z boku buchała krew, a na śnieg z martwej ręki wypadł rewolwer.

— Chryste, zabił się!—jęknął furman.

— Już i doszedł!—dodał szeptem chłop.

— Co robić? Wracać?

— Czego? Do domu go wieźmy! Niedaleko! Tu się obejrzał, skamieniał.

— Patrzaj! Dur, czy co? Młyn, młyn!

Ale woźnica zabobonną trwogą i zgrozą przejęty, nie spojrział.

Wskoczył na kozioł, konie zaciął, chłop ledwie za sanki się uchwycił i pognali bez pamięci.

Około młyna zostało trochę krwi na śniegu i porzucony rewolwer. Na to powoli, bez szelestu, śmierć otrząsała swe śnieżne kwiaty.

Los był spełniony...

K O N I E C.



